

**Agatha Christie**

# **Godzina zero**

Prolog:

19 listopada

Towarzystwo, które zgromadziło się wokół kominka, niemal w całości złożone było z prawników albo tych, którzy prawem się interesowali. Był mecenas Martindale, Rufus Lord, doradca królewski, młody Daniels, który zdobył rozgłos dzięki sprawie Carstairsa, sędzia Cleaver, Lewis z Kancelarii Lewis i Trench oraz stary pan Treves. Pan Treves dobiegał osiemdziesiątki; a była to obfita w doświadczenia osiemdziesiątka. Należał do słynnego zespołu adwokackiego i był jego najślynniejszym członkiem. Jak niosła wieść gminna, znał więcej zakulisowych spraw niż jakikolwiek inny prawnik w Anglii, a na dodatek był specjalistą kryminologiem.

Ludzie nierozsądni uważali, że pan Treves powinien pisać pamiętniki. Pan Treves był innego zdania. Wiedział, że zbyt wiele wie.

Aczkolwiek dawno już na emeryturze, cieszył się niezmiernym poważaniem wśród palestry. Gdziekolwiek zabierał głos, zapadała pełna respektu cisza, w której jego cichy, precyzyjny dyszkant rozbrzmiewał bez przeszkód.

Rozmowa przy kominku dotyczyła głośnego procesu, który właśnie dziś w Old Bailey zakończył się ogłoszeniem wyroku. Była to sprawa o zabójstwo, a osadzony w areszcie oskarżony został uniewinniony. Towarzystwo wałkowało sprawę jeszcze raz, wymieniając fachowe uwagi.

Oskarżyciel popełnił błąd, polegając na jednym ze świadków. Stary Depleach powinien był zdawać sobie sprawę, że wystawia się na łatwy atak obrony. Młody Arthur świetnie zdyskontował zeznania służącej. Bentmore próbował, co prawda, w swym podsumowaniu ustawić sprawy ponownie we właściwej perspektywie, ale szkoda już się stała — ława przysięgłych uwierzyła dziewczynie. Ławnicy są nieobliczalni — nigdy nie wiadomo, co przełkną, a czego nie. A jak już powezmą jakieś przekonanie, nic ani nikt nie potrafi im tego wybić z głowy. Uwierzyli dziewczynie w sprawie tego żelaznego drağa — i tyle. Zrozumienie ekspertyzy medycznej przekraczało ich zdolności umysłowe. Cały ten fachowy bełkot, te wszystkie naukowe terminy — wszystko to sprawia, że biegli są bardzo kiepskimi świadkami. Nigdy jednoznaczni, te ich wszystkie: „w pewnych okolicznościach ewentualnie mogło mieć miejsce” i te de... wprowadzają tylko zamęt.

Powoli wszyscy się wygadali, a w miarę jak konwersacja zamierała, rosło w zebranych poczucie, że czegoś ważnego w niej zabrakło. Głowy, jedna po drugiej, zwracały się w kierunku pana Trevesa, który nie brał dotąd udziału w dyskusji. Stało się oczywiste, że całe towarzystwo oczekuje teraz jakiegoś podsumowania ze strony swojego najszacowniejszego kolegi.

Pan Treves, oparty wygodnie w fotelu, machinalnie przecierał swoje okulary. Cisza, która zapadła, kazała mu rozejrzeć się uważnie.

— No i co? O czym mówicie? Mam wam coś powiedzieć?

Odezwał się młody Lewis:

— Omawialiśmy sprawę Lamorne'a, proszę pana.

Zamilkł w oczekiwaniu.

— Tak, tak — rzekł pan Treves. — Myślałem o tym. Rozległ się pełen szacunku szmer.

— Ale obawiam się — pan Treves nadal polerował okulary — że uznacie mnie za dziwaka. Tak, dziwaka. To sprawa lat, jak sądzę. W moim wieku można sobie pozwolić na dziwactwa.

— Tak, proszę pana — młody Lewis miał zakłopotaną minę.

— Tak sobie myślałem raczej nie o aspektach prawnych tej sprawy, chociaż były ciekawe, bardzo ciekawe — jeżeli wyrok byłby skazujący, byłoby na czym oprzeć wniosek apelacyjny. Myślałem, cóż, o ludziach związanych z tą sprawą.

Wszystkich ogarnęło zdziwienie. Ludzi rozpatrywali wyłącznie w kategoriach wiarygodności — jako świadków. Nikt nie pozwalał sobie na najmniejszą spekulację na temat, czy osądzony jest winny, czy niewinny, skoro sąd uznał go za takiego prawomocnym wyrokiem.

— Ludzie — powiedział pan Treves w zamyśleniu — istoty ludzkie. Różni, rozmaici. Niektórzy rozumni, większość nie. Przybyli ze wszystkich stron, z Lancashire, ze Szkocji, ten właściciel restauracji — z Włoch, a ta nauczycielka gdzieś ze Środkowego Zachodu. Wszyscy zamieszani i wplątani w tę sprawę w końcu spotykają się pewnego szarego listopadowego dnia przed sądem w Londynie. Każdy wnosi do niej swoją małą część. Wszystko to znajduje punkt kulminacyjny w procesie o morderstwo.

Zamilkł i zaczął bębnić delikatnie palcami w kolano.

— Lubię dobre kryminały — ciągnął. — Ale, wiecie, zawsze zaczynają się nie w tym miejscu, co trzeba! Zaczynają się od morderstwa, a morderstwo to rezultat. Jego historia zaczyna się wcześniej, czasami wiele lat wcześniej. Tam tkwią korzenie tych wszystkich związków przyczynowo-skutkowych, które doprowadzają określonych ludzi w określone miejsca o określonej porze określonego dnia. Popatrzcie na tę młodą służącą: gdyby kucharka nie sprzątnęła jej chłopaka sprzed nosa, nigdy nie porzuciłaby pracy i nie najęła się do Lamorne'ów i nie byłaby głównym świadkiem obrony. A ten Giuseppe Antonelli — przyjechał zastąpić przez miesiąc brata. Brat jest ślepy jak kret. Nie zobaczyłby tego wszystkiego, co dojrzały sokole oczy Giuseppe. Gdyby posterunkowy nie robił słodkich oczu do kucharki spod numeru 48, nie spóźniłby się na obchód i...

Wszystko zmierza do określonego punktu... I wtedy, kiedy nadchodzi czas: bach! godzina zero. Tak, wszystkie ścieżki zbiegają się, kiedy nadchodzi godzina zero — pokiwał łagodnie głową. — Kiedy nadchodzi godzina zero...

Nagle zadrżał lekko.

— Zimno panu, prosimy bliżej do kominka.

— Nie, nie. Po prostu przeszedł mnie dreszcz. No, cóż, będę się zbierał do domu. Skłonił się towarzystwu przyjaźnie i powolnym, ale pewnym krokiem opuścił pokój.

Na moment zapanowała pełna wahania cisza, po czym Rufus Lord, doradca królewski, stwierdził, że poczciwy stary Treves posunął się ostatecznie.

— Cóż za wspaniały umysł, niewiarygodnie wspaniały umysł, ale cóż, lata robią swoje — dodał sir William Cleaver.

— I serce ma sfatygowane — dorzucił Lord. — Zdaje się, że w każdej chwili może stać się to najgorsze.

— Bardzo uważa na siebie — zauważył młody Lewis. Tymczasem pan Treves ostrożnie sadowił się we wnętrzu swojego niezawodnego daimlera. Auto dowiozło go pod dom położony przy cichym skwerku. Troskliwy kamerdyner pomógł mu zdjąć płaszcz. Pan Treves udał się do gabinetu, gdzie płonął węglowy kominek. Sypialnia mieściła się obok, na parterze. Pan Treves bowiem z obawy o stan swojego serca, nigdy nie używał schodów.

Usiadł naprzeciw ognia i przysunął tacę z listami. Nadal błędził myślami wokół swojej teorii, którą przedstawił w klubie.

Nawet w tym momencie — pomyślał — jakiś dramat, jakieś morderstwo in spe jest już w trakcie przygotowań. Gdybym pisał teraz pasjonujący krwawy kryminał, zacząłbym od opisu dżentelmena w podeszłym wieku, który siedzi przed kominkiem i zabiera się do lektury korespondencji, zmierzając, choć sam tego nie wie, ku godzinie zero.

Rozdarł pierwszą kopertę i, nadal trochę bujając w obłokach, zaczął przebiegać oczami treść listu. Nagle mina mu zrzędła. Wrócił na ziemię.

— Boże mój — powiedział do siebie — co za przykra niespodzianka. Prawdziwe strapienie. Po tylu latach! Będę musiał zmienić plany.

Osoby dramatu

11 stycznia

Mężczyzna, ostrożnie poprawił się na szpitalnym łóżku. Syknął z bólu.

Dyżurna pielęgniarka poderwała się od stolika i podeszła do niego. Poprawiła poduszki i ułożyła go wygodniej.

Angus MacWhirter zmusił się do dziękczynnego chrząknięcia.

W jego sercu panowały bunt i gorycz.

Miałby to już za sobą. Wszystko miałby z głowy! Diabli nadali to cholerne, kretyńskie drzewo na zboczu klifowego urwiska. Diabli nadali tę natrętą parkę, której zachciało się nadmorskiej randki w tę paskudną zimową noc.

Gdyby nie oni (i drzewo), skończyłby ze sobą: skok do lodowatej wody, chwila walki i wreszcie ulga — koniec zmarnowanej, bezużytecznej, bezsensownej egzystencji.

A gdzie wylądował? Przykuty do beznadziejnego szpitalnego łóżka, ze złamanym obojczykiem i perspektywą ciągnięcia przez policję pod zarzutem zbrodni targnięcia się na własne życie.

Do diabła z tym, przecież to chyba jego własne życie, nie?

Gdyby mu się udało, pochowałiby go z nabożnym skupieniem — jako psychicznie chorego.

Psychicznie chory, akurat! Nigdy w życiu nie był przy zdrowszych zmysłach. W jego sytuacji samobójstwo było najrozsądniejszym i najlepszym rozwiązaniem.

Na bruku, z nadszarpniętym zdrowiem, porzucony przez żonę dla innego mężczyzny. Bez pracy, bez nikogo, na kim mógłby się oprzeć, bez pieniędzy, zdrowia i nadziei — czy rozwiązanie nie nasuwało się samo?

Ale się nie udało! W jakiej pożałowania godnej sytuacji znalazł się teraz! Wyobrażał sobie, jak sędzia będzie grzmiał w świętym oburzeniu! Dostanie reprimendę za to, że ze swoją osobistą własnością — swoim życiem — zrobił to, co mu dyktował zdrowy rozsądek.

Parsknął rozżłoszczony. Ogarnęła go fala wściekłości.

Pielegniarka znowu podeszła. Była młoda, rudowłosa, o miłej, trochę bez wyrazu twarzy.

— Bardzo boli?

— Nie.

— Dam panu coś na sen.

— Obejdzie się.

— Ale...

— Wydaje się siostrze, że nie jestem w stanie znieść tej odrobiny bólu i bezsenności?

Uśmiechnęła się łagodnie z poczuciem wyższości.

— Lekarz kazał dać panu coś na sen.

— Nie obchodzi mnie, co kazał lekarz.

Wygladziła koldrę i przysunęła bliżej szklanek z pićm.

— Przepraszam, jeśli byłem nieuprzejmy — powiedział trochę zawstydzony.

— Nie ma za co.

Irytowało go, że nie dała się wyprowadzić z równowagi. Nic nie potrafiło się przebić przez tę profesjonalną zbroję pobłażliwej obojętności. Był tylko pacjentem, nie człowiekiem.

— Gdyby ci dranie nie wsadzali nosa w cudze sprawy, gdyby nie te cholerne przeszkody...

— No, no, ładnie tak mówić? — pogroziła mu palcem.

— Ładnie?! Ładnie?! Wielki Boże!

— Rano poczuje się pan lepiej — złagodniała.

Przełknął ślinę.

— Pielęgniarki, pielęgniarki! Jesteście nieludzkie, ot, co!

— Bo wiemy, co dla pana dobre, rozumie pan?

— To właśnie doprowadza mnie do szalu. U pani, w całym tym szpitalu, w ogóle w życiu. Ciągłe wtykanie nosa w nie swoje sprawy. Niektórzy wiedzą lepiej, co dobre dla innych. Próbowałem się zabić, wie o tym siostra, prawda?

Skinęła głową.

— Nikogo nie powinno obchodzić, czy chcę się rzucić z tego parszywego urwiska, czy nie. Skończyłbym ze sobą. Jestem życiowym rozbitkiem!

Cmoknęła, co miało oznaczać współczucie. Był pacjentem. Pozwalała mu upuścić trochę pary, żeby odczuł ulgę.

— Dlaczego nie miałbym się zabić, jeżeli mam na to ochotę? — zapytał.

— Bo tak nie można — odpowiedziała poważnie.

— Dlaczego nie można?

Popatrzyła niepewnie. Nie dlatego, żeby zwątpiła w swoją rację, ale z powodu nieumiejętności wyrażenia jej słowami.

— No, to znaczy... samobójstwo to grzech. Trzeba nieść swój krzyż, czy się chce, czy nie.

— Niby dlaczego?

— No, bo są jeszcze inni ludzie, o których trzeba pamiętać.

— To mnie nie dotyczy. Nie ma żywej duszy, którą by obchodziło, co się ze mną stanie.

— Nie ma pan krewnych? Matki, siostry, kogoś bliskiego?

— Nikogo. Kiedyś miałem żonę, ale mnie porzuciła, miała zresztą rację.

Wiedziała, że do niczego się nie nadaje.

— Ale chyba ma pan jakichś przyjaciół?

— Nie, nie mam. Nigdy nie byłem towarzyski. Niech siostra posłucha, co powiem. Wiodło mi się nieźle. Miałem pracę i niebrzydką żonę. Potem zdarzył się wypadek samochodowy. Mój szef prowadził wóz, ja byłem pasażerem. Szef chciał mnie skłonić do zeznania na policji, że kiedy zdarzył się wypadek, jechał z prędkością poniżej trzydziestki. Tak nie było. Jechaliśmy około pięćdziesiątki. Nie było ofiar,

nikt nie zginął, nic z tych rzeczy. Chciał po prostu dostać swoje odszkodowanie z firmy ubezpieczeniowej. Nie powiedziałem tego, czego po mnie oczekiwał. To byłoby kłamstwo. Ja nie kłamię.

— Cóż, myślę, że postąpił pan całkiem słusznie. Całkiem słusznie — rzekła pielęgniarka.

— Tak siostra naprawdę uważa? Szef mi tego nie zapomniał. Ta moja tępota kosztowała mnie pracę. Zadbał o to, żebym nie dostał innej. Żonie znudziło się patrzeć, jak bezskutecznie zebrzę wokół o jakieś zajęcie. Odeszła z człowiekiem, który był moim przyjacielem. Powodziło mu się dobrze. Ja powoli się staczałem. Zacząłem pić, trochę, a to mi nie pomagało zaczepić się nigdzie na dłużej. W końcu zdrowie też nie wytrzymało. Lekarze orzekli, że już nigdy nie wrócę do pełnej formy. No i po co żyć? To było najprostsze i najmniej kłopotliwe rozwiązanie. Moje życie ani mnie, ani nikomu na nic się nie zda.

— Nigdy nie wiadomo — powiedziała.

Roześmiał się. Nastrój mu się poprawił. Jej naiwny upór rozbawi go.

— Moja droga, komu mogę być potrzebny?

— Nigdy nie wiadomo. Może kiedyś... — powiedziała niepewnie.

— Kiedyś? Nie będzie żadnego kiedyś. Następnym razem lepiej się postaram. Zaprzeczyła zdecydowanie.

— Ach, nie. Teraz już pan się nie zabije.

— A to dlaczego?

— Tacy jak pan nie próbują drugi raz.

Utkwił w niej wzrok. „Tacy nie próbują drugi raz”. Należał do klasy niedoszłych samobójców. Już otwierał usta, żeby energicznie zaprotestować, kiedy jego wewnętrzna uczciwość powstrzymała go.

Czy rzeczywiście zrobiłby to jeszcze raz? Czy naprawdę ma taki zamiar?

Zdał sobie nagle sprawę, że nie. Nie wiedział, dlaczego. Może jej zawodowe przekonanie miało z tym coś wspólnego. Niedoszli samobójcy nie próbują drugi raz.

Był jednak zdecydowany sprowokować ją, żeby wyjawiała swój pogląd etyczny na tę sprawę.

— W każdym razie miałem prawo zrobić ze swoim własnym życiem to, na co miałem ochotę,



— Nie, nie miał pan.

— Dlaczego, drogie dziecko, powiedz, dlaczego?

Zaczerwieniła się. Bawiąc się złotym krzyżykiem, zawieszonym na łańcuszku na szyi, powiedziała:

— Nie rozumie pan? Bóg może pana potrzebować.

Zaskoczony znów wlepił w nią wzrok. Nie miał zamiaru siać zwątpienia w jej wierzącej duszyczce. Spytał z lekką ironicznie:

— Żebym pewnego dnia powstrzymał konia, który poniósł, i uratował od śmierci złotowłose dziecię, o to chodzi?

Potrząsnęła głową. Z widoczną trudnością starając się wyrazić gwałtowne emocje, rzekła:

— Gdzieś może wystarczyć sama pana obecność, nawet nie jakieś czyny, po prostu obecność w określonym miejscu i określonym czasie. Ojej, jak trudno mi to wyrazić, to takie bardzo ważne dla mnie... sama pana obecność, pan może nawet nie zdawać sobie sprawy, że coś ważnego się dzieje.

Rudowłosa pielęgniarka pochodziła z zachodniego wybrzeża Szkocji, a w jej rodzinie niektórzy mieli dar „widzenia”.

Być może właśnie teraz, jak przez mgłę zamajaczyła jej postać mężczyzny, który wrześnie nocą idzie drogą i dzięki temu ratuje inną ludzką istotę od strasznej śmierci...

14 lutego

W pokoju znajdował się tylko jeden człowiek, a jedynym dźwiękiem, jaki stamtąd dobiegał, było skrzypienie pióra, którym człowiek ów metodycznie pisał coś i pisał na kartkach papieru.

Nie było nikogo innego, kto mógłby przeczytać pojawiające się słowa. Gdyby jednak ktoś taki się znalazł, nie uwierzyłby własnym oczom. Kartka zawierała precyzyjny i dopracowany w szczegółach plan morderstwa.

Są chwile, kiedy ciało jest świadome umysłu, który nim kieruje, kiedy słucha posłusznie tego czegoś, co steruje jego działaniem. Są inne chwile: kiedy to umysł jest świadom, że rządzi i steruje ciałem, kiedy realizuje swoje cele za pomocą ciała.

Osoba zajęta pisaniem znajdowała się w tym drugim stanie. To był umysł — chłodna, kontrolowana inteligencja. Umysł owładnięty jedną ideą, jednym celem — zniszczenia innej istoty ludzkiej. Żeby ten cel zrealizować, skrupulatnie opracowywał plan. Każda ewentualność, każda możliwość zostały wzięte pod uwagę. Plan miał być absolutnie niezawodny. Podobnie jak wszystkie dobre plany, musiał być elastyczny. W newralgicznych punktach przewidywał różne, zależne od okoliczności, możliwości działania. Co więcej, ponieważ opracowywał go umysł inteligentny, uwzględniał odpowiedni margines na sytuacje nieprzewidywalne. Główne punkty były jednak precyzyjnie określone i sprawdzone. Czas, miejsce, metoda, ofiara...

Gotowe. Kartki poskładane, przeczytane uważnie od początku do końca. Tak, rzecz przedstawia się krystalicznie jasno.

Na poważnej dotąd twarzy zagościł uśmiech. Nie był to uśmiech człowieka będącego przy całkiem zdrowych zmysłach. Teraz głęboki wdech.

Skoro człowiek uczyniony został na obraz i podobieństwo boskie, uśmiech ten był straszliwą parodią radości Stwórcy.

Tak, wszystko zostało zaplanowane, reakcje uczestników wydarzeń przewidziane, środki zaradcze ustalone. Gra na dobrych i złych strunach natury ludzkiej, wszystko to w najzupełniejszej harmonii z jednym złowrogim celem.

Brakowało ostatniego elementu.

Autor z uśmiechem dopisał datę: wrześniową.

Potem, uśmiechając się nadal, podarł starannie kartki, podszedł do kominka i wrzucił je do ognia. Nie było miejsca na lekkomyślność. Najdrobniejszy skrawek został spalony na popiół. Plan istniał teraz wyłącznie w umyśle jego twórcy.

8 marca

Nadkomisarz Battle siedział właśnie przy śniadaniu. Szczęka drgała mu od tłumionego napięcia, kiedy czytał powoli i uważnie list, który wręczyła mu ze łzami w oczach żona. Na jego twarzy nie było śladu emocji, bowiem nigdy nie pozwalał sobie na ich uzewnętrznianie. Twarz Battle'a była jak wyciosana z drewna: niewzruszona, twarda, wzbudzająca respekt. Nadkomisarz Battle nie robił wrażenia

człowieka błyskotliwego, nie był nim z pewnością, ale w nieokreślony sposób budził zaufanie. Jak opoka.

— Nie do wiary — siąknęła nosem pani Battle — Sylvia!

Sylvia, najmłodsza z pięciorga dzieci nadkomisarza i pani Battle, miała szesnaście lat i uczęszczała do szkoły z internatem w Maidstone.

List pochodził od panny Amphrey, dyrektorki tejże szkoły. Był klarowny, uprzejmy i w najwyższym stopniu taktowny. Czarno na białym donosił, że szkołę od pewnego czasu nękały drobne kradzieże, sprawiające kłopoty szkolnym władzom, że sprawę ostatecznie wyjaśniono, że Sylvia Battle przyznała się do winy, i że panna Amphrey chciałaby zobaczyć się z panem i panią Battle jak najszybciej, „żeby przedyskutować zaistniałą sytuację”.

Nadkomisarz Battle złożył list, włożył go do kieszeni i powiedział do żony:

— Ja się tym zajmę, Mary.

Wstał, obszedł stół i poklepał żonę pieszczotliwie po policzku.

— Nie przejmuj się, kochanie, wszystko będzie dobrze.

Wyszedł, pozostawiając atmosferę ulgi i spokojnej pewności.

Później tego samego dnia, roztaczając aurę rzetelności i uczciwości, nadkomisarz Battle siedział w saloniku panny Amphrey. Było to wnętrze nowoczesne i noszące cechy indywidualizmu właścicielki. Nadkomisarz oparł swoje wielkie, jakby drewniane, dłonie na kolanach i — z powodzeniem — starał się wyglądać jeszcze bardziej niż zwykle na policjanta w każdym calu.

Jako dyrektorka szkoły panna Amphrey odnosiła znaczne sukcesy. Miała osobowość, i to nie lada; była osobą światłą i postępową, łączyła dyscyplinę ze współczesnymi kierunkami wychowania opartymi na poszanowaniu wolnej woli.

Jej pokój reprezentował ducha Meadway. Wszystko było w chłodnych beżach, wokół porozstawiano dzbany z żonkilami i wazy pełne tulipanów i hiacyntów. Jedna czy dwie kopie starożytnych rzeźb greckich, dwa przykłady rzeźby nowoczesnej, na ścianach obrazy włoskich prymitywistów. Pośród tego wszystkiego — panna Amphrey we własnej osobie, odziana w głębokie błękity, z ochoczą miną entuzjastycznego charta i jasnoniebieskimi oczami patrzącymi poważnie zza silnych szkieł.

— Najważniejsze — mówiła swoim czystym i starannie modulowanym głosem — to zajęcie się sprawą we właściwy sposób. Przede wszystkim musimy myśleć o samej dziewczynie, panie Battle, przede wszystkim o Sylvii. To sprawa najwyższej wagi, najwyższej wagi, żeby w żaden sposób nie zrujnować jej życia. Nie wolno jej narzucić poczucia winy, musimy być nadzwyczaj ostrożni w wymierzaniu kary, jeśli w ogóle ja ukarzymy. Musimy dotrzeć do głębszych przyczyn takiego zachowania. Może kompleks niższości? Nie odnosi sukcesów na lekcjach wychowania fizycznego, pan rozumie, może chciała zabłysnąć na innym polu, zaspokoić swoją ambicję? Trzeba być wielce ostrożnym. Dlatego właśnie chciałam się najpierw spotkać z panem na osobności. Chodzi o to, żeby był pan z Sylwią bardzo ostrożny. Powtarzam: najważniejsze to stwierdzić, co się za tym kryje.

— Po to właśnie przyjechałem, panno Amphrey. Powiedział to głosem spokojnym, z twarzą bez wyrazu. Badawczo taksował dyrektorkę wzrokiem.

— Obchodziłam się z nią bardzo łagodnie.

— To dobrze — stwierdził lakonicznie.

— Widzi pan, staram się zrozumieć te młode istoty.

Battle nie odpowiedział wprost.

— Chciałbym teraz zobaczyć się z córką, jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, panno Amphrey — rzekł.

Panna Amphrey znów pouczyła go z naciskiem, żeby był ostrożny, żeby się nie spieszył, żeby nie uraził dziecka, które dopiero budzi się do kobiecości.

Nadkomisarz Battle nie okazywał zniecierpliwienia. Patrzył obojętnie.

Wreszcie przeszli na piętro, do gabinetu. Po drodze w korytarzu minęli kilka dziewcząt. Przyjęły pozy pełne szacunku, ale oczy im błyszczały ciekawością. Wprowadziwszy nadkomisarza do pokoiku, mniej ostentacyjnego w demonstrowaniu osobowości pani dyrektor niż salonik na dole, panna Amphrey wycofała się, obiecując przysłać Sylwię.

Battle zatrzymał ją w drzwiach.

— Jedną chwileczkę, łaskawa pani, jak udało się pani dojść do tego, że to Sylvia jest odpowiedzialna za te, hm, braki?

— Zastosowałam metody psychologiczne, panie Battle.

Było to powiedziane z dumą i godnością.

— Metody psychologiczne? Hmm. A co z dowodami, panno Amphrey?

— No, rozumiem pana, rzecz jasna, panie Battle. Pan musi patrzeć na sprawy w ten sposób. Skrzywienie zawodowe, rzekłabym. Ale psychologia zaczyna być już uznawana w kryminologii. Zapewniam pana, nie ma tu żadnej pomyłki. Sylvia przyznała się do wszystkiego.

— Oczywiście, oczywiście, wiem. Pytam po prostu, czy od początku wpadła pani na to, że to może być Sylvia? Skąd pani wiedziała?

— No więc tak, panie Battle, ta niemiła sprawa z ginięciem rzeczy z szafek dziewcząt stawała się coraz uciążliwsza. Zwołałam zebranie wszystkich dziewcząt, całej szkoły, i przedstawiłam im fakty. Równocześnie dyskretnie przyglądałam się ich buziom. Sylvia od razu wzbudziła moje podejrzenia. Miała minę winowajcy. Od tej chwili już wiedziałam, kto to zrobił. Jednakże nie chciałam sama udowadniać jej winy, chciałam zmusić ją, żeby sama się przyznała. Zrobiłam jej mały test, test na kojarzenie słów.

Battle skinął głową na znak, że rozumie.

— I w końcu dziewczyna przyznała się do wszystkiego.

— Rozumiem.

Panna Amphrey zawahała się na moment i wreszcie wyszła.

Battle stał, wyglądając przez okno, kiedy drzwi cicho się otworzyły.

Odwrócił się powoli i spojrzał na córkę.

Sylvia stała oparta o drzwi, które zamknęła za sobą. Była wysoka, ciemna, chuda jak patyk. Na posępnej twarzy widać było ślady łez. Powiedziała bez buntu, bojaźliwie:

— Więc jestem.

Battle przyglądał jej się dłuższą chwilę. Westchnął.

— Nie powinienem był posyłać cię do tej szkoły. Ta kobieta to idiotka.

Sylvia, niesłychanie zdumiona, zapomniała o swoich kłopotach.

— Panna Amphrey? Ależ ona jest cudowna. Wszystkie tak uważamy.

— Hm. Więc w takim razie nie jest skończoną idiotką, skoro potrafiła zrobić na was takie dobre wrażenie. Niemniej jednak uważam, że Meadway to nie jest miejsce dla ciebie, chociaż, bo ja wiem, to się mogło zdarzyć wszędzie.

Sylvia wykręcała sobie ręce. Wzrok wbiła w ziemię,

— Tak mi przykro, ojczy. Naprawdę.

— I powinno ci być. Chodź tu.

Podeszła, ociągając się. Swoją potężną, kanciastą ręką wziął ją pod brodę i z bliska przyjrzał się jej twarzy.

— Miałaś nie lada przejścia, co? — rzekł łagodnie.

W jej oczach zabłyły łzy. Zaczął mówić powoli.

— Posłuchaj, Sylvio. Wiem równie dobrze jak i ty, że coś się wydarzyło.

Większość ludzi ma różne słabości. Zazwyczaj sprawy wyglądają prosto. Widać, kiedy dziecko jest zachłanne albo wybuchowe, albo ma skłonności do znęcania się nad innymi. Ty byłaś dobrym dzieckiem, bardzo spokojnym, łagodnym, nie sprawiałaś żadnych kłopotów, aż się czasem martwiłem. Jeżeli coś ma ukrytą wadę, to — pomimo że tego nie widać — nie nadaje się do użytku.

— Tak jak się zdarzyło ze mną.

— Tak jak z tobą. Załamałaś się pod obciążeniem i to w niespodziewany sposób. Nie spotkałem się jeszcze z czymś takim.

— Ze złodziejami chyba już się spotykałeś?! — w jej głosie zabrzmiała pogarda.

— Oczywiście. I wiem o nich wszystko, l dlatego — a nie dlatego że jestem twoim ojcem (a ojcowie niewiele wiedzą o swoich dzieciach), ale dlatego że jestem policjantem — wiem, że nie jesteś złodziejką. Nie przywłaszczyłaś sobie tutaj niczego. Są dwie kategorie złodziei: tacy, którzy poddają się nagłej i przemożnej pokusie (co się zdarza rzadko, aż dziw, jakim pokusom potrafi się oprzeć zwykły uczciwy człowiek) oraz tacy, którzy biorą cudze, jakby to do nich należało. Nie należysz do żadnej z tych kategorii. Nie jesteś złodziejem, natomiast należysz do nietypowej kategorii kłamców.

— Ale... — zaczęła.

Wtrącił się.

— Przyznałaś się do wszystkiego? Tak, tak, wiem o tym. Była kiedyś pewna święta. Wynosiła biedakom chleb. Jej mężowi to się nie podobało. Kiedyś zaskoczył ją, gdy niosła kosz, i zapytał, co w nim ma. W panice powiedziała: „Róże”. Otworzył kosz, a w środku były... róże. Cud! Gdybyś ty była świętą Elżbietą i wychodziła z koszykiem róż, na pytanie „Co tam masz?”, w panice odpowiedziałabyś: „Chleb”.

— Tak to właśnie było, prawda? — dodał łagodnie po chwili.

Po dłuższym milczeniu skinęła głową.

— Powiedz mi, dziecino, jak to się stało?

— Zebrała nas wszystkie. Wygłosiła mowę. Nagle zobaczyłam jej wzrok i wiedziałam, że ona myśli, że to ja! Poczułam, że się czerwienię. Zobaczyłam, że niektóre dziewczyny zaczynają na mnie zerkać. To było okropne. Potem wszyscy zaczęli mi się przyglądać, szeptać po kątach. Zdawało mi się, że wszyscy mnie podejrzewają. Wtedy panna Amphrey zaprosiła mnie i jeszcze parę koleżanek do gry w skojarzenia. Ona mówiła słówka, a my odpowiadałyśmy.

Battle mruknął z niesmakiem.

— Wiedziałam, co to znaczy. Ogarnął mnie jakby paraliż. Starałam się nie podać jakiegoś nieodpowiedniego skojarzenia. Próbowałam myśleć o obojętnych rzeczach, wiewiórkach, kwiatach, a Amphrey ciągle świdrowała mnie spojrzeniem, jakby się chciała wwiercić w moją duszę. Potem, och, to stawało się nie do zniesienia, Amphrey rozmawiała ze mną tak miło, z taką wyrozumiałością, że... że... załamalam się zupełnie i powiedziałam, że ja to zrobiłam. Och, tatusiu, co za ulga!

Battle poskrobał się po brodzie.

— Rozumiem.

— Rozumiesz mnie?

— Nie, Sylvio, nie rozumiem cię, bo sam jestem ulepiony z innej gliny. Gdyby ktokolwiek starał się mnie zmusić, żebym przyznał się do czegoś, czego nie popełniłem, to raczej dałbym mu w szczękę. Ale rozumiem, jak się sprawy miały w twoim wypadku. Ta wasza Amphrey, o świdrującym spojrzeniu, miała przed nosem taki przykład psychologiczny, że nawet niedopieczony wyznawca tych niezrozumiałych teorii nie potrzebowałby lepszego. No, teraz musimy zadbać o wyczyszczenie tego bałaganu. Gdzie jest panna Amphrey?

Panna Amphrey była na podorędziu. Współczujący uśmiech zamarł jej na wargach, gdy nadkomisarz Battle oświadczył kategorycznie:

— Żądając sprawiedliwości dla mojej córki, jestem zmuszony prosić panią o zawiadomienie miejscowej policji o tej sprawie.

— Ależ, panie Battle, przecież Sylvia sama...

— Sylvia nie tknęła tutaj żadnej cudzej rzeczy.

— Doskonale pana rozumiem, jako ojciec...

— Nie mówię jako ojciec, ale jako oficer policji. Policja pani pomoże to wyjaśnić. Będą dyskretni. Spodziewam się, że wszystko się znajdzie, poutykane w jakimś kącie, z mnóstwem odcisków palców. Takie małe złodziejaszki nie używają rękawiczek. Teraz zabieram córkę do domu. Gdyby policja znalazła jakiegokolwiek rzeczywiste dowody wiążące ją z tymi kradzieżami, zadbam o to, żeby stanęła przed sądem i poniosła odpowiedzialność. Ale do tego nie dojdzie.

Kiedy wyjeżdżał za bramę pięć minut później z Sylvią u boku, zapytał:

— Kim jest taka blondynka, trochę kędzierzawa, z czerwonymi policzkami, znamieniem na brodzie i dużymi niebieskimi oczami? Minałem ją na korytarzu.

— To pewnie Olivia Parsons.

— Nie byłbym zdziwiony, gdyby się okazało, że to ona.

— Wyglądała na zalęknioną?

— Och, nie, wyglądała na zadowoloną z siebie. Spokojne zadowolenie z siebie — ileż razy widziałem to w sali przesłuchań. Założyłbym się o każde pieniądze, że to jej sprawka. Taka nigdy się nie przyzna!

— Czuję się, jakbym budziła się z koszmarne snu — westchnęła. — Och, jak bardzo mi przykro. Jak mogłam być taką idiotką, taką skończoną idiotką? Naprawdę czuję się podle.

— Już dobrze — poklepał ją po ramieniu, zdejmując rękę z kierownicy. Był to jego ulubiony sposób zdawkowego pocieszania innych. — Nie martw się. Takie doświadczenia zsyła nam niebo. Tak, niebo, żeby nas wypróbować. Tak przynajmniej mi się wydaje. Nie wiem, po co innego mogłyby być nam zsyłane...

19 kwietnia

Dom Neville'a Strange'a w Hindhead był skąpany w promieniach słońca.

Takie upalne dni jak ten zdarzają się czasami w kwietniu, gorętsze niż większość dni lipcowych, które nastąpią później.

Neville Strange schodził po schodach. Ubrany był w biały strój do tenisa, pod pachą trzymał cztery rakiety.

Gdyby ktoś chciał znaleźć wśród Anglików przykład człowieka, któremu nic nie brakuje do szczęścia, wybór bez wątpienia padłby na Neville'a Strange'a.



Publiczność brytyjska знаła go dobrze. Wybitny tenisista i wszechstronny sportowiec. Jakkolwiek nigdy nie zakwalifikował się do finału Wimbledonu, wiele razy brał udział w eliminacjach, a w mikście (deblu mieszanym) doszedł dwukrotnie do półfinału. Był sportowcem zbyt wszechstronnym, żeby zostać championem w tenisie. W golfie miał niewielu równych sobie, doskonale pływał, w Alpach pokonał bez trudu wiele dróg wspinaczkowych. Miał trzydzieści trzy lata, żelazne zdrowie, urodę, pieniądze, przepiękną młodą, niedawno poślubioną, żonę i — przynajmniej z pozoru — żadnych kłopotów czy zmartwień.

A jednak, gdy tak schodził po schodach, ciągnął się za nim jakiś cień. Cień niewidoczny, być może, dla nikogo poza nim. Cień ten kładł się zmarszczką na jego czole i malował na jego twarzy wyraz troski i niezdecydowania.

Przeszedł przez hol, wzruszył ramionami, jakby zrzucając z nich jakiś ciężar i wyszedł przez salon na oszkloną werandę, gdzie jego żona, Kay, usadowiła się wygodnie wśród poduszek, popijając pomarańczowy sok.

Kay Strange skończyła dwadzieścia trzy lata i była niezwykle urodziwa. Miała szczupłą, lecz zmysłową figurę, ciemnorude włosy i nieskalaną cerę praktycznie nie wymagającą makijażu, ciemne oczy i brwi — takie, jakie rzadko kiedy towarzyszą rudym włosom, a kiedy już to się zdarzy, robią piorunujące wrażenie.

Nevile zwrócił się do niej lekkim tonem:

— Cześć, moja śliczna, co mamy na śniadanie?

— Dla ciebie okropnie krwiste cynaderki, grzyby i roladę z boczku.

— To mi się podoba.

Nałożył sobie na talerz tych potraw i nalał filiżankę kawy. Zapadła na kilka minut cisza, niemająca nastroju przyjacielskiego zrozumienia.

— Ach, popatrz — Kay przeciągnęła się zmysłowo, przebierając palcami stóp o pomalowanych szkarłatnym lakierem paznokciach — czyż to słońce nie jest cudowne? Anglia nie jest w końcu taka zła.

Właśnie wrócili z południa Francji.

— Uhm — Neville, spojrzawszy od niechcienia na tytuły w gazecie, zajął się stroną wiadomości sportowych.

Następnie skupił się na tostach z dżemem, po czym odłożył gazetę i zaczął przeglądać korespondencję. Było tego sporo, ale większość listów gniótł i wyrzucał. Ogłoszenia, reklamy, druki.

— Nie podobają mi się kolory w salonie. Czy pozwolisz mi zmienić wystrój?

— Cokolwiek zechcesz, kochanie.

— Na przykład pawi błękit — powiedziała w rozmarzeniu — i tapicerka w kolorze kości słoniowej.

— Do tego to już tylko pasuje małpa. Skąd wezmiesz małpę?

— Ty możesz być małpą.

Nevile otworzył kolejny list.

— A, słuchaj, Shirty zaprosił nas na rejs jachtem do Norwegii na koniec czerwca.

Żałuję, że nie możemy jechać.

Spojrzała z ukosa na Nevile'a.

— Tak bardzo bym chciała... — powiedziała z żalem.

Można by pomyśleć, że coś, jakiś cień, jakaś niepewność zagościła na twarzy Nevile'a. Kay dodała buntowniczo:

— Musimy jechać do tej starej ponurej Camilli?

Nevile zmarszczył się.

— Naturalnie, że musimy. Posłuchaj, Kay, już to omawialiśmy. Sir Matthew był moim opiekunem prawnym. On i Camilla zajmowali się mną. Gull's Point był mi bardziej domem niż jakiegokolwiek inne miejsce na świecie,

— Dobra, dobra. Jak mus, to mus. Zresztą odziedziczymy forszę po jej śmierci, więc musimy się jej trochę popodlizywać.

Nevile rzekł ze złością:

— To nie kwestia podlizywania się. Nie Camilla o tym decyduje. Sir Matthew zapisał jej te pieniądze tylko w dożywocie, potem przechodzą na mnie i moją żonę. To kwestia synowskiego przywiązania. Dlaczego nie potrafisz tego zrozumieć?

Kay odparła po chwili:

— Ja to naprawdę rozumiem. Chciałam cię trochę sprowokować, bo... no, bo wiem, że z ledwością mnie tam tolerują. Nienawidzą mnie. Właśnie tak! Lady Tresilian traktuje mnie jak trędowatą, a ta Mary Aldin nigdy nie patrzy mi w oczy,

kiedy do mnie mówi. Tobie wydaje się, że wszystko jest w porządku, nie widzisz, co się naprawdę dzieje.

— Jednak wszyscy zawsze są dla ciebie bardzo uprzejmi. Wiesz przecież, że nie zniósłbym, gdyby miało być inaczej.

Kay rzuciła mu zdziwione spojrzenie spod ciemnych rzęs.

— Owszem, są grzeczni. Ale wiedzą, jak mi zaleźć za skórę. Uważają mnie za intruza, ot co.

— No, to dosyć zrozumiałe, sama wiesz...

Mówiąc to, zmienił trochę ton głosu. Wstał i oglądał widok za szybą, odwrócony plecami do Kay.

— O, tak, rzeczywiście, to zrozumiałe. Byli przywiązani do Audrey, prawda? — Głos jej zadrżał. — Miła, dobrze urodzona, chłodna i bezbarwna Audrey! Nie mogą mi wybaczyć tego, że zajęłam jej miejsce.

Nevile się nie odwrócił. Głos miał spokojny, przytłumiony.

— Weź pod uwagę, że Camilla jest już stara, po siedemdziesiątce. Jej pokolenie nie zaakceptowało rozwodów, sama rozumiesz. Ogólnie biorąc, przyjęła to zupełnie nieźle, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, jak bardzo... lubiła Audrey.

Kiedy wymawiał to imię, głos mu się lekko zmieniał.

— Uważają, że źle ją potraktowałeś.

— Zgadzam się — powiedział bezgłośnie, ale Kay go usłyszała.

— Ach, Neville, nie bądź głupi. Myślisz tak, bo ona zrobiła wokół tego okropnie dużo szumu.

— Nie zrobiła żadnego szumu. Audrey nigdy nie robi szumu.

— Ojej, wiesz, o co mi chodzi. Odeszła, rozchorowała się, obnosiła się ze swoją zboląłą miną i złamanym sercem. To właśnie nazywam robieniem szumu! Audrey nie potrafi przegrywać. Ja uważam, że jeśli żona nie potrafi utrzymać przy sobie męża, powinna odejść z godnością! Wy dwoje nie mieliście ze sobą nic wspólnego. Ona nigdy nie uprawiała sportów, zawsze anemiczna i jakby wyprana ze wszystkiego. Za grosz w niej życia, energii! Skoro naprawdę tak jej zależało na tobie, powinna pomyśleć o twoim szczęściu i cieszyć się, że będziesz szczęśliwy z kimś, kto lepiej do ciebie pasuje.

Nevile odwrócił się. Na wargach igrał mu sardoniczny uśmiezek.

— Ach, otóż nasza mała sportsmenka! Znawczyni fair play w miłości i małżeństwie!

Kay zaśmiała się i zaczerwieniła.

— No, dobrze, chyba się zagalopowałam. Ale w każdym razie stało się tak, jak się stało. Trzeba takie rzeczy przyjmować.

— Audrey to przyjęła. Zgodziła się na rozwód, więc ty i ja mogliśmy się pobrać — powiedział łagodnie.

— Tak, wiem... — zawahała się.

— Nigdy nie rozumiałaś Audrey.

— To prawda. Sama myśl o niej przyprawia mnie o gęsią skórkę. Nie wiem, dlaczego. Nigdy nie wiadomo, o czym myśli... Ona mnie trochę przeraża.

— Ależ to nonsens, Kay.

— Dobrze. Ale ja się boję. Może dlatego, że jest taka inteligentna.

— Moje głupiątko!

Kay roześmiała się.

— Zawsze tak mnie nazywasz.

— Bo właśnie taka jesteś.

Uśmiechnęli się do siebie. Neville podszedł do niej i schyliwszy się pocałował w kark.

— Moja cudowna Kay... — zamruczał.

— Bardzo dobra Kay — powiedziała Kay — rezygnuje ze wspaniałego rejsu jachtem, żeby pojechać do Saltcreek i dać się obrażać jakimś pruderyjnym krewniaczkom swojego męża, pamiętającym jeszcze epokę królowej Wiktorii.

Nevile wrócił do stołu i usiadł.

— Wiesz, właściwie to moglibyśmy pojechać z Shirty na tę wyprawę, jeżeli tak ci na tym zależy.

Kay aż podniosła się ze zdziwienia.

— A co z wyjazdem do Saltcreek i Gull's Point?

— Może moglibyśmy pojechać tam na początku września — powiedział niezupełnie naturalnym głosem.

— Ach, ale na pewno... — przerwała.

— Nie możemy jechać ani w lipcu, ani w sierpniu, bo są mistrzostwa — powiedział Neville. — Ale w St. Loo skończymy w ostatnim tygodniu sierpnia i aż się prosi, żeby jechać stamtąd prosto do Saltcreek.

— Pasowałoby świetnie, doskonale. Ale, pomyśl, no wiesz — przecież ona jeździ tam zawsze we wrześniu.

— Audrey? O nią ci chodzi?

— Tak. Może mogliby przełożyć jej pobyt, ale...

— Dlaczego mieliby przekładać?

Kay utkwiała w nim niepewne spojrzenie.

— Mamy być tam obie równocześnie? Poroniony pomysł.

Zirytował się.

— Nie uważam tego za poroniony pomysł. W dzisiejszych czasach ludzie robią takie rzeczy. Dlaczego nie miałybyście się zaprzyjaźnić? Dlaczego nie moglibyśmy utrzymywać dobrych stosunków we troje? To znacznie uprościłoby sprawy. Przecież sama o tym mówiłaś któregoś dnia,

— Ja?!

— Nie pamiętasz? Rozmawialiśmy o Howesach i ty powiedziałaś, że rozsądnym i kulturalnym wyjściem z sytuacji byłoby, gdyby nowa żona Leonarda i jego eksmałżonka zaprzyjaźniły się.

— Dobrze, ja nie miałabym nic przeciwko temu. Rzeczywiście uważam, że to rozsądne wyjście. Ale, rozumiesz, nie sądzę, żeby Audrey patrzyła na to w taki sam sposób.

— Nonsens.

— To nie nonsens. Wiesz przecież Neville, że Audrey naprawdę cię kochała... Nie sądzę, żeby zniosła taką sytuację.

— Nie masz racji, Kay. Audrey uważa, że to byłoby niezłe rozwiązanie.

— Audrey? Jak to — Audrey?! Skąd wiesz, co Audrey uważa?

Neville był z lekka zażenowany. Odchrząknął z zakłopotaniem.

— Prawdę mówiąc, przypadkowo natknąłem się na nią wczoraj w Londynie.

— Nic mi nie mówiłeś.

— Mówię ci teraz — Neville’a wyraźnie ogarnęła irytacja — to był czysty przypadek. Szedłem przez park i zobaczyłem ją, jak szła naprzeciw mnie. Chyba nie wolałabyś, żebym uciekł, prawda?

— Nie, oczywiście, że nie, Mów dalej.

— Zatrzymałem... zatrzymaliśmy się, oczywiście, ja zawróciłem i przeszedłem się z nią kawałek. Wydawało mi się, że przynajmniej tyle powinienem zrobić.

— Mów dalej.

— Usiedliśmy na ławce i trochę pogadaliśmy. Była bardzo miła, naprawdę bardzo miła.

— Urocze chwile...

— Rozmawialiśmy o tym i o owym. Była zupełnie naturalna, normalna i... i w ogóle.

— Po prostu rewelacja.

— Pytała mnie, jak się czujesz.

— Cóż za uprzejmość.

— Porozmawialiśmy chwilkę o tobie. Naprawdę, Kay, była niezwykle sympatyczna.

— Kochana Audrey!

— I wtedy jakoś tak wpadło mi do głowy, rozumiesz, że mogłoby być bardzo miło, gdybyście obie się zaprzyjaźniły, gdybyśmy mogli tak zebrać się razem. I przyszło mi na myśl, że mogłoby się to udać tego lata w Gull’s Point. Tam byłoby to całkiem naturalne.

— Ty na to wpadłeś?

— Ja... to znaczy... tak, oczywiście. To był wyłącznie mój pomysł.

— Nigdy mi nawet nie wspomniałeś, że ci taki pomysł chodzi ci po głowie.

— Bo wiesz, jakoś tak pomyślałem o tym dopiero wczoraj.

— Rozumiem. Ty zaproponowałeś, a Audrey podchwyciła to jako genialny pomysł.

Dopiero teraz zachowanie Kay zaczęło docierać do świadomości Neville’a. Powiedział:

— Coś nie tak, moja śliczna?

— Ależ skąd. Wszystko w najlepszym porządku. Nie przyszło do głowy ani tobie, ani twojej Audrey, że ja wcale nie muszę zachwycić się tym pomysłem?

Nevile utkwiał w niej wzrok.

— Ależ, Kay, a cóż ty możesz mieć przeciwko temu?

Kay przygryzła wargę.

Nevile ciągnął dalej.

— Przecież sama mówiłaś parę dni temu...

— Tylko nie zaczynaj znowu. Mówiłam o kimś innym, nie o nas.

— Ale właśnie twoje słowa nasunęły mi tę myśl.

— Nie próbuj robić ze mnie idiotki. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

Nevile przyglądał się jej z konsternacją.

— Właściwie, Kay, o co ci chodzi? Co masz przeciwko temu?

— Myślisz, że nic nie mam?

— No, co? Zazdrość czy coś takiego — to raczej może być z jej strony. —

Przerwał, zmieniając ton. — Widzisz, Kay, ty i ja potraktowaliśmy Audrey po świńsku. To znaczy, nie, nie to chciałem powiedzieć. To nie o ciebie chodzi. To ja potraktowałem ją bardzo źle. I nie wystarczy powiedzieć, że nic na to nie mogłem poradzić. Uważam, że gdyby to spotkanie się udało, kamień spadłby mi z serca. Poczulbym się szczęśliwszy.

— To znaczy, że teraz nie jesteś szczęśliwy — powiedziała z wolna.

— Moja najdroższa głupiutka Kay, o co ci chodzi? Oczywiście, że jestem szczęśliwy, szczęśliwy jak nigdy w życiu. Ale...

Przerwała mu.

— „Ale”! To jest właśnie to! Zawsze jest w tym domu jakieś „ale”. Jakiś cholerny cień, od którego ciarki chodzą po plecach, wisi nad tym miejscem. Ten cień to Audrey!

Nevile gapił się na nią.

— Chcesz powiedzieć, że jesteś zazdrosna o Audrey? — spytał.

— Nie jestem o nią zazdrosna. Ja się jej boję... Neville, nawet nie wiesz, jaka ona jest.

— Nie wiem, jaka jest po ośmiu z górą latach małżeństwa z nią?!

— Nie wiesz, jaka ona jest — powtórzyła Kay.

30 kwietnia

— Nedorzeczność! — stwierdziła lady Tresilian. Poprawiła się na poduszkach i rozejrzała ze złością po pokoju. — Absolutna niedorzeczność! Neville chyba oszalał.

— W istocie, wygląda to dziwnie — zgodziła się Mary Aldin.

Lady Tresilian miała niepospolitą twarz, o wąskim u nasady nosie, i spojrzeniu, które — jeśli tego wymagała sytuacja — potrafiło mieszać rozmówcę z błotem. Chociaż skończyła już dawno siedemdziesiąt lat i zdrowie jej nie dopisywało, potrafiła utrzymać wrodzoną sobie żywość umysłu. Od czasu do czasu wycofywała się z atakującego ją życia i jego emocji na dłuższe chwile odpoczynku i wtedy leżała z półprzymkniętymi oczami, ale wychodziła z tych stanów półdrzemki z nowymi zasobami energii umysłowej i językiem wyostrzonym do granic możliwości. Ułożona na poduszkach w wielkim łożu stojącym w kącie jej pokoju, utrzymywała swój dwór żelazną ręką jak jakaś absolutna monarchini. Mieszkała z nią Mary Aldin, daleka krewna, teraz jej opiekunka. Obie panie rozumiały się doskonale. . Mary miała trzydzieści sześć lat, ale jej twarz należała do tych, z których nie można odczytać wieku i nie zmieniają się z upływem lat. Można jej było dać zarówno trzydzieści, jak i czterdzieści pięć lat. Miała zgrabną figurę, doskonałe maniery i ciemne włosy z siwym — nad czołem — pasmem, dodającym jej szczególnego uroku. Takie pasemka były ongiś w modzie, ale jej było najzupełniej naturalne i pojawiło się już we wczesnej młodości.

Uważnie przyglądała się listowi od Neville'a Strange'a, który wręczyła jej lady Tresilian.

— Tak, w istocie, to wygląda nader dziwnie.

— Tylko mi nie mów, że to pomysł Neville'a. Ktoś mu to musiał wbić do głowy. Pewnie ta jego nowa żona.

— Kay? Myśli pani, że to pomysł Kay?

— To do niej całkiem podobne. Nowoczesna i pospolita. Jeśli już żony i mężowie muszą ogłaszać swoje trudności publicznie i musi dochodzić do rozwodów, to mogliby przynajmniej rozstawać się dyskretniej. Nowa i stara żona, które zaprzyjaźniają się ze sobą, to pomysł, moim zdaniem, w najwyższym stopniu niesmaczny. Dzisiaj już nikt nie ma żadnych zasad!



— Myślę, że to po prostu współczesne obyczaje — rzekła Mary.

— Ale nie w moim domu! Wydaje mi się, że zrobiłam wszystko, czego można ode mnie wymagać, skoro w ogóle toleruję tę lafiryndę z pomalowanymi paznokciami stóp.

— Jest żoną Nevile’a.

— Właśnie. Tylko dlatego ją toleruję. Uważam, że Matthew by tego chciał. Był do chłopaka bardzo przywiązany i zawsze chciał, żeby Nevile uważał ten dom za swój własny. Gdybym odmówiła przyjmowania jego żony, wyglądałoby to na otwartą wojnę. Dałam spokój i zaprosiłam ją. Ale nie lubię jej, to nieodpowiednia żona dla Nevile’a — żadnego wychowania, żadnych korzeni.

— Jest dobrze urodzona — rzekła Mary, chcąc ją ułagodzić.

— Ale z gorszej gałęzi! Jej ojciec, mówiłam ci przecież, musiał wystąpić ze wszystkich klubów, do których należał, po tej aferze z kartami. Na swoje szczęście wkrótce potem zmarł. A jej matka na Rivierze dała się poznać z nie najlepszej strony. W jakiej atmosferze ta dziewczyna wyrosła! Życie w hotelach i taka matka! Potem na kortach spotyka Nevile’a, zagina na niego parol i nie daje mu spokoju, dopóki nie opuści żony, którą przecież kochał bez pamięci, i nie ożeni się z nią. Ta cała sprawa to wyłącznie jej wina.

Mary uśmiechnęła się ledwo dostrzegalnie. Lady Tresilian, niegdysiejszym zwyczajem, w tego rodzaju sprawach zawsze obwiniała kobiety, a miała skłonność do wybaczenia mężczyznom.

— Ściśle rzecz biorąc, Nevile’a można by obciążyć odpowiedzialnością w co najmniej równym stopniu.

— To prawda — zgodziła się lady Tresilian — to w dużym stopniu wina Nevile’a. Miał czarującą żonę, która zawsze była mu oddana, może nawet za bardzo. Niemniej jednak jestem pewna, że gdyby nie zawziętość tej dziewczuchy, to Nevile opamiętałby się wreszcie. Ale ona się zaparła i postanowiła, że za niego wyjdzie! Tak, jestem całkowicie po stronie Audrey. Bardzo ją lubię. Mary westchnęła.

— To wszystko takie skomplikowane.

— Tak, z pewnością. Nigdy nie wiadomo, co robić w takiej trudnej sytuacji. Tak jak Matthew, przepadam za Audrey. Nikt nie może powiedzieć, że nie była dobrą żoną dla Nevile’a. Może tylko szkoda, że nie dzieliła jego zainteresowań. Nie była

wysportowana. To wszystko jest takie przygnębiające. Za moich czasów to się po prostu nie zdarzało. Owszem, mężczyźni miewali swoje „sprawki”, oczywiście, ale nie wazyli się rozbijać małżeństwa.

— Teraz są inne czasy i takie rzeczy są na porządku dziennym — powiedziała Mary bez ogródek.

— Właśnie tak. Masz tyle zdrowego rozsądku, moja droga. Nie warto wspominać dawnych dobrych czasów. Rozwody uważa się za coś normalnego i dziewczyny pokroju Kay Mortimer odbierają mężów porządnym kobietom, a nikt nie ma prawa powiedzieć o nich złego słowa.

— Z wyjątkiem takich osób jak pani, Camillo!

— Ja się nie liczę. Kay nie obchodzi, czy pochwalam to, co robi, czy też nie. Jest zbyt zajęta używaniem życia. Neville może ją przyprowadzać ze sobą, nie mam nawet nic przeciwko temu, żeby przyjmować tu jej znajomych, chociaż nie przepadam za tym dekoracyjnym młodzieńcem, który się koło niej wciąż kręci, jak mu tam...

— Ted Latimer?

— Właśnie. Pamiątka z pobytu na Rivierze. Dużo bym dała, żeby się dowiedzieć, z czego on właściwie żyje, i to na takim poziomie.

— Wykorzystuje wrodzoną bystrość umysłu.

— O bystrość umysłu go nie podejrzewam. To raczej jego wygląd zapewnia mu środki utrzymania. Niezbyt odpowiedni przyjaciel dla żony Neville'a. Już w zeszłym roku nie podobało mi się, jak przyjechał tutaj i zatrzymał się w hotelu Easterhead Bay w czasie, kiedy oni byli tu u mnie.

Mary wyjrzała przez otwarte okno. Dom lady Tresilian był położony na skarpie schodzącej ku rzece Tern. Po drugiej stronie rzeki mieścił się, wybudowany niedawno, ośrodek wczasowy Easterhead Bay, z szeroką piaszczystą plażą, kąpieliskiem, paroma nowoczesnymi bungalowami i wielkim gmachem hotelu na wysokim brzegu nad morzem. Samo Saltcreek było wioską rybacką, złożoną z niewielu chat. rozrzuconych malowniczo na zboczu nadmorskiego pagórka. Mieszkańcy stanowili społeczność tradycyjną, konserwatywną i serdecznie nie znosili Easterhead Bay i jego wczasowiczów.

Hotel znajdował się niemal dokładnie naprzeciwko domostwa lady Tresilian. Mary przyglądała mu się, jak stał po drugiej stronie wąskiej wstęgi rzeki, wyzywający w swej nowości.

— Co za szczęście, że Matthew nie musiał oglądać tego wulgarnego budynku. Za jego czasów wybrzeże było jeszcze zupełnie nieskażone.

Sir Matthew i lady Tresilian przybyli do Gull's Point trzydzieści lat temu. Mijało już dziewięć lat od czasu, gdy łódź sir Matthew, zapalonego żeglarza, wywróciła się i on sam utonął, niemal na oczach swojej żony.

Wszyscy wtedy oczekiwali, że lady Tresilian sprzeda Gull's Point i opuści Saltcreek. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło. Pozostała w swojej posiadłości, a jej jedyną widoczną reakcją była sprzedaż wszystkich łodzi i likwidacja przystani. W Gull's Point nie było łódek dla gości. Trzeba było iść do promu albo wynajmować łódź od jednego z konkurujących ze sobą właścicieli.

Z lekkim wahaniem Maty zapytała:

— Czy w takim razie mam napisać do Neville'a, że proponowany przez niego termin nam nie odpowiada?

— Na pewno nie mam najmniejszego zamiaru odwoływać wizytę Audrey. Zawsze przyjeżdża do nas we wrześniu i nie mogę kazać jej zmieniać planów.

Mary rzuciła okiem na list.

— Czy zwróciła pani uwagę na to, co pisze Neville o Audrey? Wygląda na to, że ona, hm, zaakceptowała ten pomysł i wręcz chce spotkać się z Kay.

— Ja po prostu w to nie wierzę. Neville jest taki sam jak wszyscy mężczyźni: myśli, że jest tak, jak by chciał, żeby było.

— Píše, że z nią o tym rozmawiał.

— Cóż za dziwaczne postępowanie. A może... może nie takie dziwne?

Mary spojrzała pytająco.

— Jak Henryk VIII — oświadczyła lady Tresilian.

Mary nie zrozumiała.

Lady Tresilian rozwinęła swoją ostatnią uwagę.

— Rozumiesz? Sumienie! Henryk VIII koniecznie chciał, żeby Katarzyna uznała rozwód za właściwe rozwiązanie. Neville wie, że zachował się źle, a teraz chce

rozgrzeszenia. Chce przymusić Audrey, żeby nie chowała dłużej urazy, przyjechała, poznała Kay i żeby wszystko było cacy.

— Zastanawiam się... — zaczęła powoli Mary.

Lady Tresilian spojrzała na nią ostro,

— Co ci chodzi po głowie, moja droga?

— Zastanawiałam się — znów przerwała, ale po chwili ciągnęła dalej. — Ten... ten list. To w ogóle nie pasuje do Neville'a. Czy nie uważa pani, że z jakiegoś powodu to Audrey chce tego? Tego spotkania?

— Ależ nigdy w życiu! Po tym, jak Neville ją porzucił, zamieszkała u ciotki, pani Royde, na probostwie, i popadła w ciężką depresję. Wyglądała jak swój własny cień. To był dla niej olbrzymi cios. Ona należy do tych zamkniętych w sobie osób, które przeżywają wszystko bardzo intensywnie.

Mary poruszyła się zakłopotana.

— Tak, intensywnie... To pod wieloma względami dziwna dziewczyna.

— Wiele wycierpiała. Potem był rozwód, Neville ożenił się z tą dziewczyną i po trochu Audrey jakoś doszła do siebie. Teraz wygląda już prawie całkiem tak jak dawniej. Chcesz mi powiedzieć, że ona mogłaby chcieć rozdrapywać stare rany?

— Neville pisze, że tak — powiedziała Mary z łagodnym uporem.

Starsza pani przyjrzała jej się uważnie.

— Co ty się tak upierasz, Mary? Dlaczego? Ty chcesz, żeby oni tu wszyscy naraz przyjechali?

Mary zaczerwieniła się.

— Ach, nie, oczywiście, że nie.

— Chyba to nie ty zasugerowałaś coś takiego Neville'owi? — rzekła ostro lady Tresilian.

— Ależ skąd! Nigdy by mi to nie przyszło do głowy.

— No, tak. Nawet przez sekundę nie podejrzewałam, że to jego własny pomysł. To do niego niepodobne. — Przerwała, a po chwili rozjaśniła się. — Jutro jest pierwszy maja, prawda? Dobrze, trzeciego Audrey przyjeżdża z wizytą do Darlingtonów, do Esbank. To zaledwie dwadzieścia mil stąd. Napisz do niej i zaproś ją do nas na lunch.

5 maja

— Milady, przyszła pani Strange.

Audrey weszła do przestronnej sypialni i zbliżyła się do łoża. Ucałowała starszą damę i usiadła na przeznaczonym dla niej krześle.

— Miło mi cię widzieć, złotko — rzekła lady Tresilian.

— A ja się cieszę, że widzę panią — odpowiedziała Audrey.

Audrey Strange otoczona była jakąś nieuchwytną aurą. Wzrostu średniego, miała drobne dłonie i stopy. Była platynową blondynką, a jej ogromne oczy miały świetlisty, jasnoszary kolor. Rysy odznaczały się subtelnością i regularnością, prosty nos tkwił zgrabnie w drobnej, owalnej, jasnej twarzy. Nie była piękną, ale jej niezaprzeczalna uroda przyciągała wzrok i powodowała, że nie można było przejść obok niej obojętnie, ani łatwo jej zapomnieć. Miała w sobie coś niezemskiego, może trochę niesamowitego, ale jednocześnie czuło się, że jest istotą z krwi i kości. Jej prześliczny głos brzmiał miękko i jasno jak srebrny dzwoneczek.

Przez dłuższą chwilę ona i starsza pani gawędziły o wspólnych znajomych i o bieżących wydarzeniach. Wreszcie lady Tresilian przeszła do sprawy zasadniczej.

— Zaprosiłam cię, moja droga, nie tylko dlatego, że lubię cię widywać, ale również dlatego, że dostałam dość dziwny list od Neville'a.

Audrey podniosła wzrok. Jej oczy były szeroko otwarte, spokojne i łagodne.

— Ach, tak? — powiedziała.

— Neville proponuje (cóż to za niedorzeczna — uważam — propozycja), że przyjedzie tu z... z Kay we wrześniu. Pisze, że chciałby, abyście ty i Kay poznały się lepiej, i że ty uważasz ten pomysł za dobry.

Czekała. Wreszcie Audrey przemówiła swym spokojnym pogodnym głosem.

— Czy... czy rzeczywiście jest to taka niedorzeczność?

— Moja droga! Czy naprawdę chcesz do tego doprowadzić? Audrey znów na chwilę zamilkła, po czym odezwała się łagodnie:

— Myślę, proszę pani, że może to nie jest taki zły pomysł.

— Istotnie chcesz się spotkać z tą... z Kay?

— Jestem przekonana, że to może uprościć sytuację.

— Uprościć sytuację — powtórzyła bezradnie lady Tresilian.

Audrey mówiła bardzo miękko.

— Droga Camillo, jest pani taka dobra. Skoro Neville tego chce...

— Figę mnie obchodzi, co chce Neville! — z mocą powiedziała starsza pani. —

Pytanie brzmi, czy ty tego chcesz.

Policzki Audrey zapały miękkim i delikatnym różowym blaskiem, jaki mają morskie muszle.

— Tak — powiedziała. — Chcę tego.

— No, cóż — rzekła lady Tresilian. — No, cóż... Umilkła.

— Ale, oczywiście, to zależy wyłącznie od pani. To pani dom i...

Lady Tresilian zamknęła oczy.

— Starzeję się — rzekła. — Nic już nie ma dla mnie sensu.

— Ale przecież... Mogę przyjechać w innym terminie. Każdy mi odpowiada.

— Przyjedziesz we wrześniu, jak zwykle — fuknęła starsza pani. — A Neville i Kay przyjadą także. Może się zestarzałam, ale potrafię zaakceptować te współczesne obyczaje nie gorzej niż inni. Ani słowa więcej, to ustalone.

Znów zamknęła oczy. Po dłuższej chwili zerknęła spod półprzymkniętych powiek na siedzącą obok niej młodą kobietę.

— No i co? Czy tego chciałaś?

Audrey poderwała się.

— Ach, tak, tak. Dziękuję.

— Moja droga — w głosie lady Tresilian brzmiała troska — czy jesteś pewna, że to cię nie zrani? Wiem, że bardzo kochałaś Neville'a. To może rozdrapać stare rany.

Audrey spojrzała na swoje dłonie w rękawiczkach. Jedna z nich, jak zauważyła lady Tresilian, była zaciśnięta na poręczy łóżka.

Audrey uniosła głowę. Jej oczy były spokojne i nieporuszone. Powiedziała:

— To całkiem zakończony rozdział. Całkiem zakończony.

Lady Tresilian opadła ciężko na poduszki.

— Sama wiesz najlepiej. Jestem zmęczona, musisz już iść, złotko. Mary czeka na ciebie na dole. Powiedz, żeby przysłali do mnie Barrett.

Barrett była starą i oddaną pokojówką lady Tresilian. Przyszła i zobaczyła, że jej pani leży spokojnie z zamkniętymi oczami.

— Im prędzej odejdę z tego świata, tym lepiej, Barrett. Nie rozumiem tu już nic i nikogo.

— Ach, proszę tak nie mówić, milady, jest pani po prostu zmęczona.

— Tak. Jestem zmęczona. Zabierz tę pierzynę z moich nóg i przynieś mi coś na wzmocnienie.

— To wizyta pani Strange tak panią zdenerwowała. Miła pani, ale śmiem twierdzić, że to ona powinna wziąć coś na wzmocnienie. Jest jakaś niezdrowa. Zawsze wygląda, jakby widziała rzeczy, których inni nie widzą. Ale ma charakter! Myślę, że potrafi dać się we znaki.

— Racja, Barrett. Wielka racja.

— I nie da się jej łatwo zapomnieć. Zawsze się zastanawiałam, czy pan Neville ją wspomina czasami. Nowa pani Strange jest bardzo ładna, naprawdę bardzo ładna, ale panna Audrey ma coś takiego, że myśli się o niej nawet wtedy, kiedy jej nie ma.

Lady Tresilian zachichotała nagle.

— Neville to głupiec, skoro chce mieć tutaj te dwie kobiety razem. I wszystko skrupi się na nim. Będzie jeszcze żałował.

29 maja

Thomas Royde z fajką w zębach nadzorował pakowanie swoich bagaży. Robił to zręczny malajski chłopak. Royde od czasu do czasu rzucał okiem na plantacje. Przez jakieś sześć miesięcy będzie pozbawiony ich widoku, tak powszedniego przez ostatnich siedem lat.

Dziwnie będzie znaleźć się znów w Anglii.

Do pokoju zajrzał Allen Drake, jego współnik.

— Cześć, Thomas, jak ci idzie?

— Wszystko gotowe.

— Chodź, napijemy się drinka, ty szczęściarzu. Pożera mnie zazdrość.

Thomas Royde wyszedł powoli z pokoju i dołączył do przyjaciela. Nic nie powiedział, bowiem był człowiekiem nadzwyczaj oszczędnym w słowach. Allen nauczył się odgadywać jego myśli i reakcje jedynie na podstawie gatunku milczenia przyjaciela. Krępy, z miną poważną i nieco uroczystą, o spostrzegawczym spojrzeniu, Thomas Royde chodził trochę bokiem, jak krab. Był to rezultat wypadku podczas trzęsienia ziemi, kiedy został przygnieciony skrzydłem drzwi. Od tego czasu nosił przyzwisko Krab Pustelnik. Lewe ramię i bark miał częściowo bezwładne, co w

połączeniu ze sztywnością chodu nasuwało obserwatorowi całkowicie mylny wniosek, że jest nieśmiały i skrępowany. Allen Drake przygotowywał drinki.

— No, tak — powiedział. — Pomyślnych łowów!

Royde powiedział coś, co przypominało „Mhm”. Drake przyjrzał mu się z zaciekawieniem.

— Jak zawsze flegmatyczny, co? — zauważył. — Nie mam pojęcia, jak to ci się udaje. Kiedy ostatnio byłeś w domu?

— Siedem lat temu. Prawie osiem.

— To kawał czasu. Dziw, że nie zamieniłeś się w tubylca.

— Może i tak się stało.

— Taki milczek jak ty wszędzie się zaadaptuje. Zaplanowałeś już swój urlop?

— Właściwie tak, częściowo.

Na spaloną słońcem, nieprzeniknioną twarz nagle wypłynął ceglasty rumieniec.

Allen Drake zawołał z żywym niedowierzaniem:

— No, nie! Chodzi o dziewczynę?! O, do diabła, ty się rumienisz!

— Nie bądź głupi — powiedział ochryple.

Zaciągnął się głęboko dymem ze swojej antycznej fajki. Łamiąc swoje wszystkie dotychczasowe zwyczaje, z własnej woli kontynuował konwersację:

— Podejrzewam, że zastanę tam jakieś zmiany.

— Zawsze się dziwiłem, że odwołałeś swój ostatni wyjazd do domu. I to w ostatniej chwili.

Royde wzruszył ramionami.

— Safari zapowiadało się tak ciekawie. A poza tym z domu przyszły wtedy niedobre wieści.

— Oczywiście, zapomniałem. Twój brat zginął w wypadku samochodowym.

Thomas Royde kiwnął głową.

Drake uprzytomnił sobie, że — tak czy owak — był to dziwny powód rezygnacji z podróży do domu. Thomas miał przecież matkę i, zdaje się, także siostrę. Przecież właśnie w takich chwilach... Wtem coś sobie przypomniał. Thomas odwołał wyjazd zanim przyszła wiadomość o śmierci jego brata!

Allen przyglądał się przyjacielowi z ciekawością. Ten stary Thomas to cicha woda!



Po dłuższej chwili milczenia zapytał:

— Byliście sobie bliscy?

— Adrian i ja? Nieszczerólnie. Każdy szedł własną drogą. On był adwokatem.

Tak, pomyślał Drake, całkiem odmienna droga życiowa. Londyńskie salony, przyjęcia, zarabianie na życie sprawnością języka. Uświadomił sobie, że Adrian Royde musiał być zupełnie różny od starego milczka Thomasa.

— Twoja matka żyje, prawda?

— Matka? Tak.

— I masz też siostrę?

Thomas zaprzeczył ruchem głowy.

— Ach, myślałem, że masz. Na tym zdjęciu...

— To nie siostra. Taka kuzynka, dziesiąta woda po kisielu — wymamrotał. —

Wychowywała się u nas, bo była sierotą.

Znów na brązowe policzki wypłynął rumieniec. Tu cię mam! — pomyślał Drake.

— Zameżna? — spytał głośno.

— Była. Wyszła za tego, wiesz, Neville'a Strange'a.

— Tego, co gra w tenisa i nie tylko?

— Tak. Potem zgodziła się na rozwód.

Ach ty biedaku, jedziesz do domu popróbować z nią szczęścia — pomyślał Drake.

Litościwie zmienił temat rozmowy.

— Masz zamiar łowić rybki, zapolować?

— Najpierw jadę do domu. Potem chcę trochę pozełgować w okolicach Saltcreek.

— Znam te okolice. Miły zakątek. Jest tam uroczy staroświecki hotel.

— Tak, nazywa się Balmoral Court. Może się w nim zatrzymam albo zamieszkać u przyjaciół, którzy nie opodal mają posiadłość.

— Zapowiada się nieźle.

— Mhm. Miłe, spokojne miejsce to Saltcreek. Żadnego ruchu, gwaru.

— Wiem, takie miejsce, gdzie nigdy nic się nie dzieje.

29 maja

— To naprawdę niezwykle irytujące — stwierdził stary pan Treves. — Przez dwadzieścia pięć lat jeździłem do Marine Hotel w Leahead, a teraz, nie do wiary,

wszystko rujną. Przebudowują fasadę czy robią jakieś inne bzdury. Dlaczego nie mogą zostawić tych nadmorskich miejscowości w spokoju: Leahead zawsze miało swój własny szczególnie staroświecki urok, od stu lat nic się tam nie zmieniało, to było coś wspaniałego. Rufus Lord starał się go pocieszyć.

— Ale przecież chyba można się tam zatrzymać w innym hotelu?

— Straciłem w ogóle ochotę na wyjazd do Leahead. W Marine pani Mackay wiedziała, co lubię. Co roku dostawałem ten sam pokój. Nawet służba się prawie nie zmieniała. No, i mieli wspaniałą kuchnię, naprawdę doskonałą.

— A może wypróbuj pan Saltcreek? Jest tam sympatyczny staroświecki hotel. Nazywa się Balmoral Court. Powiem panu, kto go prowadzi. Małżeństwo o nazwisku Rogers. Ona była kucharką lorda Mountheada, który wydawał najlepsze kolacje w Londynie. Wyszła za mąż za głównego lokaja i teraz razem prowadzą ten hotel. Wydaje mi się, że to miejsce jest jak dla pana stworzone. Spokój, żadnych orkiestr jazzowych, kuchnia pierwsza klasa i obsługa na medal.

— To brzmi zachęcająco. Czy mają taras pod dachem?

— Tak, krytą werandę, a za nią taras. Można siedzieć na słońcu albo w cieniu, co kto woli. Mogę panu dać parę listów polecających do rodzin w sąsiedztwie, gdyby miał pan na to ochotę. Mieszka tam stara lady Tresilian, dosłownie obok. Czarujący dom, a ona sama jest cudowną damą, chociaż mocno niedomaga.

— Chodzi o wdowę po tym sędzi?

— No właśnie.

— Znałem Matthew Tresiliana i zdaje się, że ją też poznałem. Urocza kobieta. Saltcreek jest niedaleko St. Loo, prawda? Mam w tamtych okolicach sporo znajomych. Wie pan co? Myślę, że Saltcreek to świetny pomysł. Napiszę tam i dowiem się szczegółów. Zamierzam się wybrać w połowie sierpnia i zostać do połowy września. Mam nadzieję, że mają garaż na samochód i jakieś miejsce dla mojego szofera.

— O, tak. Mają tam wszystkie udogodnienia.

— Jak panu wiadomo, muszę uważać na schody, nie mogę się męczyć. Chciałbym dostać pokój na parterze, chociaż pewnie jest tam i winda.

— O tak. Wszystko mają.

— Zdaje się, że to rozwiązuje mój problem doskonale. Dodatkowo ogromną przyjemność sprawi mi odnowienie znajomości z lady Tresilian.

28 lipca

Kay Strange, ubrana w szorty i kanarkowy sweterek, wychylona do przodu, przyglądała się meczowi tenisowemu. Był to półfinał singla mężczyzn w turnieju St. Loo, a Neville grał przeciwko młodemu Merrickowi, którego uważano za wschodzącą gwiazdę na tenisowym firmamencie. Był bez wątpienia błyskotliwy, niektóre serwisy miał nie do odebrania, ale od czasu do czasu musiał ustąpić przed doświadczeniem i umiejętnościami starszego przeciwnika.

Było trzy do trzech w finałowym secie. Wślizgnąwszy się na miejsce obok Kay, Ted Latimer zauważył rozleniwionym ironicznym tonem:

— Oddana żona przygląda się, jak jej mąż wyrąbuje sobie drogę do zwycięstwa. Kay podskoczyła.

— Ależ mnie przeraziłeś. Nie wiedziałam, że tu jesteś.

— Zawsze jestem przy tobie. Powinnaś już to wiedzieć.

Ted Latimer miał dwadzieścia pięć lat. Był niezwykle przystojny, chociaż niesympatyczni starzy pułkownicy mieli zwyczaj mówić o nim „Cyganiak”. Ciemnowłosy i pięknie opalony na dodatek świetnie tańczył. Jego czarne oczy potrafiły wiele wyrazić, a głosem umiał posługiwać się z wprawą zawodowego aktora.

Kay poznała go, kiedy miał piętnaście lat. Opalali się razem i smarowali sobie nawzajem plecy na plaży Juan les Pins tańczyli razem i razem grali w tenisa. Byli więcej niż przyjaciółmi — byli kumplami.

Na korcie po lewej stronie serwował młody Merrick. Odbicie Neville’a było nie do odebrania, genialny strzał w dalszy narożnik kortu.

— Neville ma dobry bekhend — ocenił Ted. — Lepszy niż forhend. Merrick jest słabszy w bekhendzie i Neville o tym wie. Za wszelką cenę będzie to wykorzystywał.

Gem się zakończył. „Cztery do trzech, prowadzi Strange”.

W następnym gemie Neville serwował pierwszy. Młody Merrick wciąż wybijał na aut.

„Pięć — trzy”

— Neville’owi idzie nieźle — stwierdził Latimer.

Ale chłopak wreszcie się pozbierał. Zaczął grać uważniej. Zmienił rytm uderzeń.

— Ma głowę nie od parady, a pracę nóg — pierwsza klasa. Zanosi się na twardą walkę.

Powoli młodszy gracz odzyskiwał stracony teren. Pięć — pięć. Potem doszli do siedem — siedem i wreszcie Merrick wygrał dziewięć do siedmiu.

Nevile podszedł do siatki, żeby uścisnąć przeciwnikowi dłoń, pokazując przy tym zęby w uśmiechu i kiwając głową z kpiącym politowaniem nad samym sobą.

— Młodość górą — skomentował Ted Latimer. — Dziewiętnaście kontra trzydzieści trzy. Ale powiem ci Kay, dlaczego Neville nigdy nie wszedł do ścisłej czołówki. On za ładnie przegrywa.

— Bzdura.

— Nie masz racji. Neville, niech go diabli, jest do obrzydliwości wzorowym sportowcem. Nigdy nie widziałem, żeby stracił panowanie nad sobą z powodu przegranej.

— Oczywiście, że nie. Tak się nie robi.

— Oj, robi się, robi. Niejeden raz widziałem, jak gwiazdy tenisa wybuchają złością, gdy im coś nie pójdzie — a jednocześnie cholernie skutecznie wykorzystują swoje zalety. Ale stary Neville? On wie, kiedy dać za wygraną i założyć na twarz uśmiech numer sześć. Niech wygra najlepszy i te pe. O rany, jak ja nienawidzę tego ducha ekskluzywnej szkoły. Dzięki Bogu nigdy do żadnej nie chodziłem.

Kay odwróciła głowę.

— Jesteśmy zawistni? Czyżby?

— Prychasz jak kotka!

— Chciałabym, żebyśmy wyjaśnili jedną sprawę. Nie lubisz Neville’a?

— Dlaczego miałbym go lubić? Poderwał mi dziewczynę!

Wytrzymał jej spojrzenie.

— Nie byłam twoją dziewczyną. Okoliczności nie pozwoliły.

— Właśnie. Między nami nic nie było, nic nas z sobą nie łączyło...

— Zamknij się. Zakochałam się w Neville’u i wyszłam za niego, i...

— I sto lat, sto lat, niech żyje Neville nam...

— Chcesz mnie wyprowadzić z równowagi?

Spojrzała na niego. Uśmiechał się z wdziękiem... Oddała mu uśmiech.

— Udane lato?

— Jako tako. Uroczą podróż jachtem. Za to tenisa już mam wyżej uszu.

— Ile tego jeszcze? Miesiąc?

— Tak. Potem we wrześniu jedziemy na dwa tygodnie do Gull's Point.

— A ja będę w hotelu Easterhead Bay. Już zrobiłem rezerwację.

— Będzie precudowna ekipa: Neville i ja, jego była żona i jakiś malajski plantator na urlopie.

— Zanosi się na pyszną zabawę! — wpadł w jej ironiczny ton,

— I naturalnie, ta mysz, kuzynka, co jak niewolnica obskakuje staruchę. A nic z tego nie będzie miała, bo cały majątek przechodzi na mnie i Neville'a.

— Może ona o tym nie wie?

— To byłoby dość zabawne — powiedziała z roztargnieniem. Gapiła się na rakiety, którą się bawiła. Ocknęła się po chwili.

— Ach, Ted!

— Co ci jest, słonko?

— Nie wiem. Po prostu czasem... cierpnie mi skóra. Mam jakieś lęki i dziwnie się czuję.

— To mi zupełnie do ciebie nie pasuje, Kay.

— Prawda, że nie? A więc — uśmiechnęła się niepewnie — będziesz w hotelu Easterhead Bay.

— Taki mam zamiar.

Kiedy Neville wyszedł z szatni, zwrócił się do Kay:

— Widzę, że pojawił się twój absztyfikant.

— Ted?

— Tak. Zawsze do usług, jak wierny paż, a może raczej jak żigolak, co?

— Ty go chyba nie lubisz.

— O, mam go w nosie. Jeżeli bawi cię prowadzenie go na sznurku...

Wzruszył ramionami.

— Wszystko wskazuje na to, że jesteś zazdrosny — powiedziała.

— O Latimera?! — zdziwienie Neville'a było autentyczne.

— Wszyscy uważają, że jest bardzo pociągający.

— No, pewnie. Ma tę latynoską uroczą gibkość.

— Ty jesteś zazdrosny!

Nevile uściskał przyjaźnie jej ramię.

— Nie, moja śliczna, nie jestem. Możesz mieć cały korowód tresowanych adoratorów, jeżeli tylko sprawia ci to przyjemność. Ja jednak jestem tu właścicielem, a jak mówi prawo, własność prywatna — rzecz święta.

— Jesteś okropnie pewny siebie — powiedziała, lekko odymając wargi.

— Jasne, że jestem. Ty i ja zostaliśmy sobie przeznaczeni. Los nas zetknął. Czy pamiętasz, jak poznaliśmy się w Cannes. Miałem jechać do Estoril i kogo zupełnie niespodziewanie tam spotkałem, w dodatku pierwszego dnia? Cudowną Kay! Wtedy zrozumiałem, że to przeznaczenie i że nie mogę mu się opierać.

— Trochę temu przeznaczeniu pomogłam sama.

— Co to ma znaczyć?

— Tak było. Widzisz, usłyszałam w Cannes, jak opowiadałeś o wyjeździe do Estoril, więc zaczęłam przekonywać mamę, że też musimy tam jechać. I dopięłam swego: oto dlaczego pierwszą osobą, którą w Estoril zobaczyłeś, była Kay.

Nevile patrzył na nią z ogłupiałą miną. Rzekł z wolna:

— Nigdy mi tego nie mówiłaś.

— Nie chciałam, żebyś za dużo sobie wyobrażał. Jeszcze by ci się w głowie przewróciło. Ale ja zawsze miałam smykałkę do planowania wydarzeń. Nic się samo nie zdarza. Trzeba pomagać przypadkowi. Nazywasz mnie czasem „głupiątkiem”, ale jestem bardziej przebiegła, niż mogłoby się to wydawać. Czasami planuję długo naprzód.

— Uważaj, żeby ci się nie przemęczyła twoja śliczna główka.

— Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Nevile powiedział z niespodziewaną goryczą:

— Czyżbym dopiero teraz zaczynał rozumieć kobietę, z którą się ożeniłem?

Piszemy „przeznaczenie” — czytamy „Kay”.

— Nie gniewasz się, prawda Neville?

Odpowiedział z roztargnieniem:

— Nie... nie, jasne, że nie. Myślałem właśnie...

10 sierpnia

Lord Cornelly, arystokrata bogaty i ekscentryczny, siedział właśnie za swoim monumentalnym biurkiem, które wzbudzało jego szczególną dumę i radość. Zostało specjalnie dla niego zaprojektowane i kosztowało fortunę, a całe wnętrze i umeblowanie pokoju było do niego dostosowane. Efekt powalał na kolana i był tylko trochę zmacony nieuniknionym dodatkiem w postaci samego lorda Cornelly'ego, małego, okrągłutkiego człowieczka, który za wspinałym biurkiem wyglądał jak karzełek.

W tej chwili do tego imponującego przybytku w sercu londyńskiego City wkroczyła blond sekretarka, świetnie zharmonizowana z luksusowym umeblowaniem.

Sunąc bezgłośnie po posadzce, dostarczyła pryncypałowi jakąś notatkę.

Lord Cornelly zaszczyił kartkę swoim spojrzeniem.

— MacWhirter? MacWhirter? Co to za jeden? Nigdy o nim nie słyszałem. Jest umówiony?

Blond sekretarka potwierdziła.

— MacWhirter... hm... Aha! MacWhirter! To ten facet! Naturalnie. Dawaj go tutaj. Dawaj natychmiast.

Lord Cornelly zachichotał radośnie. Był w nadzwyczajnym humorze.

Rozparłszy się wygodnie w swoim fotelu, utkwił wzrok w chłodnej i pozbawionej uśmiechu twarzy człowieka, którego wezwał na rozmowę kwalifikacyjną.

— Czy pan MacWhirter... hm? Angus MacWhirter?

— Tak się nazywam.

MacWhirter mówił oficjalnie, trzymał się sztywno i nie pozwalał sobie na najmniejszy uśmiech.

— Pracował pan z Herbertem Clayem, prawda?

— Tak jest.

Lord Cornelly znów zachichotał.

— Wiem o panu wszystko. Clayowi zatrzymali prawo jazdy dlatego, że pan nie chciał pójść mu na rękę i przysiąc w sądzie, że jechał tylko dwadzieścia na godzinę. Ale był o to wściekły! — chichot nasilił się. — Opowiadał nam wszystko w Savoy

Grill. — „Ten tępogłowy Szkot!” tak o panu mówił! Powtarzał w kółko. Wie pan, co ja wtedy sobie pomyślałem?

— Nie mam najmniejszego pojęcia.

Ton MacWhirtera był twardy. Lord Cornelly nie zwrócił na to uwagi. Bawił się wspomnieniem własnych reakcji.

— Pomyślałem sobie: to jest facet, jakiego mi trzeba. Człowiek, który nie da się przekupić, który nie skłamie. Dla mnie nie będzie pan musiał kłamać. Ja nie robię interesów w ten sposób. Ja szukam po świecie ludzi uczciwych, a jest ich cholernie mało.

Mały arystokrata zaniósł się piskliwym śmiechem, a jego chytra małpia twarz aż się pomarszczyła z rozbawienia. MacWhirter stał nieruchomo, daleki od wesołości.

Lord Cornelly przestał się śmiać. Na twarz wróciły mu chytrość i skupienie.

— Jeśli szuka pan pracy, MacWhirter, znajdzie się tu coś dla pana.

— Praca by mi się przydała.

— To ważna i odpowiedzialna praca. Potrzebne są do niej nie tylko kwalifikacje, tu nie mam zastrzeżeń, sprawdziłem wszystko, ale potrzebuję kogoś, do kogo mógłbym mieć także absolutne zaufanie.

Lord Cornelly czekał. MacWhirter nie powiedział ani słowa.

— No, więc, człowieku, czy można na panu polegać bez zastrzeżeń?

MacWhirter rzekł sucho:

— Nie może się pan o tym przekonać tylko na podstawie tego, co ja powiem.

Lord Cornelly roześmiał się.

— Będzie się pan nadawał. Takiego człowieka szukałem. Wie pan coś o Ameryce Południowej?

Przeszedł do szczegółów. Pół godziny później MacWhirter szedł ulicą: był człowiekiem, któremu trafiła się ciekawa i świetnie płatna praca, a na dodatek praca z perspektywami.

Los zdecydował się wreszcie do niego uśmiechnąć. Ale jemu uśmiechy były nie w głowie. Daleki od nastroju triumfu musiał jednak przyznać, że rozmowa z przyszłym pracodawcą nie była pozbawiona akcentów humorystycznych. Losowi nie można było odmówić elementarnego poczucia sprawiedliwości. Przecież właśnie



skierowane przeciwko niemu zarzuty poprzedniego szefa spowodowały, że dostał tę pracę.

Chyba szczęściarz ze mnie, pomyślał. Nie zależało mu wcale na tym. Miał zamiar poświęcić się życiowym zadaniom bez entuzjazmu, a nawet bez przyjemności, za to w nastroju zmuśnionej codziennej pracy. Siedem miesięcy temu próbował popełnić samobójstwo. Przypadek, i nic tylko przypadek, zapobiegł realizacji planu, ale nie czuł szczególnej wdzięczności do losu. Owszem, obecnie nie myślał o tym, żeby skończyć ze sobą; uważał, że ta faza jest już na dobre poza nim. Nie można, pomyślał, odebrać sobie życia z zimną krwią. Konieczny jest jakiś bodziec, przyływ rozpacz, smutku, rezygnacji czy wściekłości. Nie można popełnić samobójstwa tylko dlatego, że uważa się życie za ponury kołowrotek nieciekawych zdarzeń.

Właściwie był zadowolony, że praca zmusi go do opuszczenia Anglii. Miał płynąć do Ameryki Południowej w końcu września. Przez najbliższe parę tygodni będzie gromadził ekwipunek i zapoznawał się z rozległymi interesami firmy.

Ale zostanie mu tydzień wolnego czasu przed wyjazdem z kraju. Zastanowił się, jak go spędzić. Zostać w Londynie? Wyjechać?

Zaczął mu świtać pewien pomysł.

Saltcreek?

Mam cholerną ochotę tam pojechać — powiedział do siebie.

To będzie — pomyślał — nawet dosyć zabawne.

19 sierpnia

— I diabli wzięli mój urlop — powiedział z rozgoryczeniem nadkomisarz Battle.

Pani Battle była zawiedziona, ale — jako wieloletnia żona oficera policji — przygotowana na przyjmowanie rozczarowań z filozoficznym spokojem.

— Cóż na to poradzić. Mam nadzieję, że ta sprawa przynajmniej jest ciekawa.

— Najgorsze — rzekł nadkomisarz Battle — że postawiła ministerstwo spraw zagranicznych w stan podniecenia. Wciąż kręcą się ci szczupli wysocy faceci i szepczą „cicho, sza”. Wszystko wyjaśnia się bez większych trudności, chociaż musimy uważać, żeby nie naruszyć niczyjego dobrego imienia. W każdym razie nie

jest to sprawa, którą mógłbym umieścić w swoich pamiętnikach, gdybym był na tyle nieostrożny, żeby kiedykolwiek próbować je napisać.

— Możemy przełożyć wyjazd — zaczęła pani Battle niepewnym głosem, ale mąż przerwał jej zdecydowanie.

— Nie ma mowy. Pojedziesz z dziewczętami do Britlington, pokoje zostały zarezerwowane już w marcu, szkoda byłoby je zmarnować. A wiesz, co ja zrobię? Pojadę do Jima i spędzę z nim tydzień, kiedy to wszystko już się przewali.

Jim, czyli inspektor James Leach, był siostrzeńcem nadkomisarza Battle.

— Saltington leży blisko Easterhead Bay i Saltcreek — ciągnął nadkomisarz. — Będę mógł złapać trochę morskiego powietrza i zanurzyć się w morskich falach.

Pani Battle pociągnęła nosem.

— Raczej James wciągnie cię w robotę i będziesz mu pomagał w jakimś jego śledztwie!

— Nic się u nich nie dzieje o tej porze roku, chyba że drobny złodziejasek zwędzi jakiś drobiazg u Woolwortha. A poza tym Jim jest dobry, nie potrzebuje, żeby go prowadzić za rączkę,

— Och, mam nadzieję, że wszystko się uda, ale czuję się zawiedziona.

— Takie doświadczenia zsyła nam niebo, żeby nas wypróbować — pocieszył ją nadkomisarz Battle.

Biała lilia i czerwona róża.

1

Thomas Royde stwierdził wysiadłszy z pociągu, że na peronie w Saltington oczekuje go Mary Aldin. Pamiętał ją jak przez mgłę, a teraz był przyjemnie zaskoczony jej sprawnością w działaniu.

Zwróciła się do niego po imieniu.

— Thomas, jakże się cieszę, że cię widzę. Tyle lat!

— Miło, że po mnie przyjechałaś. Mam nadzieję, że nie sprawiam kłopotu.

— Ależ, skąd! Jesteś naszym najmilej widzianym gościem. Czy to twój tragarz? Każ mu zanieść rzeczy do samochodu. Stoi tam, na końcu.

Bagaze umieszczono w fordzie. Mary usiadła za kierownicą, a Royde obok niej. Ruszyli. Thomas zauważył, że Mary jest dobrym kierowcą. Była szybka, ale uważna

w ruchu miejskim, umiała trafnie ocenić odległości między pojazdami i ich prędkość.

Saltcreek od Saltington dzieliło siedem mil. Kiedy wyjechali z miasteczka i byli już na szosie, Mary poruszyła temat jego odwiedzin.

— Naprawdę, Thomas, twoja wizyta spada nam z nieba. Atmosfera jest taka ciężka. Mam nadzieję, że ktoś obcy, chociaż częściowo obcy, pomoże ją rozładować.

— Na czym polega kłopot?

Thomas był zawsze flegmatyczny, nigdy nie okazywał zaciekawienia. Zadał pytanie na pozór raczej z grzeczności niż z potrzeby zaspokojenia własnej ciekawości. Takie postępowanie przynosiło ulgę Mary Aldin. Bardzo chciała z kimś pogadać, lecz najchętniej z osobą, która zbytnio nie interesowałaby się tym, co miała do powiedzenia.

— Sytuację mamy dosyć trudną. Jest tu Audrey, jak pewnie wiesz — zrobiła przerwę, a Thomas Royde skinął głową. — A do tego Neville z żoną.

Brwi Thomasa Royde'a powędrowały wysoko w górę. Dopiero po paru chwilach powiedział:

— Trochę niezręcznie, co?

— Właśnie. To był pomysł Neville'a.

— Dlaczego...?

Rozłożyła ręce, zdejmując je na moment z kierownicy. — Te nowoczesne wymysły. „Wszyscy jesteśmy przyjaciółmi”. Taki pomysł. Tylko, zdaje się, realizacja coś szwankuje.

— To chyba było do przewidzenia. Jaka jest ta nowa żona?

— Kay? Bardzo ładna, oczywiście. To naprawdę atrakcyjna kobieta. I młoda.

— Neville się w niej kocha?

— O, tak, naturalnie. Są małżeństwem dopiero od roku.

Thomas Royde z wolna odwrócił się do niej. Na wargach igrał mu uśmiezek.

Mary powiedziała prędko:

— Nie, nie o to mi właściwie chodziło.

— Daj spokój. Właśnie to miałaś na myśli.

— No, więc, rzeczywiście, każdy chcąc nie chcąc widzi, że mają ze sobą bardzo mało wspólnego. Na przykład przyjaciół... — przerwała.

— Spotkał ją, zdaje się, na Rivierze? Niewiele wiem o tej sprawie, tyle tylko, co matka pisała.

— Tak. Poznali się w Cannes. Neville'owi się spodobała, ale można podejrzewać, że podobała mu się przedtem niejedna, z tym że nieszkodliwie. Ciągle myślę sobie, że gdyby to tylko od niego zależało, nic by z tego nie wyszło. Wiesz, on naprawdę kochał Audrey.

Thomas kiwnął głową.

Mary ciągnęła:

— Nie sędzę, żeby chciał rujnować swoje małżeństwo, jestem wręcz pewna, że nie chciał. Ale dziewczyna była absolutnie zdecydowana. Nie spoczęła, dopóki nie doprowadziła do rozbicia małżeństwa. A on? Łechtało to jego próżność, jak to u mężczyzn bywa.

— Ona była w nim zakochana bez pamięci?

— Chyba tak — w tonie Mary zabrzmiało powątpiewanie.

Pod jego badawczym spojrzeniem zarumieniła się.

— Ale ze mnie plotkara. Po prostu bezustannie włóczy się za nią pewien młody człowiek. Przystojny, ale trochę w typie zigołaka. Jakiś jej dawny przyjaciel. Nie mogę się powstrzymać od podejrzenia, że na jej decyzji zaważyło to, że Neville jest świetnie sytuowany, sławny i tak dalej. Z tego, co wiem, dziewczyna nie miała ani pensa.

Przerwała zawstydzona. Thomas Royde ograniczył się do wieloznacznego „mhm”.

— Chyba — ciągnęła dalej — prawdziwa ze mnie stara panna. Wyzłościwiam się na dziewczynie tylko dlatego, że jest naprawdę olśniewająca.

Royde zerknął na nią uważnie, a na jego pokerowej twarzy nie można było rozpoznać żadnej emocji. Odezwał się po dłuższej chwili:

— Ale konkretnie na czym właściwie polega problem?

— Tak naprawdę to nie mam pojęcia. Dlatego jest to takie dziwne. Naturalnie porozumieliśmy się najpierw z Audrey, a ona, o dziwo, nie miała nic przeciwko spotkaniu z Kay. Przyjęła to wręcz pogodnie. Jest najmilsza pod słońcem. Audrey jest, oczywiście, bez zarzutu we wszystkim, co robi. Odnosi się do nich obojga wzorowo. Nie jest wylewna, jak wiesz, i nigdy nie wiadomo, co myśli albo czuje, ale nie wierzę, żeby było jej to wszystko obojętne.

— Nie widzę powodu, żeby miała się przejmować. — I po chwili dodał: — Poza tym to już przecież trzy lata...

— Ludzie tacy jak Audrey nie zapominają łatwo. Była bardzo zakochana w Nevile'u.

Thomas Royde poruszył się na swoim siedzeniu.

— Ma zaledwie trzydzieści dwa lata. I całe życie przed sobą.

— Tak, wiem. Ale zniosła to bardzo ciężko. Wiesz, przeszła poważne załamanie nerwowe.

— Wiem, matka mi pisała.

— Myślę, że opieka nad Audrey dobrze zrobiła twojej matce. Zajęło ją to, mogła nie myśleć o własnym nieszczęściu. Myślę o twoim zmarłym bracie. Strasznie nam było przykro.

— Tak. Biedny Adrian. Zawsze jeździł za szybko.

Zapadło milczenie. Mary wysunęła rękę, żeby zasygnalizować zamiar skrętu. Znaleźli się na drodze do Saltcreek.

Kiedy zjeżdżali w dół wąską krętą drożyną, Mary zapytała:

— Thomas, czy ty naprawdę dobrze znasz Audrey?

— Raczej tak, ale nie widziałem się z nią przez całe dziesięć lat.

— Wiem, ale przyjaźniliście się jako dzieci. Była jakby siostrą dla ciebie i Adriana.

Skinął głową.

— Czy była w jakikolwiek sposób nie zrównoważona? Ojej, źle to zabrzmiało, chodzi mi o coś innego. Wydaje mi się, że teraz jest z nią coś niezupełnie w porządku. Jest jakby wyizolowana, w jej niewzruszonym spokoju jest jakaś sztuczność. Zastanawiam się czasami, co się kłębi pod tą maską. Od czasu do czasu wyczuwam jakieś silne stłumione uczucia. I nie mam pojęcia, co to może być. Nie wydaje się całkiem normalna. Coś się z nią dzieje. Niepokoi mnie. Zdaję sobie sprawę, że ta atmosfera w domu wpływa na wszystkich. Jesteśmy podenerwowani. Ale z nią naprawdę coś się dzieje, nie wiem co. Trochę się boję, Thomas.

— Boisz się? — flegmatyczne zdziwienie w jego głosie zmusiło Mary do wzięcia się w garść. Roześmiała się nerwowo.

— Wiem, że to brzmi niedorzecznie... Chodzi mi o to, że twój przyjazd jest błogosławieństwem dla nas wszystkich. Rozerwie nas trochę. No, już jesteśmy.

Zza zakrętu wynurzyła się sylwetka Gull's Point. Budynek postawiono na wysokim skalistym brzegu rzeki. Z dwóch stron domu były urwiska spadające wprost do wody. Ogrody i korty tenisowe rozciągały się z lewej strony budynku. Garaż — nowinka ostatnich lat — znajdował się dalej, po przeciwnej stronie drogi.

— Odprowadzę samochód do garażu i wracam. Hurstall się tobą zajmie — powiedziała.

Hurstall, lokaj hrabiny, przywitał Thomasa jak starego przyjaciela.

— Bardzo się cieszę, że pana widzę, panie Royde. Ileż to lat! Jej lordowska mość też się ucieszy. Dla pana, sir, przeznaczony jest pokój we wschodnim skrzydle. Całe towarzystwo znajdzie pan w ogrodzie, chyba że woli pan najpierw iść do swojego pokoju.

Thomas pokręcił głową. Przeszedł przez salon do szklanych drzwi, które wychodziły na taras. Stał tam chwilę, obserwując, niezauważony z tarasu.

Znajdowały się tam tylko dwie kobiety. Jedna siedziała na narożniku balustrady i patrzyła w wodę. Przyglądała jej się druga kobieta. Pierwszą była Audrey, a drugą, jak się domyślił, musiała być Kay Strange. Kay nie wiedziała, że jest obserwowana i nie zadała sobie trudu, żeby opanować wyraz, jaki pojawi się na jej twarzy. Thomas Royde nie był, jak należy sądzić, zbyt dobrym znawcą kobiecych uczuć, ale i on nie mógł mieć wątpliwości, że Kay Strange nawet w najmniejszym stopniu nie darzy sympatią Audrey Strange.

Natomiast Audrey spoglądała na rzekę i wydawała się być nieświadoma obecności drugiej kobiety albo zupełnie nie zwracała na nią uwagi.

Thomas widział Audrey Strange po raz ostatni siedem lat temu. Przyglądał jej się teraz bardzo dokładnie. Czy się zmieniła? A jeśli się zmieniła — to jak?

Zauważył zmiany. Była szczuplejsza, bledsza, w sumie bardziej zwiewna niż kiedyś, ale zauważył jeszcze coś, czego nie potrafił dokładnie określić. Wyglądała, jakby musiała trzymać uczucia krótko na wodzy, uważała na każdy ruch, a równocześnie pozostawała w pełni świadoma wszystkiego, co się wokół niej dzieje. Przypominała kogoś, kto ukrywa sekret. Ale jaki to sekret? Niewiele wiedział o tym, co się z nią działo przez ostatnie lata. Spodziewał się znaleźć ślady smutku i żalu na

jej twarzy, ale to było coś zupełnie innego. Przypominała dziecko, które — zaciskając w piąstce jakiś skarb — zwraca nań uwagę otoczenia.

Przeniósł wzrok na drugą z kobiet — dziewczynę, będącą teraz żoną Neville'a Strange'a. Rzeczywiście, piękna. Mary Aldin miała rację. Ale chyba także niebezpieczna. Nie zaufałbym jej, gdyby stała obok Audrey i miała w ręku nóż, pomyślał...

Ale dlaczego miałyby nienawidzić pierwszej żony Neville'a? To przecież przeszłość, sprawa zamknięta. Audrey w niczym jej teraz nie wadzi.

Na tarasie rozległ się odgłos kroków i zza narożnika domu wyłonił się Neville. Był zgrzany i miał ze sobą jakieś ilustrowane pismo.

— Mam tylko „Illustrated Review” — powiedział. — Nie mogłem dostać tego drugiego...

Dwie rzeczy zdarzyły się teraz dokładnie równocześnie. Kay zawołała: — Świetnie, daj mi to! — A Audrey, nie odwracając głowy, wyciągnęła z roztargnieniem rękę.

Nevile zatrzymał się pośrodku między dwiema kobietami z wyraźnym zakłopotaniem. Zanim zdążył wykrztusić słowo, odezwała się Kay. W jej głosie dała się zauważyć nutka hysterii:

— To dla mnie! Daj mi to! Daj mi to, Neville!

Audrey Strange drgnęła, odwróciła się, cofnęła rękę i mruknęła z lekką konsternacją:

— Ach, przepraszam, myślałam, Neville, że mówisz do mnie.

Thomas Royde zauważył ceglastoczerwony rumieniec wypelzający na kark Neville'a Strange'a. Neville zrobił trzy szybkie kroki i wręczył magazyn Audrey.

Widać było, że ogarnia ją zakłopotanie, powiedziała z wahaniem:

— Ale...

Kay odepchnęła gwałtownie krzesło. Wstała i odwróciwszy się wpadła przez drzwi tarasu do salonu. Royde nie miał czasu usunąć się jej z drogi. Zderzyli się.

Ten incydent pozwolił jej nieco ochłonać. Przyglądała mu się, kiedy ją przeproszał. Teraz mógł stwierdzić, dlaczego go nie zauważyła: jej oczy były pełne łez. Łez wściekłości, jak mógł się domyślić.

— Cześć! Kim pan jest? Aha, na pewno tym człowiekiem z Malajów!

— W istocie. Jestem człowiekiem z Malajów.

— Wszystko bym dała, żeby być na Malajach. Wszędzie, tylko nie tu! Nie cierpię tego ohydneho, parszywego domu. Nienawidzę wszystkich tutaj!

Takich scen Thomas bał się jak ognia. Starał się obchodzić z Kay ostrożnie, więc mruknął:

— Mhm.

— Niech uważają! Zabiję tu kogoś! Albo Neville'a albo tę wyblakłą wydrę!

Potrącając Thomasa, wyszła trzaskając drzwiami.

Thomas Royde stał nieporuszony. Nie bardzo wiedział, co ma teraz zrobić, ale był zadowolony, że młoda pani Strange już sobie poszła. Stał i patrzył na drzwi do holu, które tak energicznie za sobą zatrzasnęła. Oj, ma w sobie coś z pantery ta nowa pani Strange.

W drzwiach tarasu pojawił się Neville Strange. Ciężko oddychał.

Przywitał się z Thomasem trochę nieprzytomnie.

— Ach, ee... cześć, Royde, nie wiedziałem, że pan już jest. Eee... czy nie widział pan mojej żony?

— Przebiegła tędy przed chwilą.

Teraz Neville przeszedł przez salon do holu. Był zirytowany.

Thomas Royde wyszedł z wolna na taras przez otwarte drzwi. Chód miał lekki. Audrey odwróciła się ku niemu dopiero, kiedy był tuż przy niej. Widział, jak jej wielkie oczy otwierają się coraz bardziej, a wargi rozchylają się. Zeskoczyła z murku i podeszła do niego, rozkładając szeroko ramiona.

— Ach, Thomas. Kochany Thomas! Jakże się cieszę, że przyjechałeś.

Właśnie brał jej obie małe jasne dłonie w swoje ręce i pochylał się ku niej, kiedy w drzwiach tarasu pojawiła się Mary Aldin. Widząc ich oboje, zatrzymała się, popatrzyła chwilę, a potem powoli wycofała i poszła w głąb domu.

2

Neville znalazł Kay na górze w jej pokoju. Jedyna duża, dwuosobowa sypialnia w domu była zajęta przez lady Tresilian. Małżeństwa zawsze dostawały dwa pokoje połączone drzwiami, z małą łazienką z tyłu, położone w zachodnim skrzydle. Był to jakby niewielki oddzielny apartament.



Nevile przeszedł przez swój pokój i wszedł do sypialni Kay. Leżała na łóżku, tak jak się na nie rzuciła. Podnosząc zalaną łzami twarz, zawołała ze złością:

— A więc przyszedłeś! Trochę za późno!

— O co jest ta cała afera? Czyś ty oszalała, Kay?

Nevile przemawiał łagodnie, ale z tłumioną złością.

— Dlaczego jej dałeś „Illustrated Review”, a nie mnie?

— Kay, nie zachowuj się jak dziecko! Taka awantura o nędzny kawałek magazynu!

— Dałeś go jej, nie mnie — powtórzyła z uporem.

— A co za różnica?

— Dla mnie różnica.

— Nie wiem, co się z tobą dzieje. Nie możesz się zachowywać jak histeryczka, kiedy przebywasz u kogoś w gościach. Nie umiesz zachowywać się przy ludziach?

— Dlaczego dałeś to Audrey?

— Bo ona chciała.

— Ja też chciałam, a jestem twoją żoną.

— Tym bardziej w rym wypadku powinienem był dać to kobiecie starszej i formalnie rzecz biorąc, obcej.

— Zdobyła nade mną przewagę! Dostała to, co chciała. Byłeś po jej stronie!

— Mówisz jak opętane zazdrością dziecko. Na litość boską, panuj nad sobą i staraj się zachowywać przyzwoicie przy ludziach!

— Pewnie tak jak ona!

Nevile powiedział lodowato:

— W każdym razie Audrey wie, jak powinna zachowywać się dama. Nigdy nie robi z siebie widowiska.

— Przekabaciła cię! Nienawidzi mnie i chce się zemścić.

— Posłuchaj, Kay. Przestań zachowywać się jak kompletna idiotka. Mam tego dość!

— Więc wyjedźmy stąd! Jutro. Nie znoszę tego miejsca!

— Jesteśmy tu dopiero cztery dni.

— Wystarczy. Wyjedźmy, Neville.

— Posłuchaj, Kay, dosyć tego dobrego. Przyjechaliśmy na dwa tygodnie i nie mam zamiaru tego zmieniać.

— Jeżeli nie wyjedziemy, pożałujesz. Ty i twoja Audrey. Uważasz, że jest wspaniała, co?

— Nie uważam, że jest wspaniała. Uważam, że jest niezwykle miłą i sympatyczną osobą, którą niegdyś skrzywdziłem, a ona okazała swą wielką wspaniałomyślność i wybaczyła mi.

— Mylisz się — odparła Kay.

Wstała. Furia już jej minęła. Mówiła serio, z powagą:

— Audrey wcale ci nie wybaczyła, Neville. Widziałam raz i drugi, jak na ciebie patrzy... Nie wiem, co jej tam po głowie chodzi, ale czasami... Z taką, to nigdy nie wiadomo.

— Szkoda, że nie ma więcej takich ludzi jak ona.

Kay zbladła jak ściana.

— Chodzi ci o mnie? — w jej głosie zabrzmiała niebezpieczna nuta.

— No, cóż, nie wykazujesz zbyt wiele powściągliwości, prawda? Każdy zły humor, każda uraza, wszystko, co tylko lęgnie się w twoim mózgu, wszystko musisz zaraz okazać, wykrzyknąć. Robisz z siebie idiotkę, a i ze mnie głupca.

— Chciałeś jeszcze coś dodać?

Powiedziane to było lodowato. Odrzekł równie chłodno:

— Przykro mi, jeżeli cię to dotknęło. Ale to szczerą prawdą. Nie potrafisz nad sobą panować.

— Ty nigdy nie tracisz nerwów, co? Zawsze opanowany, o cudownych manierach, wzór nad wzory. Nie wierzę, że w ogóle coś czujesz. Jesteś zimny jak ryba, cholerna zimnokrwista ryba. Dlaczego nie pofolgujesz sobie czasami? Dlaczego na mnie nie krzykniesz, nie zeklniesz, nie powiesz, żebym poszła sobie do diabła!

Neville westchnął. Zwiesił ramiona i rzekł:

— O Boże...

Odwróciwszy się na pięcie wyszedł z pokoju.

— Nic się nie zmieniłeś, Thomasie Royde, od czasu, gdy ukończyłeś siedemnaście lat — stwierdziła lady Tresilian. — Ta sama okrągła twarz, poważne spojrzenie. I nie bardziej gadatliwy niż wtedy. Dlaczego?

— Bo ja wiem — odrzekł mgliście — nie mam daru.

— Odwrotnie niż Adrian. Ten był zdolny. I wygadany.

— Może dlatego. Zawsze zostawiałem gadanie Adrianowi.

— Szkoda Adriana. Zapowiadał się świetnie.

Thomas skinął głową.

Lady Tresilian zmieniła temat. Udzielała Thomasowi audiencji. Na ogół przyjmowała swoich gości pojedynczo. Mniej ją to męczyło i pozwalało skoncentrować uwagę.

— Jesteś tu już od dwudziestu czterech godzin. Co sądzisz o naszej sytuacji?

— Sytuacji?

— Nie udawaj głupiego. Robisz to specjalnie. Doskonale wiesz, o co mi chodzi. Odwieczny trójkąt, który utworzył się także pod moim dachem.

Thomas powiedział ostrożnie:

— Wygląda na to, że pojawiło się lekkie tarcie.

Lady Tresilian uśmiechnęła się z lekka diabolicznie.

— Zwierzę ci się, Thomasie, mam niezgorszą zabawę. Doprowadzili do tego wbrew mojej woli. Mówiąc szczerze, zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby tej sytuacji zapobiec. Neville uparł się jak osioł. Zawziął się, żeby mieć je tu obie. I teraz pije piwo, którego sobie nawarzył.

Thomas Royde poruszył się na swoim krześle.

— To wydaje się zabawne — powiedział.

— Wyjaśnij — fuknęła lady Tresilian.

— W życiu bym nie myślał, że ze Strange'a taki gość.

— Ciekawe, że to mówisz. Ja zdziwiłam się tak samo. To do niego niepodobne. Neville, jak większość mężczyzn, stara się unikać kłopotów i nieprzyjemności. Podejrzewam, że to z początku wcale nie był pomysł Neville'a, ale czyj — nie mam pojęcia. — Przerwała i spytała z powątpiewaniem: — Czyżby to był pomysł Audrey?

— Nie, niemożliwe — bez wahania odpowiedział Thomas.

— Ale nie chce mi się wierzyć, żeby to był pomysł tej biedaczki, Kay. Chyba że jest taką świetną aktorką. Wiesz, właściwie zaczynam jej współczuć.

— Nie przepada pani za nią?

— Nie. Za grosz rozsądku i opanowania. Ale, jak mówiłam, naprawdę zaczynam jej współczuć. Porusza się jak słoń w składzie porcelany. Nie wie, jaką bronią się posłużyć. Wybuchy złości, złe maniery, dziecięce wybryki — to wszystko działa na Neville'a jak czerwona płachta na byka.

Thomas zauważył łagodnie:

— Sądzę, że w najtrudniejszej sytuacji jest Audrey.

Lady Tresilian rzuciła mu ostre spojrzenie.

— Zawsze się w niej, Thomasie, podkochiwałeś, prawda?

Odpowiedział sucho:

— Myślę, że tak.

— Od najmłodszych lat?

Przytaknął.

— A potem pojawił się Neville i sprzątnął ci ją sprzed nosa?

Poruszył się, zakłopotany.

— Hm, tak... Zawsze wiedziałem, że jestem bez szans.

— Cóż za brak wiary w siebie.

— „Stary poczciwy Thomas” — tak Audrey o mnie myśli.

— „Wierny Thomas”, czy nie tak cię przezywali? — przypomniała lady Tresilian.

Uśmiechnął się, bo te słowa przywołały wspomnienie dni dzieciństwa.

— Ciekawe, nie słyszałem tego od lat.

— Twoje akcje u Audrey mogą teraz pójść w górę — powiedziała. Patrzyła mu prosto w oczy. — Wierność jest cechą, którą ktoś, kto ma za sobą takie przejścia jak Audrey, może cenić wysoko. Niewzruszona psia wierność może doczekać się nagrody.

Thomas Royde opuścił wzrok, bawiąc się fajką.

— Z taką nadzieją — rzekł — przyjechałem tutaj.

4

— A więc jesteśmy wszyscy — rzekła Mary Aldin.

Hurstall, stary lokaj, przetarł spocone czoło. Kiedy wszedł do kuchni, pani Spicer, kucharka, rzuciła coś na temat jego miny.

— Nie najlepiej się czuję, niestety — powiedział Hurstall. — Jeżeli mogę się tak wyrazić, wszystko, co ostatnio się mówi i robi w tym domu, wydaje się mieć znaczenie inne niż na pozór. Wiesz, o co mi chodzi?

Pani Spicer nie sprawiała wrażenia, że wie, o co mu chodzi, więc ciągnął:

— Miss Aldin teraz, kiedy usiedli do kolacji, powiedziała: „A więc jesteśmy wszyscy”, a ja aż podskoczyłem! Wyglądało to tak, jakby treser zgromadził swoje dzikie bestie w klatce i zatrzaskał drzwi. Nagle wydało mi się, że jesteśmy w pułapce.

— Na pewno zjadłeś coś, co ci zaszkodziło.

— To nie jest niestrawność. Chodzi o to, że wszyscy żyjemy w napięciu. Trzasnęły frontowe drzwi, a pani Strange, nasza pani Strange, to znaczy panna Audrey, tak podskoczyła, jakby ją coś ugryzło. I te chwile ciszy. Są bardzo dziwaczne. Tak jakby nagle każdy bał się odezwać. A potem wszyscy naraz zaczynają mówić, co im ślina na język przyniesie.

— Nic dziwnego, że potem są zmieszani — zaznaczyła pani Spicer.

— Dwie panie Strange pod jednym dachem! Moim zdaniem tak nie wypada.

W jadalni panowała właśnie jedna z tych chwil ciszy, o jakich mówił Hurstall.

Z wymuszoną uprzejmością Mary Aldin zwróciła się do Kay i poinformowała ją:

— Zaprosiłam pani znajomego, pana Latimera, na jutrzejszą kolację do nas.

— Ach, świetnie — odparła Kay.

— Latimer? Jest tutaj? — zainteresował się Neville.

— Zatrzymał się w hotelu Easterhead Bay — wyjaśniła Kay.

— Moglibyśmy się tam wybrać kiedyś na kolację — zaproponował Neville. — Do której kursuje prom?

— Do wpół do pierwszej — powiedziała Mary.

— Chyba są tam wieczorami dansingi?

— Większość gości to emeryci.

— To twój przyjaciel nie ma zbyt wielu rozrywek — Neville zwrócił się do Kay.

Mary powiedziała szybko:

— Może by się któregoś dnia ruszyć i trochę popływać w Easterhead Bay? Jest jeszcze zupełnie ciepło, a tam jest taka śliczna piaszczysta plaża.

Thomas Royde rzekł półgłosem do Audrey:

— Jutro wybieram się na żagle. Popływasz?

— Chętnie.

— Moglibyśmy pojechać wszyscy — ożywił się Neville.

— Przecież mówiłeś, że chcesz grać w golfa — wtrąciła Kay.

— Tak, chciałem się wybrać na pole golfowe. Wyszedłem trochę z wprawy.

— To doprawdy tragedia! — rzuciła Kay.

Nevile zauważył pogodnie:

— Golf jest tragiczną grą.

Mary spytała Kay, czy gra.

— Tak, uległam modzie.

— Kay byłaby w golfie bardzo dobra, gdyby tylko się trochę przyłożyła. Ma wrodzony talent.

Kay zwróciła się do Audrey:

— Pani nie uprawia żadnych sportów?

— Prawdę mówiąc, nie. Grałam trochę w tenisa, też ulegając modzie, ale bez większych rezultatów.

— Czy nadal grasz na fortepianie, Audrey? — spytał Thomas.

Pokręciła głową.

— Ostatnio nie.

— Grałaś niezłe — zauważył Neville.

— Myślałam, że nie przepadasz za muzyką, Neville — wtrąciła się Kay.

— Nie jestem melomanem — powiedział niepewnie. — Zawsze dziwiło mnie, jak Audrey potrafi palcami jednej ręki objąć oktawę. Ma takie drobne dłonie.

Spojrzał na nie, kiedy odłożyła deserowe sztuczce. Trochę się zarumieniła i szybko wyjaśniła:

— Mam długie palce, a zwłaszcza mały. Pewnie to mi pomaga.

— To znaczy, że jest pani egoistką. Egoiści mają długie małe palce, a altruści krótkie — powiedziała Kay.

— Naprawdę? — zaciekawiała się Mary Aldin. — Więc ja jestem altruistką. Proszę spojrzeć, mam krótkie.

— Wiem, że nie jesteś egoistką — rzekł Thomas Royde, przyglądając się jej w zamyśleniu.

Zaczerwieniła się i szybko powiedziała:

— Kto z nas ma w sobie najmniej egoizmu? Pokażcie małe palce. Ja mam krótsze niż ty, Kay. Ale Thomas mnie przebija.

— Ja przebijam was oboje. Patrzcie — Neville rozczapierzył dłoń.

— Ale tylko u jednej ręki — zauważyła Kay. — U lewej ręki masz palec krótki, ale u prawej dużo dłuższy. A mówią, że lewa ręka odbija to, z czym przychodzimy na świat, natomiast prawa to, co robimy z własnym życiem. Co by znaczyło, że urodziłeś się jako altruista, a w miarę upływu lat stajesz się coraz większym egoistą.

— Umiesz wróżyć, Kay? — zainteresowała się Mary Aldin. Pokazała wnętrze dłoni. — Jedna wróżka powiedziała mi, że będę miała dwóch mężów i troje dzieci. Muszę się pośpieszyć.

Kay wyjaśniła:

— Te małe kreski to nie dzieci, to podróże. To znaczy, że odbędziesz trzy zamorskie podróże.

— To też nie wygląda zbyt prawdopodobnie.

Thomas Royde zwrócił się do Mary z pytaniem:

— Czy dużo podróżowałaś?

— Prawie wcale.

Zwrócił uwagę na ukryty w jej głosie żal.

— A chciałybyś?

— Ponad wszystko.

Pomyślał sobie, że jej życie musi płynąć leniwe. Ciągłe na usługach tej staruszki. Spokojna, taktowna, świetnie zarządzająca domem. Zapytał z ciekawością:

— Długo mieszkasz z lady Tresilian?

— Już prawie piętnaście lat. Znalazłam się tu po śmierci ojca. Przez kilka lat przed śmiercią był całkowicie sparaliżowany.

A potem, jakby uprzedzając jego pytanie, dodała:

— Mam trzydzieści sześć lat. To chciałeś wiedzieć, prawda?

— Zastanawiałem się. Mogłabyś być w każdym wieku.

— To chyba wątpliwy komplement.

— Nie chciałem, żeby tak wyszło.

Nie spuszczał z jej twarzy swojego myślącego, poważnego spojrzenia. O dziwo, nie czuła się zmieszana. Nieświadome, czyste, zamyślane zaciekawienie. Widząc jego spojrzenie na swoich włosach, powiedziała:

— To pasmo mam od wczesnej młodości.

— Podoba mi się — powiedział po prostu Thomas Royde.

Nadal jej się przyglądał. W końcu, lekko rozbawiona, spytała:

— No i jaki werdykt?

Zarumienił się pod opalenizną.

— Ach, przepraszam, chyba nie wypada tak się gapić. Zastanawiałem się jaka jesteś.

— Nic nie szkodzi — pośpiesznie wstała od stołu.

Wchodząc wraz z Audrey do salonu, zakomunikowała:

— Stary pan Treves będzie jutro na kolacji.

— Kto to? — spytał Neville.

— Przedstawił list wprowadzający od Rufusa Lorda. Uroczy starszy dżentelmen.

Mieszka w Balmoral Court. Ma słabe serce i trochę niedomaga, ale głowa jeszcze doskonała i poznał w życiu mnóstwo ciekawych ludzi. Był adwokatem czy prokuratorem, zapomniałam.

— Wszyscy tutaj są potwornie starzy — Kay dała upust swojemu niezadowoleniu.

Stała pod żyrandolem. Thomas spojrzał na nią w swój niespieszny, uważny sposób, jak na wszystko, co znalazło się na linii jego wzroku.

Uderzyła go jej niezaprzeczalna i porywająca uroda. Uroda pełnych barw, bujna i tryskająca życiową energią. Przeniósł wzrok na Audrey, bladą, podobną do nocnego motyla w swojej srebrnoszarej sukni.

Uśmiechnął się w duchu i szepnął:

— Czerwona róża i biała lilia.

— Proszę? — za nim stała Mary Aldin. Powtórzył swoje słowa.

— Wiesz, jak dwa różne kwiaty...

— Cóż za trafne porównanie...



Pan Treves z uznaniem sączył swoją szklaneczkę porto. Doskonałe wino. I świetnie przyrządzona i podana kolacja. Tak, widać, że lady Tresilian nie ma kłopotów ze służbą.

Dom, co daje się zauważyć, jest prowadzony pewną ręką, pomimo że gospodyni jest inwalidką.

Trochę szkoda, że damy nie opuściły jadalni, kiedy podano porto. Wolał tradycyjne obyczaje. Ci młodzi chodzą swoimi drogami.

Jego uważny wzrok spoczął na tej błyskotliwej i pięknej młodej kobiecie, która była żoną Nevile'a Strange'a.

Dziś jest jej wieczór. Jej żywa uroda rozkwitła i błyszczy w wypełnionym światłem świec pokoju. Obok Ted Latimer pochyla ku niej swą gładko przyczesaną ciemną głowę. Jawnie ją emabluje. Rozpiera ją radość życia i pewność siebie.

Sam widok takiej promieniującej witalności ogrzał stare kości pana Trevesa.

Ech, młodość, nic nie może się równać z młodością!

Nic dziwnego, że jej mąż stracił głowę i porzucił swoją pierwszą żonę. Audrey siedziała obok niego. Czarująca istota i dama w każdym calu, cóż, kiedy właśnie takie kobiety niezmiennie zostają na lodzie, tak przynajmniej wynikało z doświadczeń pana Trevesa.

Rzucił na nią okiem. Opuściła głowę i wpatrywała się w swój talerz. Jej bezruch uderzył pana Trevesa. Spojrzał na nią uważniej. Zastanawiał się, o czym też może myśleć. Jak uroczo układają się jej włosy nad uchem, zgrabnym jak muszelka.

Pan Treves ocknął się z zamyślenia, kiedy towarzystwo zaczęło się przemieszczać do salonu. Pośpieszył za innymi.

W salonie Kay Strange podeszła prosto do gramofonu i puściła płytę z muzyką taneczną.

Mary Aldin zwróciła się do pana Trevesa przepaszajaco:

— Na pewno nie przepada pan za jazzem.

— Ależ tak! — skłamał grzecznie.

— Może później zagramy roberka? — zaproponowała. — Ale nie zaczynajmy jeszcze, bo wiem że lady Tresilian pana oczekuje, żeby trochę pogawędzić.

— Wspaniale. Czy Lady Tresilian nigdy nie bierze udziału w przyjęciach?

— Nie. Kiedyś korzystała z inwalidzkiego wózka. Dlatego mamy tu windę. Ale teraz woli nie opuszczać swojego pokoju. Tam może rozmawiać z kim chce, przyjmując gości jak królowa.

— Ładnie to pani ujęła, panno Aldin, pamiętam, że lady Tresilian miała zawsze królewskie maniery.

Kay poruszała się po pokoju tanecznym krokiem. Powiedziała:

— Odsuń ten stół gdzieś na bok, Neville.

Mówiła władczo, oczy jej błyszczały, wargi miała rozchylone. Neville posłusznie przesunął stół. Zrobił krok ku niej, ale ona rozmyślnie odwróciła się do Teda Latimera.

— Chodź, Ted, zatańczymy.

Ted bez zwłoki otoczył ją ramieniem. Tańczyli, kołysząc się, idealnie zgrani. Przyjemnie było na nich patrzeć. Pan Treves mruknął:

— Hm, jak zawodowcy.

Mary Aldin uderzyło to słowo, ale nie... Pan Treves mówił to z czystym podziwem. Popatrzyła na jego drobną, pomarszczoną, mądrą twarz. Gościł na niej taki wyraz, jakby pan Treves był gdzieś daleko ze swoimi myślami.

Neville stał chwilę niezdecydowany, wreszcie podszedł do stojącej przy oknie Audrey.

— Audrey, czy mogę prosić cię do tańca?

Pytanie zabrzmiało formalnie, prawie chłodno. Zwykła uprzejmość, można by powiedzieć. Audrey Strange zawahała się przez moment, potem skinąwszy głową uczyniła krok w jego stronę.

Mary Aldin rzuciła parę zdawkowych uwag, które pan Treves pozostawił bez odpowiedzi. Ponieważ dotąd nie wykazywał objawów głuchoty, a jego kurtuazja nie budziła najmniejszych wątpliwości, zdała sobie sprawę, że musi być czymś bardzo zajęty. Nie mogła stwierdzić, czy obserwuje tańczących, czy też wpatruje się w stojącego samotnie Thomasa Royde'a.

Lekko drgnąwszy pan Treves zapytał:

— Przepraszam bardzo, pani coś powiedziała?

— Och, nic takiego. Mówiłam tylko, że mamy wyjątkowo piękny wrzesień.

— Tak, w rzeczy samej. Gdzieniegdzie już bardzo trzeba deszczu, jak mówiono w hotelu.

— Czy jest tam panu wygodnie?

— Ach, tak, chociaż muszę przyznać, że zaraz po przyjeździe byłem niemiłe zaskoczony, bo...

Przerwał.

Audrey odsunęła się od Neville'a. Powiedziała z przepaszającym uśmiechem:

— Jest za gorąco na taniec.

Podeszła do otwartych szklanych drzwi i wyszła na taras.

— No, idź za nią, ty durniu — mruknęła Mary.

Nie była to uwaga przeznaczona dla czyichkolwiek uszu, ale pan Treves ją pochwycił i rzucił jej zdziwione spojrzenie.

Zaczerwieniła się i roześmiała zmieszana.

— Mówię już głośno do siebie — rzekła przepaszająco. — Ale on mnie tak irytuje. Jest taki powolny.

— Pan Strange?

— Ach nie, nie Neville. Thomas Royde.

Thomas Royde zaczął właśnie zabierać się do wykonania ruchu, ale już Neville, po chwilowym wahaniu, wyszedł za Audrey na taras.

Przez chwilę zaciekawiony i domyślny wzrok pana Trevesa spoczywał na drzwiach tarasu, po czym przeniósł się znów na tańczących.

— Ten młodzieniec to świetny tancerz. Mówiła pani, że nazywa się Latimer?

— Tak. Edward Latimer.

— Ach, tak, Edward Latimer. Stary znajomy pani Strange, jak sądzę?

— Tak.

— A jak ten bardzo... ee... chłopak jak malowanie zarabia na życie?

— Więc... właściwie nie bardzo wiem.

— Tak się rzeczy mają... — powiedział pan Treves, z powodzeniem wkładając w ten niewinny zwrot mnóstwo treści.

Mary kontynuowała:

— Mieszka w Easterhead Bay.

— Ładne miejsce.

Po chwili dodał jakby sennie:

— Ciekawie ukształtowana głowa, zwróciła pani uwagę? Kąt między potylicą a karkiem bardzo rzadko spotykany. Strzyże się w ten sposób, że prawie tego nie widać, ale jednak... — Po kolejnej pauzie dodał jeszcze bardziej sennie: — Widziałem już człowieka o tak ukształtowanej czaszce. Dostał dziesięć lat więzienia za brutalny napad na jubilera.

— Chyba nie chce pan powiedzieć, że... — wykrzyknęła Mary.

— Nie, skądże znowu. Źle mnie pani zrozumiała. Broń Boże, nie chcę powiedzieć nic złego o pani gościach. Po prostu chciałem zwrócić uwagę, że zatwardziały i brutalny kryminalista może mieć wygląd czarującego aniołka. Dziwne, ale tak bywa.

Uśmiechnął się do niej łagodnie. Mary powiedziała:

— Panie Treves, wie pan, trochę się pana boję.

— Ależ, młoda damo.

— Jednak tak jest. Jest pan takim byстрыm obserwatorem...

— Wzrok — z błogim zadowoleniem mówił pan Treves — mam wciąż doskonały.

— Przerwał i dodał: — A czy to szczęście czy nieszczęście, tego jeszcze nie wiem.

— Jak mogłoby to być nieszczęściem?

Pan Treves potrząsnął głową z powątpiewaniem.

— Czasem człowiek znajduje się w sytuacji, kiedy spoczywa na nim odpowiedzialność i musi zdecydować, jak postąpić. A nie zawsze łatwo wybrać sposób postępowania...

Hurstall wkroczył z kawą.

Najpierw obsłużył Mary i starego prawnika, potem podszedł do Thomasa Royde'a. Następnie, na polecenie Mary, postawił tacę na niskim stoliku i wyszedł.

Kay zawołała zza ramienia Teda:

— Skończymy tylko ten kawałek.

Mary powiedziała:

— Zaniosę Audrey kawę na taras.

Wyszła z filiżanką w dłoni. Pan Treves wyszedł z nią. Kiedy byli w progu, spojrzał jej przez ramię.

Audrey siedziała na narożniku balustrady. W jasnym świetle księżycy jej uroda odzyskała życie. Uroda wynikająca bardziej z pięknych konturów niż barw.

Zachwycająca linia dolnej szczęki, aż do ucha, łagodnie wymodelowana broda i usta, ślicznie ukształtowane kości czaszki, prosty nos. Taka uroda pozostanie nawet wtedy, kiedy Audrey się zestarzeje, nie jest zależna od jędrności mięśni i skóry. Pokryta cekinami suknia, którą miała na sobie, odbijała księżycowy blask. Siedziała nieruchomo, a Neville stał obok, patrząc na nią.

Zrobił krok w jej kierunku.

— Audrey — zaczął — ty...

Zmieniła nieco pozycję i nagle skoczyła lekko na równe nogi, chwytając się za ucho.

— Ach! Mój kolczyk! Musiał gdzieś upaść.

— Gdzie? Zaraz poszukam.

Schylili się oboje, trochę zmieszani, i zderzyli się głowami. Audrey odskoczyła. Neville zawołał:

— Zaczekaj, włosy ci się zaczepiły o mój guzik od mankietu. Nie ruszaj się.

Stała nieruchomo, gdy on manipulował niezręcznie przy guziku.

— Aj aj! Wyrывasz mi włosy! Ależ ty jesteś niezgrabny, Neville, pośpiesz się!

— Przepraszam, niezdara ze mnie.

W świetle księżycy było na tyle jasno, że obserwator mógł dostrzec to, czego nie widziała Audrey: dłonie Neville'a drżały, gdy próbował uwolnić srebrne pasmo jej włosów.

Ale i Audrey drżała, jakby jej się nagle zrobiło zimno.

Mary Aldin aż podskoczyła, kiedy usłyszała cichy głos za plecami.

— Przepraszam.

Thomas Royde wyszedł na taras, przeciskając się obok niej.

— Pomóc ci, Strange? — zapytał.

Neville wyprostował się. Audrey, uwolniona, odsunęła się od niego.

— Już w porządku. Udało się.

Twarz Neville'a była blada jak ściana.

— Zmarzaś — zwrócił się Thomas do Audrey. — Wejdzmy do środka i napijmy się kawy.

Neville tymczasem odwrócił się i gapił na morze.

— Właśnie niosłam dla ciebie kawę — rzekła Mary. — Ale może rzeczywiście, lepiej wejść do środka.

— Tak — odpowiedziała Audrey — chyba wejdę.

Znaleźli się z powrotem w salonie. Ted i Kay już zakończyli taniec. Drzwi otwarły się i stanęła w nich wysoka szczupła kobieta w czerni. Powiedziała z szacunkiem.

— Jej lordowska mość pozdrawia wszystkich i prosi pana Trevesa do swojego pokoju.

6

Lady Tresilian przywitała pana Trevesa z widoczną przyjemnością. Wkrótce oboje zanurzyli się głęboko w miłych wspomnieniach i zaczęli wyszukiwać wspólnych znajomych. Po upływie pół godziny lady Tresilian westchnęła z satysfakcją.

— Ach, jakże było mi przyjemnie. Nie ma nic lepszego od miłych plotek i wspomniania dawnych skandali.

— Odrobinka złośliwości dodaje życiu smaku — zgodził się pan Treves.

— Przy okazji, co pan sądzi o naszym przykładzie odwiecznego trójkąta?

Pan Treves dyskretnie udał świętą naiwność.

— Eee... jakiego trójkąta?

— Niech pan mi nie wmawia, że nic pan nie zauważył! Neville i jego dwie żony.

— Ach, o to chodzi. Aktualna pani Strange jest wyjątkowo atrakcyjną młodą kobietą.

— Audrey także.

— Ma wdzięk, prawda — przyznał pan Treves.

— Czy chce mi pan powiedzieć, że rozumie pan mężczyznę porzucającego Audrey, która... która jest osobą rzadkich zalet, dla... dla jakiejś Kay?

Pan Treves odparł łagodnie:

— Rozumiem doskonale. To się często zdarza.

— Obrzydliwe. Ja bym się szybko znudziła tą Kay, gdybym była mężczyzną, i żałowałabym, że dałam z siebie zrobić takiego durnia.

— To też się często zdarza. Te nagłe miłosne zaślepienia — rzekł pan Treves, dając do zrozumienia, że tego typu emocje były mu całkowicie obce — zwykle nie odznaczają się trwałością.

— I co wtedy?

— Na ogół... ee... strony jakoś się dostrajają do siebie. Ale często dochodzi do drugiego rozwodu. Mężczyzna zazwyczaj wstępuje wtedy w trzeci związek — z kimś o współczującej naturze.

— Nonsens! Neville nie jest mormonem, jak pewnie niektórzy z pańskich klientów.

— Niekiedy zdarzają się również powtórne małżeństwa z pierwszą żoną.

Lady Tresilian zaprzeczyła.

— Co to, to nie! Audrey jest na to zbyt dumna.

— Tak pani sądzi?

— Jestem tego pewna. I niech pan nie kiwa głową w tak irytujący sposób!

— Z mojego doświadczenia wynika — rzekł pan Treves — że kobiety nie są zbyt dumne albo w ogóle rezygnują z dumy, jeżeli w grę wchodzi sprawa uczuciowa.

Duma jest często na ich ustach, ale rzadko w postępowaniu.

— Nie rozumie pan Audrey. Była szaleńczo zakochana w Neville'u. Może zanadto. Kiedy on ją porzucił dla tej dziewczyny (choć nie winiłabym go za to całkowicie, bo dziewczyna uczepiła się go jak rzep psiego ogona, a wie pan, jak na to reagują mężczyźni!), nie chciała go nawet widzieć.

Pan Treves odkaszlnął cicho.

— Ale przyjechała tutaj!

— Ojej — powiedziała lady Tresilian z irytacją. — Nie próbuję nawet zrozumieć tych nowomodnych pomysłów. Wydaje mi się, że Audrey przyjechała tu po to, żeby pokazać, że nic ją to nie obchodzi, że nie ma to dla niej znaczenia.

— Bardzo prawdopodobne — rzekł pan Treves, gładząc się po szczęce. — Może wydaje jej się że tak jest, tak, na pewno.

— Chce pan powiedzieć, że pana zdaniem ona wciąż do niego wzdycha, i że... o, nie! W coś takiego nigdy nie uwierzę!

— Wszystko możliwe.

— Nie dopuszczę do tego! Nie pod moim dachem!

— Jest pani zaniepokojona, prawda? — spytał pan Treves przenikliwie. —

Atmosfera jest bardzo napięta.

— Też pan to czuje? — spytała gwałtownie.

— Tak. I jestem w kropce, muszę przyznać. Prawdziwe pobudki zaangażowanych stron pozostają niejasne, ale, moim zdaniem, w powietrzu pachnie prochem. W każdej chwili może nastąpić wybuch.

— Niech pan nie udaje Guy Fawkesa, tylko powie mi, co robić?

Pan Treves rozłożył ręce.

— Niestety, nie jestem w stanie nic pani doradzić. Na pewno trzeba by zlokalizować punkt zapalny. Ale zbyt wiele jest dla nas niejasne.

— W każdym razie nie zamierzam skłaniać Audrey do wyjazdu. Wiem, że zachowuje się w tej trudnej sytuacji bez zarzutu. Jest uprzejma, ale z rezerwą. Uważam, że postępuje nienagannie.

— Och, najzupełniej. Najzupełniej. Niemniej jednak wywiera to na panu Strange niezwykle silne wrażenie.

— Neville — rzekła lady Tresilian — zachować się nie potrafi. Muszę z nim przeprowadzić poważną rozmowę. Ale wyrzucić go z domu teraz nie mogę. Matthew w zasadzie uważał go za syna.

— Wiem.

Lady Tresilian westchnęła. Zniżyła głos.

— Wie pan, że Matthew utonął tutaj?

— Tak.

— Wiele osób dziwiło się, że tu zostałam. To głupcy. Zawsze chciałam czuć Matthew blisko siebie. Cały dom jest go pełen. Wszędzie indziej czułabym się samotnie i obco. — Przerwała i po chwili ciągnęła dalej. — Z początku miałam nadzieję, że niedługo się z nim połączę, zwłaszcza że zdrowie zaczęło mi szwankować. Ale wygląda na to, że należę do tych wiecznych inwalidów, co to ciągle nie mogą umrzeć. — Ze złością uderzyła w poduszkę. — Wcale mnie to nie bawi, niech mi pan wierzy. Zawsze miałam nadzieję, że kiedy przyjdzie mój czas, odejdę szybko, stanę ze śmiercią twarzą w twarz, że nie będę musiała czuć jej ciągle za plecami i znosić nasyłanych przez nią jedna po drugiej chorób. Coraz większa bezradność, coraz większa zależność od innych ludzi!

— Ale ma pani przecież bardzo oddanych ludzi, jestem tego pewien. Ma pani wierną pokojówkę...



— Barrett? Ona mnie trzyma przy życiu. Stary wiarus, zawsze można na nią liczyć. Jest ze mną od wieków.

— No i miała pani szczęście trafić na pannę Aldin.

— Ma pan całkowitą rację. To szczęście, że Mary tu zamieszkała.

— To pani krewna?

— Daleka kuzynka. Jedna z tych istot bez własnego życia, które wciąż poświęcają się innym. Najpierw zajmowała się swoim ojcem, inteligentnym człowiekiem, ale wymagającym stałej opieki. Po jego śmierci ubłagałam ją, żeby się do mnie przeniosła, i do dziś błogosławię dzień, w którym pojawiła się w tym domu. Nie ma pan pojęcia, jak okropne potrafią być „damy do towarzystwa”. Nudne nieudacznice. Można przy nich oszaleć, tak są bezdennie głupie. Najmują się do tej roli, bo do niczego innego się nie nadają. To, że mam tu Mary, która jest czytana, inteligentną kobietą, to cud. Ma głowę nie od parady, jak mężczyzna. Wiele czyta, nie ma tematu, na który nie można by z nią porozmawiać. Ma też zmysł praktyczny. Prowadzi dom doskonale, a służba jest zadowolona. W zarodku tłumi wszelkie konflikty czy przejawy zawiści. Nie mam pojęcia, jak jej się to udaje, to chyba po prostu poczucie taktu.

— Długo jest u pani?

— Dwanaście lat... nie... chyba więcej. Raczej trzynaście, czternaście, coś koło tego. Bardzo mi z nią wygodnie.

Pan Treves kiwnął głową.

Lady Tresilian, przyglądając mu się spod półprzymkniętych powiek, rzekła nagle:

— Co panu jest? Martwi się pan czymś?

— Tak, trochę tak. Ma pani bystre oko.

— Lubię obserwować ludzi. Zawsze z góry wiedziałam, kiedy Matthew miał coś na głowie. — Westchnęła i opadła na poduszki. — Muszę się z panem pożegnać — odprawiła pana Trevesa po królewsku, nie było w tym nic nieuprzejmego. — Jestem bardzo zmęczona. Rozmowa z panem była dla mnie ogromną przyjemnością. Proszę mnie wkrótce znów odwiedzić.

— Nie omieszkać skorzystać z tak miłego zaproszenia. Mam nadzieję, że nie zabrałem pani zbyt wiele czasu.

— Ach, nie. U mnie zawsze zmęczenie przychodzi nagle. Niech pan będzie łaskaw zadzwonić na pokojówkę, zanim pan wyjdzie.

Pan Treves z właściwą sobie uwagą i delikatnością pociągnął za staroświecki duży uchwyt od dzwonka, zakończony potężnym chwastem z frędzli.

— To już zabytek — zauważył.

— Mój dzwonek? Tak. Te nowomodne dzwonki elektryczne to nie dla mnie. Ciągłe się psują. Naciska się i nic. A to nigdy się nie psuje. Dzwoni w pokoju Barrett na górze, dzwonek wisi u niej nad łóżkiem. Barrett zgłasza się natychmiast, a jeżeli nie, to dzwonię powtórnie.

Kiedy pan Treves wychodził z pokoju, usłyszał, że lady Tresilian pociąga ponownie za uchwyt. Gdzieś nad nim rozległ się dzwonek. Spojrzał w górę i zauważył linkę biegnącą pod sufitem. Barrett zbiegła po schodach i minęła go, śpiesząc do swojej pani.

Pan Treves schodził powolutku. Nie musiał korzystać z windy, żeby znaleźć się na dole. Na jego twarzy malował się wyraz niepewności i niepokoju.

Na dole wszyscy siedzieli w salonie. Mary Aldin natychmiast zaproponowała brydża, ale pan Treves grzecznie odmówił, zaznaczając, że niedługo będzie musiał zbierać się do wyjścia.

— Mój hotel jest bardzo staroświecki. Trzeba wracać przed północą.

— Jeszcze jest dużo czasu, dopiero wpół do jedenastej — rzekł Neville. — Chyba nie zamykają drzwi na klucz?

— Ach, nie. Prawdę mówiąc, podejrzewam, że w ogóle nie zamykają na noc. Owszem, od dziewiątej drzwi są zamykane, ale tylko na klamkę. To wygląda trochę na bez troskę, ale pewnie są do tego podstawy: można wierzyć w uczciwość tutejszych mieszkańców.

— W dzień nikt tutaj nie zamyka drzwi — rzekła Mary. — Nasze stoją otworem cały dzień, ale na noc je zamykamy.

— Jak się panu mieszka w Balmoral Court? — zapytał Ted Latimer. — Ten budynek to dziwaczne wiktoriańskie szkaradzieństwo.

— Żyje się tam jak na królewskim dworze — rzekł pan Treves. — Solidny wiktoriański komfort. Wygodne łóżka, dobra kuchnia, przestronne szafy. Olbrzymie wanny w mahoniowej obudowie.

— Wspomniał pan, że zaraz na początku coś pana zdenerwowało — powiedziała Mary.

— A, tak. Wyraźnie prosiłem o zarezerwowanie dwóch pokoiów na parterze. Mam słabe serce, wiecie państwo, i nie wolno mi wchodzić po schodach. Po przyjeździe okazało się, że nie ma dla mnie tych pokoi. Przeznaczili mi dwa inne, muszę przyznać, że bardzo przyjemne, ale na ostatnim piętrze. Protestowałem, ale zdaje się, że jakiś stały rezydent, który miał wyjechać do Szkocji na miesiąc, rozchorował się i nie mógł zwolnić tych, o które prosiłem.

— To pan Lukan, tak? — spytała Mary.

— Wydaje mi się, że padło to nazwisko. W tych okolicznościach musiałem się zgodzić na piętro. Na szczęście mają sprawną bezobsługową windę, więc właściwie niewygodą jest żadna.

Kay powiedziała:

— Ted, może byś się przeniósł do Balmoral Court. Miałbyś do nas bliżej.

— Ach, nie sądzę, żeby to był lokal w moim guście.

— Ma pan rację, panie Latimer — rzekł pan Treves — byłby pan tam zupełnie nie na miejscu.

Z jakiegoś powodu Ted Latimer oblał się rumieńcem.

— Nie wiem, o co panu chodzi — odparł.

Mary Aldin, wyczuwając jego zażenowanie, natychmiast zmieniła temat, wspominając aktualną sensację z pierwszych stron gazet:

— Policja aresztowała kogoś w związku ze sprawą tych zwłok znalezionych w Kentish Town.

— To już drugi, którego zatrzymali — rzekł Neville — mam nadzieję, że tym razem mają właściwego.

— Niewykluczone, że będą musieli go wypuścić — powiedział pan Treves.

— Brak dowodów? — spytał Royde.

— Tak.

— Ale przecież — rzekła Kay — muszą w końcu znaleźć dowody!

— Niekoniecznie, pani Strange. Zdziwi panią, ale wielu przestępców chodzi na wolności.

— Bo nigdy ich nie znaleziono, o to panu chodzi?

— Nie tylko. Jest na przykład człowiek — tu wymienił głośny proces sprzed dwóch lat — o którym policja doskonale wie, że jest winny morderstw na dzieciach. Wiedzą bez cienia wątpliwości, że tych dwóch świadków, którzy mu zapewnili alibi, kłamie, ale nie mogą tego udowodnić. I w ten sposób morderca jest wolny.

— Okropne — powiedziała Mary.

Thomas Royde opukał swoją fajkę i odezwał się spokojnym zamyślonym głosem:

— To tylko potwierdza mój niezmienny od lat pogląd, że są sytuacje, w których człowiek ma prawo sam wymierzyć sprawiedliwość.

— Co pan ma na myśli, panie Royde?

Thomas zaczął nabijać fajkę. Patrzył uważnie na swoje ręce, mówiąc urywanymi zdaniem.

— Powiedzmy, że wiecie... o jakiejś brudnej robocie... wiecie, że człowiek, który to zrobił jest nie do ruszenia przez wymiar sprawiedliwości... że uniknie kary. W takim przypadku ja uważam... że można samemu ją wymierzyć.

Pan Treves ciepło stwierdził:

— Niezwykle zgubna doktryna, panie Royde. Takie działanie jest nieuzasadnione!

— Ja mam inne zdanie. Zakładam, że fakty nie budzą wątpliwości, jedynie prawo jest bezsilne!

— Jednak wymierzanie sprawiedliwości przez osoby prywatne jest niedopuszczalne!

Thomas lekko się uśmiechnął.

— Nie zgadzam się — rzekł. — Jeżeli takiemu typowi powinno się skrócić kark, nie mam żadnych oporów, żeby wziąć to na swoje sumienie.

— Ale wtedy z kolei pan sam złamie prawo i będzie podlegał karze!

Thomas nadal się uśmiechał.

— Musiałbym być ostrożny, oczywiście... Trzeba by wykazać się nie lada przebiegłością...

Rozległ się jasny głos Audrey:

— Znaleźliby cię i tak, Thomas.

— A ja myślę, że nikomu by się to nie udało.

— W jednej sprawie, którą prowadziłem... — zaczął pan Treves i przerwał. Dodał przepaszająco: — Kryminologia, proszę państwa, to moje hobby.

— Prosimy, niech pan mówi — powiedziała Kay.

— Mam spore doświadczenie w sprawach kryminalnych. Zaledwie kilka z nich było naprawdę interesujących. Większość morderców to osobnicy żałośnie nieciekawi i niezmiernie krótkowzroczni. Jednak mogę opowiedzieć wam o pewnym interesującym przypadku.

— Tak, proszę — znów odezwała się Kay — lubię słuchać o morderstwach.

Pan Treves mówił powoli i dobierał słów z największą starannością.

— Sprawa ta dotyczyła dziecka. Nie podam państwu oczywiście ani wieku, ani płci rzezonego dziecka. Fakty przedstawiały się następująco: dwójka dzieci bawiła się łukiem i strzałami. Jedno z dzieci strzeliło tak, że grot przeszył ważne organy drugiego, co w rezultacie doprowadziło do zgonu dziecka. Orzeczono śmierć wskutek nieszczęśliwego wypadku. Dziecko, które było sprawcą wypadku, znajdowało się w stanie szoku, wszyscy się nad nim litowali i współczuli mu. — Przerwał.

— To wszystko? — spytał Ted Latimer.

— To było wszystko. Nieszczęśliwy wypadek. Ale jest jeszcze inny wątek tej historii. Otóż pewien farmer jakiś czas przedtem przypadkowo przejeżdżał drogą przez pobliski las. Tam na polance zauważył dziecko, które ćwiczyło się w strzelaniu z łuku.

Przerwał, pozwalając słuchaczom wyciągnąć wnioski.

— Myśli pan — spytała Mary Aldin z niedowierzaniem — że to nie był wypadek? Że to było zrobione naumyślnie?

— Nie wiem i nigdy nie byłem pewny. W trakcie przesłuchania twierdzono, że dzieci nie były obeznane z łukiem i strzałami i nie umiały się nimi posługiwać.

— A tak nie było?

— W przypadku jednego z dzieci z pewnością nie było to prawdą.

— Co zrobił ten farmer? — szeptem spytała Audrey.

— Nic. Do dziś nie wiem, czy postąpił słusznie. Chodziło przecież o całą przyszłość dziecka. Wydawało mu się, że wszelkie wątpliwości powinny przemawiać na korzyść dziecka.

Audrey spytała:

— Ale pan nie ma wątpliwości, że to nie był wypadek?

— Osobiście jestem przekonany, że mieliśmy tu do czynienia z autentycznym morderstwem doskonałym, w najdrobniejszych szczegółach zaplanowanym i zrealizowanym przez to dziecko — oświadczył z powagą pan Treves.

— A motyw? — spytał Ted Latimer.

— Owszem, były motywy. Dziecinada: dokuczanie, robienie na złość, przezywanie. Wystarczyło, żeby rozpałcić nienawiść. U dziecka nie trzeba wiele...

— Ale ta premedytacja! — zawołała Mary.

Pan Treves przytaknął.

— Tak, premedytacja, to było brzydkie. Dziecko, które metodycznie, dzień w dzień ćwiczy z morderczym zamiarem w sercu, a potem daje popis aktorstwa: niezręczny strzał, udawana rozpacz i smutek — to wprost niewiarygodne. Do tego stopnia niewiarygodne, że wątpię, iżby uwierzył w to sąd.

— Co się stało z tym... z tym dzieckiem? — zacięła się Kay.

— Zdaje się, że zmieniono mu nazwisko. To była głośna sprawa, więc okazało się to konieczne. Dziś to dziecko jest dorosłym człowiekiem gdzieś w świecie. Jedno tylko mnie zastanawia: czy nadal ma serce mordercy?

I dodał w zamyśleniu:

— To było wiele lat temu, ale rozpoznałbym mojego małego mordercę wszędzie.

— Na pewno nie — sprzeciwił się Royde.

— Ależ tak. Miał pewien znak szczególny, no, ale nie będę już więcej o tym mówił. To niezbyt miły temat, Powinienem już iść.

Wstał.

— Może strzemiennego?

Trunki stały na stole w drugiej części pokoju. Thomas Royde, który był w pobliżu, wyjął korek z karafki z whisky.

— Whisky z wodą sodową, panie Treves? A pan, Latimer, czego się napije?

Nevile półgłosem zwrócił się do Audrey:

— Wieczór taki piękny. Chodźmy się przejść.

Stała w drzwiach, patrząc na zalany światłem księżycy taras. Minał ją i stanął na zewnątrz, czekając na nią. Cofnęła się do pokoju i przecząco pokręciła głową.

— Nie, jestem zmęczona. Chyba pójdę do łóżka.

Przeszła przez pokój i zniknęła. Kay ziewnęła szeroko.

— Ja też jestem śpiąca. A ty, Mary?

— Tak, ja chyba też. Dobranoc, panie Treves. Thomas, zaopiekuj się panem Trevesem.

— Dobranoc, panno Aldin. Dobranoc, pani Strange.

— Będziemy w twoim hotelu na lunchu, Ted — powiedziała Kay. — Możemy się wykapać, jeśli nadal będzie tak ciepło.

— Cudownie. Będę się za tobą rozglądał. Dobranoc, panno Aldin.

Obie kobiety wyszły.

Ted Latimer zwrócił się uprzejmie do pana Trevesa:

— Idę w tę samą stronę, co pan — do promu, więc mijam pański hotel.

— Dziękuję, panie Latimer. Będzie mi miło, jeśli mnie pan odprowadzi.

Chociaż pan Treves mówił o wyjściu, nie robił wrażenia, że mu się spieszy. Sączył swojego drinka z wyraźną przyjemnością i próbował nakłonić Thomasa Royde'a do rozmowy o warunkach życia na Malajach.

Royde odpowiadał monosylabami. Szczegóły codziennej egzystencji mogłyby być ściśle tajnymi informacjami wagi państwowej, sądząc po tym, z jakim trudem trzeba je było z niego wyciągać. Thomas sprawiał „wrażenie zatopionego w myślach, z których otrząsał się z trudem, żeby udzielać odpowiedzi swemu rozmówcy.

Ted Latimer kręcił się niecierpliwie. Miał znudzoną minę i wyraźnie chciał już iść. Nagle wykrzyknął:

— Prawie zapomniałem! Przywiozłem Kay parę płyt gramofonowych, o które mnie prosiła. Są w holu. Przyniosę je tu. Powie jej pan o nich jutro, Royde?

Thomas potwierdził. Ted opuścił pokój.

— Ten młody człowiek to niespokojna dusza — mruknął pan Treves.

Royde chrząknął zamiast odpowiedzieć.

— To, jak sądzę, przyjaciel pani Strange? — nie dawał za wygraną stary prawnik.

— Kay Strange.

Pan Treves uśmiechnął się.

— Oczywiście. Ją miałem na myśli. Nie mógłby raczej być znajomym pierwszej pani Strange.

Royde stwierdził stanowczo:

— Nie, nie mógłby.

I chwytając rozbawione spojrzenie rozmówcy, dodał, rumieniając się lekko:

— Chodzi mi o to, że...

— Ach, doskonale rozumiem, o co panu chodzi, panie Royde. Pan natomiast jest przyjacielem pani Audrey Strange, prawda?

Thomas Royde powoli nabijał fajkę tytoniem ze swojego kapciu cha. Pograżony w tej czynności, powiedział czy raczej wymamrotał:

— Mhm, tak. Wychowaliśmy się mniej więcej razem.

— Musiała być urocza jako młoda dziewczyna?

Thomas Royde powiedział coś, co brzmiało jak „mhm”.

— Trochę niezręczna sytuacja z dwiema paniami Strange pod jednym dachem?

— O, tak. Raczej tak.

— Pierwsza pani Strange znajduje się w trudnym położeniu.

Twarz Thomasa Royde’a oblał rumieniec.

— Wyjątkowo trudnym.

Pan Treves wychylił się do przodu. Pytanie zabrzmiało jak strzał:

— Po co ona przyjechała, panie Royde?

— Więc... chyba... — bąknął — nie chciała odmówić.

— Komu odmówić?

Royde poruszył się zażenowany.

— No, sprawa w tym, że, wydaje mi się, że ona zawsze przyjeżdża w tym terminie: w początkach września.

— A lady Tresilian zaprosiła Neville’a Strange’a i jego nową żonę, żeby przyjechali w tym samym czasie? — W głosie starszego pana brzmiała nutka uprzejmego niedowierzania.

— Zdaje się, że to Neville chciał przyjechać o tej porze.

— To on miał ochotę na to... spotkanie?

Royde, zmieszany, kręcił się na swoim miejscu. Odpowiedział, unikając wzroku rozmówcy.

— Chyba tak.

— Dziwne.

— To idiotyzm robić coś takiego — Thomas Royde zdobył się na dłuższe przemówienie.



— Można by powiedzieć, że powstała kłopotliwa sytuacja — stwierdził pan Treves.

— No, dzisiaj ludzie robią takie rzeczy — powiedział Thomas niezdecydowanie.

— Ciekawe, czy to nie ktoś inny podsunął mu ten pomysł?

Royde utkwiał w nim wzrok.

— Ale któż mógłby to być?

Pan Treves westchnął.

— Świat się roi od dobrych dusz, które chcą ludzi uszczęśliwiać na siłę, doradzać, namawiać do działań nie leżących w ich naturze... — przerwał, bo z tarasu wszedł do salonu Neville, a równocześnie wrócił z holu Ted Latimer.

— O, Ted. Co tu niesiesz?

— Płyty dla Kay. Prosiła mnie, żebym jej kilka przyniósł.

— Naprawdę? Nic mi nie mówiła — na moment pojawiło się napięcie, ale Neville oddalił się w kierunku tacy z drinkami i nalał sobie whisky z wodą sodową. Był podekscytowany i miał nieszczęśliwy wyraz twarzy, oddychał głęboko.

Pan Treves przypomniał sobie, że o Neville'u mówiono: „ten szczęściarz Strange ma wszystko, czego tylko by można sobie życzyć”. Ale w tym momencie wcale nie wyglądał na człowieka szczęśliwego.

Z wejściem Neville'a Thomas Royde poczuł się zwolniony z obowiązków gospodarza. Wszedł, nawet nie mówiąc „dobranoc”, z pośpiechem większym niż zazwyczaj. Wyglądało to prawie na ucieczkę.

— Cóż za miły wieczór — stwierdził uprzejmie pan Treves, odstawiając szklaneczkę. — Bardzo, hm, pouczający.

— Pouczający? — Neville lekko uniósł brwi.

— Dzięki informacjom na temat kolonii malajskiej — zaproponował wyjaśnienie Ted z szerokim uśmiechem. — To ciężka praca wydobyć coś z tego Thomasa Milczka.

— Niesamowity facet ten Royde — orzekł Neville. — W ogóle się nie zmienia. Tylko pali tę swoją wstrętną starą faję, słucha, od czasu do czasu wtrąci „mhm” albo „aha” i wygląda jak Sowa Przemądrzała.

— Może tym więcej rozmyśla — rzekł pan Treves. — A teraz naprawdę muszę już iść.

— Proszę przyjść niedługo i odwiedzić znowu lady Tresilian — powiedział Neville, odprowadzając obu panów do holu. — Bardzo pan ją podniósł na duchu. Ma ostatnio tak ograniczone kontakty ze światem. Jest wspaniała, prawda?

— Tak, istotnie. To inspirująca rozmówczyni.

Pan Treves założył płaszcz, starannie owinął się szalem i po wymianie ostatnich słów pożegnania wyszedł razem z Tedem Latimerem.

Od Balmoral Court dzieliło ich nie więcej niż sto jardów. Hotel położony był nieco niżej, należało przejść jeden zakręt drogi. Majaczył w ciemności — wyniosły i nieprzystępny bastion porządku wśród chaotycznie rozrzuconych wiejskich domostw.

Przystań promu, ku której zmierzał Ted Latimer, znajdowała się jeszcze dwieście czy trzysta jardów dalej w dół drogi, w miejscu, gdzie rzeka była najwęższa.

Pan Treves zatrzymał się przed wejściem do Balmoral Court i wyciągnął rękę.

— Dobranoc panu, panie Latimer. Długo pan tu zostaje?

Ted błysnął w uśmiechu białymi zębami.

— To zależy, panie Treves. Jak dotąd nie narzekam na nudę.

— Och, z pewnością, mogę to sobie wyobrazić. Podejrzewam, że jak większość dzisiejszej młodzieży nudy boi się pan panicznie, ale — zaręczam panu — są gorsze rzeczy.

— Na przykład?

Głos Teda Latimera był miękki i sympatyczny, ale czuło się, że kryje się w nim coś jeszcze, coś niełatwego do zdefiniowania.

— Och, pozostawię to pańskiej domyślności, panie Latimer. Nie odważyłbym się dawać panu rad. Zresztą rady takich starych pierników jak ja są zawsze traktowane pogardliwie. Może i słusznie, kto wie? Ale my, stare dziadki, chcielibyśmy wierzyć, że doświadczenie czegoś nas nauczyło. Wiele rzeczy widzieliśmy, rozumie pan, w ciągu długiego życia.

Chmura zasłoniła tarczę księżyca. Droga była zupełnie ciemna. Z mroku wyłoniła się męska postać. Mężczyzna szedł pod górę.

Był to Thomas Royde.

— Wyszedłem, żeby się przespacerować do przystani — powiedział niewyraźnie, nie wypuszczając fajki z zębów, — To tu pan mieszka? Wygląda na to, że już pan się nie dostanie, zamknęli.

— Och, nie sędzę. — Pan Treves nacisnął ciężką mosiężną klamkę i drzwi się uchylły.

— Odprowadzimy pana do środka — powiedział Royde.

Weszli we trójkę do holu. Oświetlała go słabo jedna żarówka. Nikogo nie było widać, w nozdrza uderzył ich zapach potraw przygotowanych na kolację, zakurzonego pluszu i dobrej pasty do podłóg.

Nagle pan Treves wydał okrzyk niezadowolenia. Przed nimi na drzwiach windy widniała tabliczka: „WINDA ZEPSUTA”

— O, do licha. Co za pech. Będę musiał wdrapać się po tych wszystkich schodach.

— Niestety — powiedział Royde. — Czy nie ma tu jakiejś innej windy, służbowej, bagażowej albo czegoś takiego?

— Obawiam się, że nie. Ta jest wykorzystywana do wszystkiego. No dobrze, muszę to zrobić powolutku i tyle. Dobranoc panom.

Zaczął powoli wspinać się po szerokich schodach. Royde i Latimer życzyli mu dobrej nocy. po czym wyszli na ciemną ulicę. Zapadła chwilowa cisza, wreszcie Royde rzekł oschle:

— No, dobranoc.

— Dobranoc. Do jutra.

— Tak.

Ted Latimer dziarskim krokiem oddalił się w kierunku przystani. Thomas Royde stał i patrzył za nim chwilę, po czym powoli zaczął iść w kierunku Gull's Point.

Księżyc ukazał się zza chmur i Saltcreek zasrebrzyło się, skąpane w jego promieniach.

7

— Zupełnie jak w lecie — zamruczała Mary Aldin.

Siedziały z Audrey na plaży tuż pod imponującym gmachem hotelu Easterhead Bay. Audrey miała na sobie biały kostium pływacki i wyglądała jak delikatna figurka z kości słoniowej. Mary nie kąpała się. Nie opodal leżała na brzuchu Kay, wystawiając na słońce opalone plecy.

— Uch! — usiadła — woda jest koszmarnie zimna — powiedziała oskarżycielskim tonem.

— No, cóż — rzekła Mary — to jednak wrzesień.

— W Anglii zawsze jest zimno — stwierdziła Kay z niezadowoleniem. — Ach, jakbym chciała być teraz na południu Francji. Tam jest naprawdę gorąco.

Ted Latimer odezwał się zza niej:

— Tutaj nie ma prawdziwego słońca.

— Idzie pan do wody, panie Latimer? — spytała Mary.

Kay wybuchnęła śmiechem.

— Ted nigdy się nie kąpie. Wygrzewa się tylko w słońcu jak jaszczurka.

Wyciągnęła stopę i szturchnęła go. Podskoczył.

— Chodźmy się przejść, Kay. Zmarzłem.

Poszli razem wzdłuż plaży.

— Jak jaszczurka? Raczej niefortunne porównanie — mruknęła Mary Aldin, patrząc za nimi. — Jaszczurki są łagodne, a on chyba nie jest łagodny.

— Nie, chyba nie — rzekła w zamyśleniu Audrey.

— Świetnie wyglądają razem — Mary obserwowała oddalającą się parę — pasują do siebie, prawda?

— Też mi się tak wydaje.

— Mają te same upodobania — ciągnęła Mary — takie same poglądy, mówią tym samym językiem. Wielka szkoda, że...

Przerwała. Audrey spytała ostro:

— Że co?

Mary odparła powoli:

— Chciałam tylko powiedzieć, że szkoda, iż Neville i ona się w ogóle spotkali.

Audrey wyprostowała się. Przybrała wygląd, który Mary nazywała na własny użytek „wyglądem zmrożonej Audrey”. Mary rzekła szybko:

— Przykro mi, Audrey, nie powinnam była tego powiedzieć.

— Wołałabym, żebyśmy zmieniły temat, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Oczywiście, oczywiście. Co za idiotka ze mnie. Myślałam, że otrząsnęłaś się już z tego wszystkiego.

Audrey z wolna odwróciła się ku niej.

— Zapewniam cię, że nie mam się z czego otrząsać. Do tej sprawy nie mam żadnego stosunku uczuciowego. Mam nadzieję, że... że Kay i Neville zawsze będą szczęśliwi razem. Życzę im tego z całego serca.

— No tak, to bardzo ładnie z twojej strony, Audrey.

— Nie chodzi o to, czy ładnie, czy nie. To po prostu prawda. Ale uważam, że nie warto wracać do przeszłości. To jałowe rozważania: „szkoda, że to czy tamto się wydarzyło”. Było, minęło. Po co do tego wracać? Każdy musi przeżywać swoje życie teraz, w terażniejszości.

— Zdaje się, że ludzie tacy jak Kay czy Ted ekscytują mnie dlatego, iż są tak różni od wszystkich, których znam.

— Tak, to chyba prawda.

— Nawet ty — w głosie Mary zabrzmiała nagła gorycz — przeżyłaś tyle chwil i miałaś tyle doświadczeń, których ja nigdy nie zaznam. Wiem, że to były bolesne przeżycia, nawet bardzo, ale nic nie poradzę na to, że ci tego zazdroszczę. Wszystko jest lepsze od pustki! — ostatnie słowa wypowiedziała wręcz z wściekłością.

W wielkich oczach Audrey odbiło się zdumienie.

— Nigdy nie sądziłam, że możesz tak się czuć.

— No, widzisz — Mary Aldin roześmiała się przeproszająco. — Zaraz mi przejdzie, moja droga. Naprawdę tak nie myślę.

— Faktycznie, życie z Camillą raczej nie jest pasmem rozrywek — zaczęła zastanawiać się Audrey — chociaż to cudowna osoba. Czytanie na głos, zarządzanie służbą, żadnego wychodnego...

— Mam wikt, opierunek i dach nad głową. Tysiące kobiet nie ma nawet tego. I, prawdę mówiąc, Audrey, jestem całkiem zadowolona. Mam swoje — na jej ustach zaigrał uśmieszek — swoje prywatne rozrywki.

— Potajemne grzeszki?

— Ach, robię pewne plany. W głowie. I lubię sobie poeksperymentować... na ludziach. Żeby zobaczyć, wiesz, czy potrafię zmusić ich do takich reakcji, jakie sobie zaplanowałam.

— To brzmi niemal sadystycznie, Mary. Jak niewiele wiem o tobie.

— Och, to są nieszkodliwe rzeczy. Takie dziecinne zabawy.

Audrey zaciekawiła się.

— Czy na mnie też eksperymentowałaś?

— Nie. Jesteś jedyna, której reakcji nie potrafię przewidzieć. Nigdy nie wiem, co myślisz.

— Może — powiedziała Audrey poważnie — to po prostu nie ma znaczenia.

Zadrżała, a Mary wykrzyknęła:

— Zmarzłaś!

— Tak, chyba pójde się ubrać. Przecież to jednak wrzesień.

Mary Aldin została sama, wpatrując się w refleksy słońca na wodzie. Był właśnie odpływ. Wyciągnęła się na piasku i zamknęła oczy.

Byli po dobrym lunchu w hotelu. Przebywało tu sporo gości, chociaż sezon już dobiegał końca. Dziwaczna mieszanka ludzka. Dobrze, że zrobili ten wypad. To jakieś urozmaicenie w tym monotonnym ciągu dni w Gull's Point. A poza tym trochę odpoczynku od tej napiętej atmosfery, która ostatnio panowała. To nie wina Audrey, ale Neville'a...

Przerwano jej zamyślenie. Ted Latimer rzucił się na piasek obok niej.

— Gdzie pan zgubił Kay?

— Zgłosił się po nią prawowity właściciel.

Coś w jego tonie spowodowało, że usiadła. Spojrzała ponad złotym piaskiem plaży na Neville'a i Kay spacerujących brzegiem rzeki. Potem rzuciła spojrzenie mężczyźnie, który siedział obok niej.

Uważała go za człowieka bez nerwów, trochę dziwnego, nawet niebezpiecznego. Teraz po raz pierwszy błysnęło jej że jest młody, że jest zraniony. Kochał się w Kay, naprawdę się kochał, a Neville mu ją odebrał... Powiedziała łagodnie:

— Mam nadzieję, że się pan tutaj dobrze bawi.

Były to konwencjonalne słowa. Rzadko kiedy Mary Aldin mówiła inaczej niż konwencjonalnie. To był jej język. Ale w jej tonie było coś więcej, po raz pierwszy pojawiła się w nim oferta przyjaźni. Ted Latimer zauważył to.

— Równie dobrze, jak gdziekolwiek indziej.

— Przykro mi.

— A tak naprawdę panią to guzik interesuje. Nie należę do was, a was nic nie obchodzi, co taki człowiek myśli i czuje.

Odwróciła głowę, żeby przyjrzeć się temu rozgoryczonemu i przystojnemu młodzieńcowi. Odpowiedział jej prowokującym spojrzeniem. Powiedziała powoli, jakby właśnie dokonując odkrycia.

— Tak. Pan nas nie lubi.

— A co pani myślała?

— Myślę, wie pan, że rzeczywiście tego się spodziewałam. Nam się wydaje, że zbyt wiele nam się należy. Trzeba być skromniejszym. Tak, nie zdawałam sobie sprawy, że pan nie może nas polubić. Staraliśmy się, żeby czuł się pan u nas dobrze... jako znajomy Kay.

— Tak... jako znajomy Kay! — wtrącił jadowicie.

Mary rzekła z rozbijającą szczerością:

— Czy mógłby pan powiedzieć, naprawdę proszę powiedzieć szczerze, dlaczego pan nas nie lubi? Co takiego zrobiliśmy? Co z nami jest nie w porządku?

Odrzekł jednym słowem, wypowiedzianym z wrzącą nienawiścią:

— Samozadowolenie!

— Samozadowolenie? — spytała bez urazy w głosie, jakby badając zarzut z obiektywnością sędziego. — Tak. Rzeczywiście możemy wyglądać na zbyt z siebie zadowolonych.

— Jesteście tacy, nie tylko na takich wyglądacie. Uważacie, że wszystko, co w życiu dobre, wam się należy. Z wyższością odgradzacie się od stada, a na ludzi takich jak ja patrzycie jak na stadne zwierzę.

— Przykro mi — rzekła Mary.

— Prawda, że mam rację?

— Niezupełnie. Jesteśmy pewnie ograniczeni, pozbawieni wyobraźni, ale nie jesteśmy źli. Ja, na przykład, jestem bardzo konwencjonalna i powierzchowna i, powiedzmy, nadmiernie z siebie zadowolona, jak pan to określił. Ale w rzeczywistości, wewnątrz, jestem istotą ludzką. Teraz jest mi bardzo przykro, bo widzę, że jest pan nieszczęśliwy, i żałuję, że nie mogę dla pana wiele zrobić.

— No, hm, jeżeli tak jest... to miło z pani strony.

Zapadła cisza. Po chwili Mary spytała łagodnie:

— Pan od dawna jest zakochany w Kay?

— Będzie trochę czasu.

— A ona?

— Myślałem, że też... dopóki nie zjawił się Strange.

Mary ciągnęła łagodnie:

— I nadal pan ją kocha?

— Chyba widać.

Po chwili cicho dodała:

— Nie lepiej by było, gdyby pan stąd wyjechał?

— Dlaczego?

— Bo tylko dodaje pan sobie cierpienia.

Spojrzał na nią i roześmiał się.

— Jest pani miłą istotą. Ale niewiele pani wie o zwierzętach spoza waszego wydzielonego matecznika. Może się wiele zdarzyć już niedługo.

— Co takiego?

— Pożyjemy, zobaczymy.

8

Audrey wróciła ubrana i poszła plażą aż do sterczącej skały. Znalazła tam Thomasa Royde'a. Siedział i palił swoją fajkę, dokładnie vis-?-vis Gull's Point, który stał, jasny i pogodny, na drugim brzegu rzeki.

Thomas spojrzał na zbliżającą się Audrey, ale nie poruszył się. Usiadła obok, nic nie mówiąc. Siedzieli w milczeniu. Dwoje ludzi znających się na wylot.

— Jak to blisko się wydaje — Audrey przerwała w końcu ciszę.

Thomas spojrzał przez rzekę na Gull's Point.

— Tak, moglibyśmy przepłynąć.

— Nie przy fali odpływowej. Camilla miała kiedyś służącą, która uwielbiała pływać. Przepływała na drugą stronę i z powrotem przy odpowiednim stanie przypływu. Musi być albo niska, albo wysoka woda, natomiast kiedy idzie odpływ, woda może wynieść pływaka daleko, aż do ujścia rzeki. Zdarzyło jej się to kiedyś, z trudem uratowała się, wyrzuciło ją na brzeg koło Easter Point, całkiem wycieńczoną.

— A wcale nie wygląda to niebezpiecznie.

— Z tej strony nie jest. Prąd płynie przy drugim brzegu. Pod skarpią jest bardzo głęboko. W zeszłym roku był tu wypadek — niedoszły samobójca rzucił się ze Stark Head, ale zaczepił się o drzewo w połowie urwiska i straż przybrzeżna go ściągnęła.



— Biedaczysko. Założę się, że nawet im nie podziękował. To musi być fatalne: zdecydować się na taki krok i zostać odratowanym. Czuł się pewnie jak idiota.

— Może dziś już się z tego cieszy — spekulowała Audrey.

Od niechcenia zaczęła się zastanawiać, co też ten człowiek może teraz robić i gdzie jest.

Thomas pykał z fajki. Lekko odwracając głowę, mógł przyglądać się Audrey. Zauważył, że twarz ma poważną i zaabsorbowaną, kiedy tak wpatrywała się w drugi brzeg. Długie brązowe rzęsy, czysta linia policzka, małe, podobne do muszelki, ucho.

To mu o czymś przypomniało.

— A, znalazłem twój kolczyk, ten, który wczoraj zgubiłaś. — Poszperał w kieszeni. Audrey wyciągnęła rękę.

— O, dobrze, gdzie go znalazłeś? Na tarasie?

— Nie. Był koło schodów. Musiałaś go zgubić, schodząc na kolację. Nie miałaś go przy kolacji.

— Cieszę się, że się znalazł.

Wzięła go. Thomas zwrócił uwagę, że wyglądał stanowczo zbyt ciężko przy jej małych uszach. Dziś też nosiła okazałe kolczyki.

Zauważył:

— Nosisz kolczyki nawet do kąpieli. Nie boisz się ich zgubić?

— O, to takie taniutki drobiazgi. Nie znoszę nie mieć kolczyków z powodu tego — dotknęła lewego ucha. Thomas przypomniał sobie.

— Ach, tak, to od czasu, kiedy ugryzł cię stary Bouncer.

Potwierdziła.

Milczeli pogrążeni we wspomnieniach z dzieciństwa. Audrey Standish (to jej panięskie nazwisko), wysoka dziewczynka o patykowatych, za długich nogach, wtuliła twarz w futro starego Bouncera, który miał chorą łapę. Ugryzł ją mocno. Musiano jej założyć szwy. Teraz prawie nie było tego widać, została maleńka, niewyraźna blizna.

— Dziewczyno, przecież tego wcale nie widać. O co ci chodzi?

Audrey po chwili milczenia powiedziała szczerze:

— To dlatego... dlatego, że chciałabym być... bez skazy.

Thomas zrozumiał. To pasowało do jego obrazu Audrey. Była perfekcjonistką. Sama Audrey sprawiała wrażenie doskonałości. Powiedział pod wpływem nagłego impulsu:

— Jesteś znacznie piękniejsza niż Kay.

Odwróciła się gwałtownie.

— Ach, nie, Thomas. Kay naprawdę... Kay jest naprawdę śliczna.

— Na zewnątrz tak. Ale mnie chodzi o to, co pod spodem.

— Czyżbyś miał na myśli — powiedziała rozbawiona — walory mojej pięknej duszy?

Thomas postukał fajką, oczyszczając ją z popiołu.

— Nie — rzekł. — Chodzi mi raczej o twoje kształtne kości.

Audrey wybuchnęła śmiechem.

Thomas nabijał fajkę nową porcją tytoniu. Milczeli przez jakieś pięć minut.

Thomas spoglądał na nią co i raz, ale dyskretnie, tak że tego nie zauważyła.

Wreszcie powiedział cicho:

— Co ci dolega, Audrey?

— Dolega? O co ci chodzi?

— Coś jest z tobą nie tak.

— Nieprawda. Wszystko ze mną jest w porządku.

— Jednak nie wszystko.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie chcesz mi powiedzieć?

— Nie mam nic do powiedzenia.

— Może robię z siebie durnia, ale... ale muszę to powiedzieć... — przerwał —

Audrey... dlaczego nie zapomnisz o tym wszystkim? Czemu nie chcesz dać sobie z tym spokoju?

Konwulsyjnie zacisnęła swoje drobne dłonie na kamieniach.

— Nie rozumiesz! Kompletnie nic a nic!

— Ależ Audrey, moja droga, rozumiem. Właśnie rozumiem. Wiem.

Zwróciła ku niemu twarz z wyrazem powątpiewania. Thomas ciągnął:

— Wiem dokładnie, przez co musiałaś przejść. I... i wiem, co to dla ciebie znaczyło.

Zbladła jak ściana.

— Ach, tak... Nie sądziłam, że ktokolwiek wie...

— No, więc, ja tak. Nie chcę o tym mówić. Ale chcę cię przekonać, że to wszystko masz już za sobą... to zamknięta przeszłość.

— Niektórych rzeczy nie można zamknąć — powiedziała półgłosem.

— Posłuchaj, Audrey, nie ma co tego rozpamiętywać. Przeszłaś przez piekło. Nic dobrego nie wyniknie, jeśli będziesz do tego ciągle wracać. Patrz naprzód, a nie wstecz. Jesteś jeszcze młoda. Masz przed sobą życie, jeszcze długie życie. Myśl o jutrze, nie o dniu wczorajszym.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma, z których nie dało się wyczytać, o czym myśli.

— A jeśli nie potrafię?

— Musisz!

— Myślę, że jednak nie rozumiesz. Chyba nie jestem całkiem normalna, jeśli chodzi o pewne sprawy...

— Bzdura — wtrącił gwałtownie. — Ty... — przerwał.

— Ja... co?

— Pamiętam cię, kiedy byłaś młodą dziewczyną, przed ślubem z Neville'em.

Dlaczego za niego wyszłaś?

Uśmiechnęła się.

— Bo się w nim zakochałam.

— Tak, tak, tyle to wiem. Ale dlaczego się w nim zakochałaś? Co cię w nim tak pociągało?

Zmrużyła oczy, jakby chciała popatrzeć na świat oczami tamtej dziewczyny, której już dziś nie było.

— Myślę, że to dlatego — powiedziała — że on był taki „pozytywny”. Był moim przeciwieństwem. Zawsze czułam się jak cień, trochę nierealna. Neville był absolutnie realny. Taki zadowolony i pewny siebie i... miał te wszystkie cechy, których mi brakowało. — Z uśmiechem dodała: — I był bardzo przystojny.

Thomas Royde rzucił z goryczą:

— Tak, ideał Anglika: wysportowany, skromny, przystojny, trochę pański, wszystko bez wyjątku, wszystko, czego tylko zapragnie, samo mu się pcha w ręce.

Audrey wyprostowała się i wbiła w niego wzrok.

— Ależ ty go musisz nienawidzić — powiedziała z wolna. — Bardzo, prawda?

Uniknął jej spojrzenia, pochylając się, żeby przypalić wygasłą fajkę.

— Nie byłoby chyba w tym nic dziwnego? — powiedział wymijająco. — Ma wszystko, czego mi brakuje. Uprawia sporty, pływa, gra, tańczy... i umie rozmawiać. A ja... niedołęga, kaleka o niesprawnej ręce. On zawsze błyszczał i odnosił sukcesy, a ja... nieudacznik, nudziarz. I ożenił się z jedyną dziewczyną na świecie, na której mi zależało.

Westchnęła słabo. Dodał zgryźliwie:

— Zawsze o tym wiedziałaś, prawda? Wiedziałaś, że zależało mi na tobie, odkąd skończyłaś piętnaście lat. Wiesz, że to nie minęło...

Powstrzymała go.

— Nie. Nie teraz.

— Co znaczy „nie teraz”?

Wstała.

— Bo... teraz jestem inna.

— W czym jesteś inna?

On także wstał.

Audrey dodała urywanym szeptem:

— Skoro nie widzisz, nie potrafię ci powiedzieć... Nie zawsze jestem pewna samej siebie... Wiem tylko, że...

Przerwała, odwróciła się gwałtownie i odeszła szybkim krokiem w kierunku hotelu.

Za skalnym występem natknęła się na Neville'a, który, leżąc na brzuchu nad wypełnionym wodą zagłębieniem w skale, bacznie się czemuś przyglądał. Podniósł na nią wzrok i uśmiechnął się szeroko.

— Serwus, Audrey.

— Serwus, Neville.

— Obserwuję kraba. Co za ruchliwe stworzonko. Patrz, pokazał się.

Uklękła i wpatrywała się w kałużę.

— Widzisz go?

— Widzę.

— Zapalisz?

Wzięła od niego papierosa. Neville podał jej ogień. Audrey nie patrzyła na niego.

Po chwili zapytał nerwowo:

— Audrey?

— Słucham.

— Czy wszystko w porządku? To znaczy... między nami.

— Tak, tak, oczywiście.

— Chodzi mi o to... czy jesteśmy przyjaciółmi i w ogóle.

— Och, tak... tak, oczywiście.

Popatrzył na nią z niecierpliwością. Uśmiechnęła się do niego z napięciem. Tonem towarzyskiej pogawędki Neville mówił:

— Cóż za piękny dzień mamy dzisiaj, prawda? Pogoda i w ogóle.

— Ach, tak, tak.

— Całkiem gorąco jak na wrzesień.

Zapadło milczenie.

— Audrey...

Wstała.

— Wzywa cię twoja żona. Macha do ciebie ręką.

— Kto... aha, Kay.

— Powiedziałam „twoja żona”.

Podniósł się i patrzył jej prosto w oczy. Powiedział cicho:

— Ty jesteś moją żoną, Audrey...

Odwróciła się. Neville zbiegł na plażę i podbiegł do Kay.

9

Kiedy wrócili do Gull's Point, Hurstall już w holu podszedł do Mary powiedział:

— Pani Tresilian prosi panią natychmiast. Jest bardzo zdenerwowana.

Mary pospieszyła na górę. Lady Tresilian leżała blada jak prześcieradło i wstrząśnięta.

— Kochana Mary, dobrze, że już jesteś. Jestem zrozpaczona. Pan Treves nie żyje.

— Nie żyje?

— Tak. Czy to nie straszne? Tak nagle. Podobno nawet się nie rozebrał wczoraj wieczorem. To stało się od razu, jak wrócił.

— Och! Boże, jak mi przykro.

— Wiadomo, że miał słabe zdrowie. Poważnie chorował na serce. Mam nadzieję, że kiedy był u nas nie wydarzyło się nic takiego, co mogło mu zaszkodzić. Czy na kolację nie zjadł czegoś niestrawnego?

— Nie, nie sędzę... Na pewno nic takiego. Wyglądał doskonale i był w świetnym nastroju.

— Jakie wielkie zmartwienie! Mary, chciałabym, żebyś poszła do Balmoral Court i dowiedziała się czegoś od pani Rogers. Spytaj, czy nie trzeba w czymś pomóc. Poza tym — sprawa pogrzebu. Matthew na pewno chciałby, żebyśmy się tym zajęli i zrobili wszystko, co w naszej mocy. Nie chcę zostawić tego obsłudze hotelu.

— Droga Camillo, nie wolno się pani przejmować. Naprawdę. To był dla pani wstrząs.

— Tak, straszny.

— Już idę do Balmoral Court. Jak wrócę, wszystko pani opowiem.

— Dziękuję ci, Mary, moja droga, jesteś zawsze taka konkretna i pełna zrozumienia.

— Niech pani spróbuje odpocząć. Taki szok może pani zaszkodzić.

Mary Aldin opuściła pokój i zeszła na dół.

— Zmarł stary pan Treves — oznajmiła wszedłszy do salonu. — Ubiegłej nocy, po powrocie od nas.

— Biedaczysko! — zawołał Neville. — Jak to się stało?

— Wygląda, że to serce. To się musiało stać, jak tylko wszedł do pokoju.

— Pewnie dobiły go te schody — powiedział Thomas Royde w zadumie.

— Schody? — Mary spojrzała pytająco.

— Tak. Kiedyśmy z Latimerem go zostawili, właśnie zaczął się wspinać na górę. Mówiliśmy mu, żeby się tak bardzo nie spieszył.

— Ależ to nierozsądne z jego strony! Dlaczego nie skorzystał z windy?! — zawołała Mary.

— Winda była zepsuta.

— Aha, rozumiem. Co za pech! Biedny staruszek. — I dodała: — Właśnie tam idę. Camilla chce się dowiedzieć, czy nie możemy w czymś pomóc.

— Pójdę z tobą — zaoferował się Thomas.

Poszli. Mary zauważyła:

— Pewnie ma jakichś krewnych. Powinniśmy ich zawiadomić.

— Nie wspominał o nikim.

— To prawda. A ludzie zwykle coś opowiadają o rodzinie. Mówią: „mój bratanek” czy „mój kuzyn”.

— Był żonaty?

— Chyba nie.

Przez otwarte drzwi weszli do Balmoral Court.

Pani Rogers, właścicielka, rozmawiała właśnie z wysokim mężczyzną w średnim wieku, który przyjaznym gestem pozdrowił Mary.

— Dzień dobry, panno Aldin.

— Dzień dobry, doktorze Lazenby. Przedstawiam pana Royde. Przychodzimy od lady Tresilian z pytaniem, czy moglibyśmy w czymś pomóc.

— To bardzo miło, panno Aldin — powiedziała właścicielka. — Proszę do mnie.

Weszli do miłego saloniku, a doktor Lazenby powiedział:

— Pan Treves był u was wczoraj na kolacji, prawda?

— Tak.

— Jak wyglądał? Czy zdradzał jakieś niepokojące objawy?

— Nic podobnego. Trzymał się świetnie i był w doskonałym humorze.

Doktor pokiwał głową.

— Tak, to jest najgorsze w chorobach serca. Nic nie zapowiada ataku. Spojrzałem na jego recepty w pokoju na górze i nie mam wątpliwości, że był poważnie chory.

Oczywiście porozumiem się z jego lekarzem w Londynie.

— Zawsze na siebie bardzo uważał — powiedziała pani Rogers. — A myśmy starali się zapewnić najlepszą opiekę, na jaką nas było stać.

— Nie wątpię, pani Rogers — powiedział doktor taktownie. — To musiał być jakiś niewielki dodatkowy wysiłek.

— Na przykład wejście po schodach — poddała Mary.

— Tak. coś takiego z pewnością by mu zaszkodziło. Gdyby wszedł te trzy piętra... Ale, oczywiście, zawsze korzystał z windy?

— Ależ tak. Zawsze. Uważał na to bardzo.

— Chodzi mi o to — powiedziała Mary — że ta wczorajsza awaria windy...

Pani Rogers utkwiała w niej zdumione spojrzenie.

— Winda była wczoraj w najlepszym porządku, panno Aldin.

Thomas Royde zakasłał.

— Przepraszam, że się wtrączę. Wczoraj w nocy odprowadziłem tu pana Trevesa.

Na drzwiach wisiała tabliczka z napisem: „WINDA ZEPSUTA”.

Pani Rogers nie posiadała się ze zdumienia.

— To bardzo dziwne. Dałabym sobie rękę uciąć, że wczoraj nic się z windą nie działo. Jestem pewna. Wiedziałabym coś o tym. Odpukać, ale nigdy nie mieliśmy z nią żadnych kłopotów. Jest niezawodna.

— Może windziarz albo boy powiesił tę tabliczkę, kiedy musiał wyjść na chwilę — zastanawiał się doktor.

— To winda bez obsługi. Nie mamy windziarza.

— Ach, tak, zapomniałem.

— Porozmawiam z Joe — rzekła pani Rogers.

Wychyliła się z drzwi i zawołała:

— Joe, Joe!

Doktor Lazenby spojrzał niedowierzająco na Thomasa.

— Przepraszam, ale czy jest pan zupełnie pewien, panie... mm...

— Royde — odpowiedziała Mary.

— Najzupełniej.

Pani Rogers wróciła z bagażowym. Joe z przekonaniem twierdził, że z windą nie działo się wczoraj nic złego. Owszem, mieli taką tabliczkę, jaką opisał pan Royde, ale była wsunięta pod kontuar i nikt jej nie używał od ponad roku.

Wszyscy spojrzeli po sobie i nikt nie miał wątpliwości, że sprawa jest nadzwyczaj tajemnicza. Doktor podsunął, że mógł to być głupi kawał w wykonaniu jakiegoś hotelowego gościa i, z braku innego wyjaśnienia, wszyscy się z tym zgodzili.

Następnie na pytanie Mary doktor wyjaśnił, że szofer pana Trevesa dał mu adres jego firmy adwokackiej, z którą już się skontaktował i że pójdzie sam do lady Tresilian i poinformuje ją o przygotowaniach do pogrzebu.

Po chwili doktor pośpieszył do innych swoich obowiązków, a Mary i Thomas udali się wolnym krokiem z powrotem do Gull's Point.

— Thomas, na pewno widziałeś tę tabliczkę?



— Widzieliśmy ją obaj z Latimerem.

— Bardzo dziwna sprawa!

10

Był 12 września.

— Jeszcze tylko dwa dni — westchnęła Mary Aldin. Nagle przygryzła wargę i oblała się rumieńcem.

Thomas Royde spojrział na nią w zadumie.

— Aż tak masz tego dosyć?

— Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale nigdy w życiu nie tęskniłam tak do zakończenia wizyty. Zazwyczaj lubiliśmy gościć tu Neville'a. I Audrey też.

Thomas pokiwał głową.

— Ale tym razem — ciągnęła Mary — wydaje się, że siedzimy na beczce prochu. W każdej chwili może to wszystko wybuchnąć. Dlatego właśnie dziś rano powiedziałam do siebie: „Jeszcze tylko dwa dni”. Audrey wyjeżdża we środę, a Neville z Kay we czwartek.

— A ja w piątek — dodał Thomas.

— Ach, ciebie nie liczę. Jesteś naszą opoką. Nie wiem, jak dalibyśmy sobie radę bez ciebie.

— Piorunochron?

— Znacznie więcej. Byłeś taki uprzejmy, miły i taki... spokojny. Naprawdę tak czuję.

Thomas wyglądał na mile polectanego, a jednocześnie zażenowanego.

— Nie mam pojęcia, dlaczego właściwie jesteśmy tak nerwowo wykończeni — ciągnęła. — Przecież gdyby nawet wybuchła jakaś... jakaś awantura, byłoby tylko odrobinę niezręcznie, wynikłoby trochę zakłopotania i tyle.

— Ale wszyscy są podminowani.

— Tak. I to wszechogarniające uczucie lęku. Udziela się to nawet służbie. Pomoc kuchenna rozplakała się dzisiaj i złożyła wymówienie — zupełnie bez powodu. Kucharka wścieka się o byle co, Hurstall jest wyraźnie na skraju wytrzymałości, nawet Barrett, ta Barrett, która zawsze stanowiła wzór spokoju i opanowania, zaczyna tracić głowę. A wszystko z powodu tego niemądrego pomysłu Neville'a, żeby zaprzyjaźnić ze sobą obie jego żony. Chce mieć czyste sumienie.

— A pomysł zawiódł na całej linii — zauważył Thomas.

— Tak. Kay... Kay po prostu już nie panuje nad sobą. A ja, wierz mi, Thomas, nie mogę jej nie współczuć. — Przerwała. — Zauważyłeś, jak Neville patrzył na Audrey, kiedy poszła na górę wczoraj wieczorem? Thomas, jemu wciąż na niej zależy! Ta cała sprawa to tragiczna pomyłka.

Thomas zaczął nabijać swoją fajkę.

— Mógł o tym pomyśleć wcześniej — powiedział twardo.

— Och, wiem. Łatwo powiedzieć. Ale to nie zmienia faktu, że cała ta sprawa to tragedia. Przykro mi z powodu Neville'a.

— Ludzie pokroju Neville'a... — zaczął Thomas i zamilkł.

— Tak?

— Ludzie pokroju Neville'a myślą, że wszystko będzie zawsze układało się po ich myśli, że zdołają osiągnąć to, czego tylko zapragną. Myślę, że nie spotkało go nigdy żadne niepowodzenie, aż do tej sprawy z Audrey. A teraz, proszę! Nie może jej mieć. Nigdy jej nie dostanie. Choćby na głowie stanął. Musi to jakoś przelknąć.

— Chyba masz rację. Ale mówisz to tak twardo. Audrey bardzo go kochała, kiedy się pobierali. I było im ze sobą dobrze.

— Ale teraz już go nie kocha.

— To mnie dziwi — szepnęła Mary.

Thomas ciągnął:

— I powiem ci jeszcze coś. Neville powinien uważać na Kay. To niebezpieczny rodzaj kobiety, naprawdę niebezpieczny. Jeżeli poniesie ją temperament, nie cofnie się przed niczym.

— O Boże — westchnęła Mary i, wracając do początku rozmowy, dodała: — No, jeszcze tylko dwa dni.

Ostatnie cztery czy pięć dni były rzeczywiście bardzo ciężkie. Szok, jaki przeżyła lady Tresilian z powodu śmierci pana Trevesa, odbił się na jej zdrowiu. Pogrzeb odbył się w Londynie, na szczęście, bo starsza pani mogła dzięki temu szybciej przestać myśleć o tym smutnym wydarzeniu. Sprawy domowe układały się z trudnościami i Mary czuła się tego ranka ogromnie zmęczona i przygnębiona.

— To chyba z powodu pogody — powiedziała głośno — to przecież nienaturalne.

Rzeczywiście było nadzwyczajnie gorąco i słonecznie jak na wrzesień. Przez kilka dni termometry pokazywały 22 stopnie w cieniu.

Nevile spacerowym krokiem wyszedł z domu i dołączył do nich.

— Narzekamy na pogodę? — zapytał, rzucając wzrokiem na niebo. — To niewiarygodne. Dziś jeszcze goręcej. Ani krztyny wiatru. Ta pogoda podminowuje człowieka. Ale myślę, że wreszcie doczekamy się deszczu. Dziś jest za gorąco, żeby to mogło potrwać dłużej.

Thomas Royde oddalił się milczkiem i zniknął za narożnikiem domu.

— Ponury Thomas uznał za stosowne odejść — rzekł Neville. — Nie można powiedzieć, żeby przepadał za moim towarzystwem.

— Jest taki miły — powiedziała Mary.

— Przeciwnie. To ograniczony i pełen uprzedzeń tępak.

— Chyba zawsze miał nadzieję ożenić się z Audrey. A ty wszedłeś mu w drogę i koniec marzeń.

— On potrzebowałby siedmiu lat, żeby zdecydować się poprosić ją o rękę. Czy ta biedna dziewczyna miała czekać aż on wreszcie podejmie decyzję?

— Może — refleksyjnie powiedziała Mary — teraz nadszedł jego czas?

Nevile spojrział na nią uniósłszy jedną brew.

— Prawdziwa miłość nagrodzona? Audrey miałyby wyjść za tego nudziarza? Ona zasługuje na znacznie więcej. Nie, nie wydaje mi się, żeby miała wyjść za ponurego Thomasa.

— Ona go bardzo lubi, Neville'u.

— Ależ z kobiet są swatki. Nie możesz pozwolić Audrey nacieszyć się jej wolnością?

— Jeżeli się rzeczywiście cieszy, to czemu nie...

Nevile powiedział szybko:

— Uważasz, że nie jest zadowolona?

— Naprawdę nie mam zielonego pojęcia.

— Ani ja — rzekł z wolna. — Nigdy nie wiadomo, co czuje Audrey. — Przerwał, a potem ciągnął dalej: — Ach, Audrey to kobieta z klasą, prawdziwa dama. Bez skazy. — I dodał, bardziej do siebie niż do Mary: — Boże, co za przeklęty dureń był ze mnie!

Mary wróciła do domu zaniepokojona. Po raz trzeci próbowała się pocieszyć, powtarzając sobie: „Jeszcze tylko dwa dni...”.

Nevile błąkał się bez ustanku po ogrodzie i tarasach. Wreszcie w najdalszym zakątku ogrodu znalazł Audrey. Siedziała na murku, spoglądając na wodę w dole. Był przyływ i woda w rzece podniosła się.

Audrey poderwała się i ruszyła ku niemu.

— Właśnie miałam iść do domu. Podwieczorek chyba tuż-tuż.

Mówiła szybko i nerwowo, nie patrząc na Neville’a. Szedł obok niej, nic nie mówiąc. Kiedy dotarli na taras, odezwał się wreszcie:

— Audrey, czy mogę z tobą porozmawiać?

Odpowiedziała natychmiast, zaciskając palce na balustradzie:

— Lepiej nie.

— To znaczy, że wiesz, co ci chcę powiedzieć.

Odpowiedzi nie było.

— Co z tym robić, Audrey? Czy nie możemy wrócić tam, gdzie kiedyś byliśmy? Zapomnieć o wszystkim, co się potem stało?

— O Kay także?

— Kay — rzekł Neville — będzie rozsądna.

— Co to znaczy „rozsądna”?

— Rozsądna znaczy rozsądna. Pójdę do niej i powiem całą prawdę. Odwołam się do jej wielkoduszności. Powiem jej, co jest zgodne z prawdą, że jesteś jedyną kobietą, którą naprawdę kochałem.

— Kochałeś Kay, kiedy się z nią żeniłeś.

— Małżeństwo z Kay to największy błąd, jaki uczyniłem w życiu. Ja...

Przerwał. Kay wyszła przez oszklone drzwi salonu. Szła w ich kierunku. Neville aż się skurczył, widząc furię w jej oczach.

— Przepraszam, że przerywam tę wzruszającą scenę, ale chyba to ostatni moment.

Audrey odsunęła się.

— Lepiej zostawię was samych — powiedziała. Jej twarz i głos były bezbarwne.

— Jasne! Nabroiłaś już dosyć, po co więcej, prawda? Idź sobie, przyjdzie i na ciebie kolej, później. Teraz zajmę się Neville’em.

— Kay, posłuchaj, Audrey nie ma z tym nic wspólnego. To nie jej wina. Oskarżaj mnie, jeśli chcesz...

— Właśnie chcę! — pałający wzrok utkwiła w twarzy Neville'a. — Za jakiego mężczyznę ty się uważasz?

— Za słabego — rzekł Neville z goryczą.

— Opuszczasz żonę, zaślepiony chodzisz za mną, zmuszasz żonę, żeby dała ci rozwód. Szalejesz za mną, a za chwilę masz dosyć! Teraz, zdaje się, masz zamiar wrócić do tej wyblakłej, mazgajowatej, cwanej wydry...

— Kay, przestań!

— Więc o co ci chodzi?

Neville zbladł jak chusta. Powiedział:

— Możesz myśleć o mnie, jak chcesz. Ale dalej nie dam rady, Kay. Myślę... naprawdę myślę, że zawsze kochałem Audrey. Moje uczucia do ciebie to był rodzaj obłądu. Dalej nie dam rady, moja droga, ty i ja nie pasujemy do siebie. Na dłuższą metę nie będę potrafił dać ci szczęścia. Uwierz mi, Kay, lepiej będzie, jeśli zaoszczędzimy sobie dalszych przykrości. Rozstańmy się i bądźmy przyjaciółmi. Bądź wspaniałomyślna.

Kay odezwała się zwodniczo spokojnym tonem:

— Co konkretnie proponujesz?

Neville nie patrzył jej w oczy. Wyglądał na zdeterminowanego.

— Dostaniemy rozwód. Możesz powiedzieć, że cię zaniedbałem.

— To wymaga czasu, separacji. Będziesz musiał poczekać.

— Poczekaam.

— A potem, za trzy lata albo lepiej, poprosisz swoją kochaną, słodką Audrey, żeby wyszła za ciebie po raz drugi?

— Jeśli tylko się zgodzi.

— Zgodzi się, nie ma obaw! — wycodziła Kay zjadliwie. — A co ze mną?

— Będziesz wolna, będziesz mogła poszukać sobie mężczyzny lepszego niż ja. Oczywiście zadbam o to, żebyś była odpowiednio zabezpieczona...

— Daj spokój z jałmużną! — podniosła głos, tracąc panowanie nad sobą. — Posłuchaj, Neville. Ze mną ci się nie uda! Nie dam ci rozwodu! Wyszłam za ciebie, bo cię kochałam. Wiem, kiedy zacząłeś się ode mnie odwracać. To było wtedy,

kiedy się dowiedziałeś, że ja pojechałam za tobą do Estoril. Wolałeś myśleć, że to przeznaczenie. Uraziłam twoją próżność, kiedy okazało się, że to tylko ja sama. Wiedz, że nie wstydzę się tego, co zrobiłam. Zakochałeś się we mnie i ożeniłeś, a ja teraz nie mam zamiaru rezygnować z ciebie na rzecz tej przebiegłej jędry, która znów się ciebie uczepiła. To ona sprowokowała wszystko, ale niedoczekanie jej! Prędeż cię zabiję! Słyszysz?! Zabiję cię. Zabiję i ją. Zabiję was oboje! Zoba...

Nevile postąpił krok do przodu i chwycił ją za ramię.

— Kay, zamknij się. Na litość boską. Nie rób tu scen.

— A niby dlaczego?! Zobaczysz. Zabi...

Na tarasie pokazał się Hurstall. Na jego twarzy malowała się doskonała obojętność.

— Podano podwieczorek. Proszę do salonu — oznajmił.

Kay i Neville powlekli się w stronę drzwi wiodących do salonu. Hurstall usunął się, żeby ich przepuścić. Na niebie zaczęły gromadzić się chmury.

11

Pierwsze krople deszczu spadły kwadrans przed siódmą. Neville obserwował je z okna swojej sypialni. Nie rozmawiał już więcej z Kay. Unikali się nawzajem od podwieczorku.

Kolacja przebiegła w ciężkiej i oficjalnej atmosferze. Neville'a pochłoneły własne myśli, Kay była zbyt mocno umalowana, Audrey siedziała jak słup soli. Mary Aldin wychodziła ze skóry, żeby podtrzymać coś w rodzaju konwersacji i była nieco zirytowana na Thomasa, który nie bardzo jej w tym pomagał.

Kiedy posiłek zmierzał ku końcowi, Neville ze sztuczną obojętnością rzucił:

— Chyba po kolacji skoczę do Easterhead i złapię Latimera. Pogramy w bilard.

— Weź klucz na wypadek, gdybyś miał wrócić późno — powiedziała Mary.

— Dzięki, wezmę.

Przeszli do salonu, gdzie podano kawę. Atmosferę rozluźniło radio i ostatnie wiadomości. Kay, która ziewała ostentacyjnie już w czasie kolacji, oznajmiła, że boli ją głowa i idzie spać.

— Masz aspirynę? — spytała Mary.

— Mam, dziękuję — odpowiedziała i wyszła.

Nevile przestroił odbiornik na program muzyczny. Siedzieli chwilę w milczeniu na sofie. Nie spojrzął nawet na Audrey, ale siedział z miną skrzywdzonego chłopca. Wbrew sobie Mary poczuła, że jest jej go żal.

— No, tak — powiedział, wstając wreszcie — lepiej już pójdę, skoro mam iść.

— Bierzesz auto czy pójdziesz pieszo do przystani?

— Przeprowadzę się promem. Nie ma sensu jechać naokoło piętnaście mil. Mały spacerek dobrze mi zrobi.

— Ale pada, wiesz?

— Nie szkodzi. Mam dobry płaszcz. — Podeszedł do drzwi. — Dobranoc.

W holu natknął się na Hurstalla.

— Jeśli pan łaskaw, sir, proszę na górę. Lady Tresilian chciała się z panem zobaczyć.

Nevile rzucił okiem na zegar. Była już dziesiąta. Wzruszył ramionami i powędrował na górę do pokoju lady Tresilian. Zapukał do drzwi. Kiedy czekał, aż go poprosi, słyszał głosy pozostałych domowników w holu na dole. Wyglądało na to, że wszyscy idą wcześniej spać.

— Wejść! — usłyszał czysty głos lady Tresilian. Nevile wszedł i zamknął za sobą drzwi.

Lady Tresilian była już gotowa do snu. Światła były pogaszone, z wyjątkiem nocnej lampki przy łóżku. Czytała, ale teraz odłożyła książkę. Groźnie popatrzyła na Nevile'a znad szkieł.

— Chcę z tobą pomówić, Nevile'u — rzekła.

Mimowolnie uśmiechnął się.

— Tak jest, szefie.

Lady Tresilian pozostała poważna.

— Są pewne granice, Nevile'u, których nie pozwolę przekraczać w moim domu. Nie mam zwyczaju podsłuchiwać niczyich prywatnych rozmów, ale skoro ty i twoja żona uparliście się wrzeszczeć na siebie pod oknami mojej sypialni, nic nie mogę poradzić na to, że słyszałam, co mówiliście. Jeżeli dobrze rozumiem, planujesz rozwieść się z Kay i ponownie ożenić z Audrey. To jest rzecz, której po prostu nie zrobisz, i nie chcę o tym więcej słyszeć.

Nevile spróbował się opanować.

— Proszę mi wybaczyć tę scenę — rzekł tylko. — A jeżeli chodzi o moje plany, to wydaje mi się, że to wyłącznie moja sprawa.

— Tylko ci się tak wydaje. Wykorzystałeś mój dom, żeby się skontaktować z Audrey, a może to Audrey go wykorzystała...

— Ona nigdy nic takiego by nie zrobiła. Ona...

Lady Tresilian powstrzymała go gestem uniesionej dłoni.

— Tak czy owak, nie zrobisz tego, Neville'u. Kay jest twoją żoną i posiada pewne prawa, których nie możesz jej pozbawić. W tej sprawie jestem całkowicie po stronie Kay. Nawarzyłeś sobie piwa i musisz je teraz wypić. Twoim obowiązkiem jest trwać przy Kay, a ja po prostu każę ci...

Nevile postąpił krok. Podniósł głos:

— Proszę się nie wtrącać w moje...

— Co więcej — nie dała sobie przerwać lady Tresilian — Audrey opuszcza mój dom jutro...

— Nie możesz tego zrobić! Nie zniosę tego...

— Neville'u! Przestań na mnie wrzeszczeć.

— Mówię tylko, że nie pozwolę...

Gdzieś w korytarzu trzasnęły jakieś drzwi...

12

Alice Bentham, wścibska posługaczka, pojawiła się u pani Spicer, kucharki, wielce poruszona.

— Ach, pani Spicer, nie mam pojęcia, co robić!

— Co się stało, Alice?

— Chodzi o pannę Barrett. Zniosłam jej poranną filiżankę herbaty ponad godzinę temu. Spała mocno i nie obudziła się, ale nie chciałam jej przeszkadzać. Poszłam znowu pięć minut temu, bo nie zeszła na dół, a herbata jej lordowskiej mości jest gotowa i powinna ją zanieść. Więc weszłam znów, a ona dalej śpi. Nie dałam rady jej obudzić.

— Potrzęsnęłaś nią?

— Tak, pani Spicer. Tarmosiłam ją. Ani drgnie. I ma taki okropny kolor.

— O mój Boże! Chyba nie umarła?

— O, nie, oddycha. Ale jakoś dziwnie. Może jest chora albo co?



— Dobrze, pójdę na górę i sama zobaczę. Zanieś pani jej herbatę. Lepiej zrób świeżą. Będzie się dziwić, co się stało.

Alice posłusznie zaczęła wypełniać polecenie, a pani Spicer pośpieszyła na piętro. Alice, z tacą w ręku, zapukała do drzwi lady Tresilian. Zapukała raz i drugi, nie było odpowiedzi. Wreszcie weszła. W chwilę później rozległ się brzęk tłuczonej porcelany i rozpaczliwe krzyki — Alice wyskoczyła z pokoju i zbiegła do holu. Tam wpadła na Hurstalla, który kroczył w kierunku jadalni.

— Och! Panie Hurstall, było włamanie, bandyci, pani nie żyje, zamordowana, z wielką dziurą w głowie, wszędzie krew...

### Zakulisowa intryga

#### 1

Nadkomisarzowi Battle udał się urlop. Zostały mu do końca jeszcze trzy dni i był odrobinę rozczarowany, że pogoda popsuła się i zaczęło padać, ale czegoż można się było spodziewać w Anglii. Trzeba przyznać, że — jak dotąd — sprzyjało mu szczęście.

Właśnie jadł śniadanie z inspektorem Jamesem Leachem, swoim siostrzeńcem, kiedy odezwał się dzwonek telefonu.

— Zaraz będę, sir — Jim odłożył słuchawkę.

— Coś poważnego? — spytał nadkomisarz Battle, widząc minę siostrzeńca.

— Mamy morderstwo. Lady Tresilian. Starsza pani, szacowna osoba, inwalidka. Właścicielka tego domu w Saltcreek nad samym urwiskiem.

Battle pokiwał głową.

— Idę spotkać się ze starym — w ten pozbawiony respektu sposób Leach mówił o swoim przełożonym, komisarzu okręgowym — to znajomy Tresilianów. Chodźmy tam razem. Wuju, czy chciałbyś mi trochę pomóc w tej sprawie? To pierwszy przypadek tego rodzaju w mojej karierze.

— Dopóki tu jestem, oczywiście. Czy to rabunek z włamaniem?

— Jeszcze nie wiem.

#### 2

Pół godziny później major Robert Mitchell, komisarz okręgowy, tonem najwyższej powagi trzymał przemowę do obu, wuja i siostrzeńca.

— Jest za wcześnie na konkrety, ale jedna rzecz nie ulega wątpliwości. To nie jest robota kogoś z zewnątrz. Nic nie zginęło, nie ma żadnych śladów włamania.

Wszystkie okna i drzwi rano były zamknięte.

Spojrzał wprost na Battle'a.

— Gdybym miał wezwać Scotland Yard, czy sądzi pan, że mogliby dać tę sprawę właśnie panu? Jest pan na miejscu, no i zna pan tu Leacha. To znaczy, oczywiście, jeżeli pan się zgodzi. To oznaczałoby skrócenie urlopu.

— Nie ma problemu. Niech pan się zwróci do sir Edgara — rzekł Battle (sir Edgar Cotton był zastępcą komisarza głównego) — to zdaje się pański przyjaciel.

Mitchell potwierdził.

— Tak. Myślę, że z Edgarem nie będzie kłopotu. No, to ustalone. Zaraz się z nimi skontaktuję.

Wziął słuchawkę i powiedział:

— Połączcie mnie ze Scotland Yardem.

— Myśli pan, że to będzie poważna sprawa, sir? — spytał nadkomisarz Battle.

Mitchell odpowiedział ponuro.

— W tej sprawie nie możemy sobie pozwolić na popełnienie nawet cienia błędu. Musimy mieć stuprocentowe dowody przeciwko naszemu kandydatowi na oskarżonego. Lub kandydatce.

Battle przytaknął. Zrozumiał dobrze, że za tymi słowami kryło się coś więcej. Wydaje mu się, że wie, kto to zrobił — pomyślał. — I nie bardzo mu to w smak, bo to ktoś dobrze znany i popularny, dam sobie głowę uciąć.

3

Battle i Leach stali w drzwiach pięknie umeblowanej sypialni. Na podłodze przed nimi policjant na kolanach starannie zbierał odciski palców z uchwytu ciężkiego kija golfowego. Na główce kija widniały plamy krwi i było do niej przyklejonych kilka siwych włosów.

Koło łóżka, pochylony nad ciałem lady Tresilian, stał doktor Lazenby, pełniący w tym okręgu funkcję lekarza sądowego.

Wyprostował się z westchnieniem.

— To nieskomplikowana sprawa. Została uderzona od przodu z wielką siłą. Już pierwszy cios zmiażdżył czaszkę i spowodował śmierć, ale zabójca uderzył jeszcze

raz. Nie będę się zagłębiał w medyczną terminologię — mówiąc najprościej, tak to wygląda.

— Od jak dawna nie żyje? — spytał Leach.

— Zginęła między dziesiątą wieczorem a północą.

— Nie może pan dokładniej określić czasu?

— Raczej nie. Zbyt wiele czynników ma wpływ na rigor mortis, żebym mógł określić ściślej godzinę. Nie wcześniej niż o dziesiątej i nie później niż o północy.

— Uderzono ją tym kijem?

Doktor rzucił okiem.

— Pewnie tak. Dobrze, że tu został. Na podstawie oględzin rany nigdy bym się nie domyślił, że to ten kij. Tak się złożyło, że zaostrzona krawędź główki kija nie zostawiła śladów. Musiała zostać uderzona tą zaokrągloną tylną stroną.

— Trudno byłoby uderzyć w ten sposób — zauważył Leach.

— Gdyby ktoś chciał specjalnie tak uderzyć, to rzeczywiście. Ale to pewnie czysty przypadek.

Leach uniósł ręce, próbując odtworzyć cios.

— Niewygodnie — skomentował.

— Tak — rzekł doktor w zamyśleniu. — Trochę to nie pasuje. Została uderzona, jak pan widzi, w prawą skroń, natomiast ktokolwiek to zrobił, musiał stać po prawej stronie łóżka, patrząc od nóg. Z lewej strony nie ma miejsca na zamach, jest ściana.

Leach nastawił uszu.

— Leworęczny?

— Podpisać bym się pod tym nie mógł — rzekł doktor Lazenby. — Zbyt wiele tu niejasności. Mógłbym powiedzieć, że najprostsze wyjaśnienie jest takie, że morderca był leworęczny, ale mogą być zupełnie inne powody takiego, a nie innego układu. Powiedzmy, że starsza pani odwróciła głowę w lewą stronę w momencie, gdy zadawano jej cios; albo morderca odsunął łóżko, stanął z lewej strony, a potem znów przesunął łóżko.

— Ta ostatnia hipoteza jest niezbyt prawdopodobna.

— Raczej nie, ale można to sobie wyobrazić. Mam pewne doświadczenie w tego rodzaju sprawach i mogę panu powiedzieć, młody człowieku, że domniemanie, iż morderca był leworęczny jest co najmniej pochopne.

Detektyw sierżant Jones, wciąż na kolanach, zauważył:

— Kij jest normalny, dla praworęcznych.

Leach kiwnął głową.

— Niemniej jednak kij mógł należeć do kogoś innego. Czy to był mężczyzna? Jak pan sądzi, doktorze?

— Niekoniecznie. Takim ciężkim kijem i kobieta mogła zadać potężny cios.

Nadkomisarz Battle powiedział spokojnie:

— Ale nie przysiągłby pan, że to jest na pewno narzędzie zbrodni.

Doktor Lazenby rzucił mu szybkie zaciekawione spojrzenie.

— Nie. To może być narzędzie zbrodni i przypuszczalnie było. Zbadam krew, która na nim jest, i włosy.

— Tak — rzekł Battle z aprobatą. — Trzeba być skrupulatnym.

Lazenby spytał z zainteresowaniem:

— Nadkomisarzu, czy osobiście ma pan jakieś wątpliwości co do tego kija?

Battle pokręcił głową.

— Ach, nie, nie. Ja jestem człowiekiem nieskomplikowanym. Wierzę w to, co widzę na własne oczy. Została uderzona czymś ciężkim, a to jest ciężkie. Jest na nim krew i włosy, więc pewnie jest to jej krew i jej włosy. Wniosek: to jest narzędzie zbrodni.

— Czy spała, kiedy została uderzona? — spytał Leach.

— Moim zdaniem nie. Na jej twarzy maluje się zdziwienie. Powiedziałbym (ale jest to moje prywatne zdanie), że nie spodziewała się tego, co miało się stać. Nie widać żadnych śladów walki, ani wyrazu przerażenia czy lęku. Tak wstępnie przypuszczam, że albo właśnie się obudziła, była jeszcze lekko otumaniona i nie bardzo wiedziała, co się dzieje, albo też rozpoznała napastnika jako kogoś, kogo zna i nie spodziewała się ataku.

— Tylko nocna lampka była zapalona — zastanowił się Leach.

— To może oznaczać jedno z dwojga: albo włączyła ją, kiedy obudził ją intruz, albo zostawiła zapaloną, zasypiając.

Detektyw sierżant Jones podniósł się z podłogi. Uśmiechał się z zadowoleniem.

— Na tym kiju mamy śliczny komplet odcisków palców. Wyraźne jak na dłoni — rzekł wychodząc.

Leach westchnął głęboko.

— To powinno uprościć sprawę.

— Usłużny gość — rzekł doktor Lazenby. — Zostawił narzędzie zbrodni, na nim odciski palców. Właściwie dlaczego nie zostawił swojej wizytówki?!

— Pewnie stracił głowę — rzekł nadkomisarz Battle. — To się zdarza.

Doktor potwierdził:

— Szczera prawda. No, dobrze, muszę już iść do swojej pacjentki.

— Jakiej pacjentki? — zainteresował się nagle Battle.

— Wezwano mnie, zanim odkryto to, co się tutaj stało. Rano znaleziono w stanie śpiączki pokojówkę lady Tresilian.

— Co jej jest?

— Duża dawka barbituranów. Niedobrze z nią, ale wyjdzie z tego.

— Pokojówka? — zdziwił się Battle. Spojrzenie jego wypukłych oczu powędrowało w kierunku pokaźnego uchwyty od dzwonka, zakończonego chwastem z frędzlami. Uchwyt leżał na poduszce obok głowy martwej kobiety.

Lazenby pokiwał głową.

— Właśnie. To pierwsza rzecz, którą lady Tresilian zrobiłaby, chcąc podnieść alarm: pociągnęłaby uchwyt, żeby wezwać pokojówkę. Mogła dzwonić i dzwonić. Pokojówka nie słyszała.

— Zajęto się nią? — spytał Battle. — Jest pan pewien, że to środki nasenne? Czy miała zwyczaj brać coś na sen?

— Jestem przekonany, że nie. Nic takiego nie znalazłem w jej pokoju. Za to wiem, jak jej to podano. W ziołach na trawienie. Piła je codziennie wieczorem. To świństwo było w jej ziołach.

Nadkomisarz Battle podrapał się po brodzie.

— Hm. Ktoś znał dobrze obyczaje panujące w tym domu. Tak, doktorze, to dziwne zabójstwo...

— Cóż — rzekł doktor Lazenby — to już wasz problem.

— Nasz doktor to dobry człowiek — stwierdził Leach, kiedy Lazenby wyszedł. Zostali sami. Zrobiono zdjęcia, wykonano wszystkie pomiary. Obaj policjanci wiedzieli już wszystko, czego można było dowiedzieć się w tym pokoju.

Battle kiwnął głową na uwagę siostrzeńca. Zastanawiał się nad czymś.

— Jak sądzisz, czy można było uchwycić ten kij, nie zostawiając śladów, powiedzmy w rękawiczkach, później, kiedy te odciski palców już na nim były?

Leach pokręcił głową.

— Wiesz równie dobrze jak ja, że nie. Nie można go wziąć do ręki, nie zacierając tych odcisków, a co dopiero użyć go. Odciski nie są nic a nic zamazane. Widziałeś sam.

Battle zgodził się.

— A teraz poprosimy grzecznie wszystkich o odciski palców, oczywiście dobrowolnie. Wszyscy powiedzą „tak”, a potem albo okaże się, że te tutaj nie należą do nikogo z domowników, albo...

— Albo będziemy mieli naszego człowieka.

— Tak myślę. Może to kobieta?

Leach zaprzeczył.

— Nie, nie kobieta. Odciski na kiju zostawił mężczyzna. Są za duże jak na kobietę. Poza tym, to nie jest kobiecy typ zbrodni.

— Masz rację — zgodził się Battle. — Tę zbrodnię popełnił mężczyzna. Brutalnie, po męsku, z użyciem siły i trochę głupawo. Czy ktoś w domu do tego pasuje?

— Nie znam jeszcze nikogo z domowników. Wszyscy siedzą teraz w jadalni.

Battle ruszył w kierunku drzwi.

— Chodźmy i przyjrzyjmy się im. — Wychodząc obejrzał się przez ramię, spojrzał na łóżko i zauważył:

— Jakoś nie podoba mi się ten uchwyt od dzwonka.

— Dlaczego?

— Nie pasuje — i otwierając drzwi, dodał: — Komu mogło zależeć na jej śmierci? Świat się roi od złośliwych starszych pań, które aż się proszą, żeby im rozwalić głowę. Ta chyba była inna. Była lubiana. — Zamilkł na chwilę, a potem zapytał:

— Nieźle jej się powodziło, co? Kto po niej dziedziczy?

Leach dobrze zrozumiał, do czego prowadzi pytanie.

— Tu go mamy. To nam da odpowiedź. Trzeba będzie zaraz sprawdzić.

Zeszli razem po schodach. Po drodze Battle rzucił okiem na listę, którą miał w ręku. Przeczytał na głos:

— Panna Aldin, pan Royde, pan Strange, pani Strange, pani Audrey Strange. Hm, coś dużo tych pań Strange.

— To jego dwie żony, z tego, co wiem.

— Co to, Sinobrody?

Domownicy zgromadzili się wokół stołu jadalnego i próbowali udawać, że jedzą. Nadkomisarz Battle bystrym spojrzeniem przebiegł uważnie po twarzach obecnych. Taksował ich według swoich własnych, szczególnych norm. Zdziwiliby się bardzo, gdyby wiedzieli, jak ich ocenia. Była to ocena skrajnie tendencyjna. Nieważne, że prawo uważa każdego za niewinnego, dopóki winy mu się nie udowodni. W oczach nadkomisarza Battle każda osoba związana z przypadkiem zabójstwa była potencjalnym mordercą.

Zaczął od Mary Aldin, która siedziała wyprostowana i blada u szczytu stołu. Obok niej Thomas Royde nabijał właśnie fajkę. Dalej siedziała Audrey, odsunięta od stołu, w prawej ręce trzymała na spodeczku filiżankę z kawą, w lewej — papieros. Potem — Neville, jakby oszołomiony i niezupełnie przytomny, usiłował bez powodzenia zapalić drżącymi rękami papierosa; wreszcie Kay — oparła łokcie na stole, bladość jej twarzy prześwitywała przez mocny makijaż.

Myśli nadkomisarza Battle przedstawiały się następująco:

To pewnie panna Aldin. Rzekłbym twarda sztuka, zna się na rzeczy. Trudno byłoby ją złapać na jakimś głupstwie. Ten facet obok niej — to taki zamknięty w sobie typ, po którym nie wiadomo, czego się spodziewać, ma bezwładną rękę, twarz pokerzysty, może mieć kompleks niższości, ale niekoniecznie. Tamta to chyba jedna z żon Strange'a. Śmiertelnie przerażona, tak, bez wątpienia się czegoś boi. Z tą filiżanką... dziwne. A to — pan Strange, gdzieś już go widziałem. Ten to ma stracha, nerwy w strzępach. Ta ruda piękność — to ogień, nieokiełznany temperament, ale nie tylko, ma poza tym głowę na karku.

Kiedy nadkomisarz w ten sposób taksował zebranych, inspektor Leach wygłosił krótkie oficjalne przemówienie. Mary Aldin przedstawiła każdego i zakończyła:

— To dla nas ogromny wstrząs, oczywiście, ale chcielibyśmy udzielić wszelkiej możliwej pomocy.

— Zacznijmy od tego — Leach zaprezentował kij golfowy. — Czy ktoś wie, do kogo może należeć?

Kay krzyknęła:

— O, Boże, czy to właśnie tym... — nie dokończyła.

Nevile Strange wstał i obszedł stół.

— Wygląda na mój. Czy mogę się przyjrzeć?

— Teraz już tak — rzekł inspektor Leach. — Może go pan wziąć do ręki.

To znaczące „teraz” nie wywołało na świadkach żadnego widocznego wrażenia.

Nevile obejrzał kij.

— Myślę, że to jeden z moich kijów. Powiem panu na pewno, jeżeli pójdzie pan ze mną.

Razem poszli do pomieszczenia pod schodami. Strange otworzył drzwi i zdumionym oczom Battle’a ukazało się wewnątrz wypełnione po sufit raketami tenisowymi. Przypomniawszy sobie, gdzie widział przedtem Nevile’a Strange’a.

Powiedział:

— Widziałem pana w turnieju wimbledońskim.

Nevile odwrócił się lekko.

— Ach, tak, naprawdę?

Zaczął przerzucać rakiety. W głębi znajdowały się dwie torby golfowe i sprzęt wędkarski.

— W golfa gram tylko ja i moja żona — wyjaśnił Nevile — a to jest męski kij. Tak, zgadza się, ten jest mój.

Wyciągnął torbę, w której było co najmniej czternaście kijów.

Niektórzy traktują sport zbyt poważnie — pomyślał inspektor Leach. — Nie chciałbym u niego pracować jako chłopak do noszenia kijów.

— Dziękuję panu, panie Strange. To wyjaśnia jedną sprawę.

— Dziwi mnie, że nic z domu nie zginęło. I nie wygląda na to, żeby było jakieś włamanie — rzekł Nevile.

Muszą się głowić nad tą sprawą — pomyślał Battle.

— Służba — ciągnął Nevile — jest taka oddana.

— Na temat służby porozmawiam z panną Aldin — gładko zbył go inspektor Leach. — Przy okazji, może orientuje się pan, kto prowadził kwestie prawne lady Tresilian?

— Askwith & Trelawny z St. Loo — odparł Nevile bez wahania.



— Dziękuję panu, panie Strange. Skontaktujemy się z nimi, żeby uzyskać wgląd w zagadnienia majątkowe lady Tresilian.

— Czy chodzi panom o to, kto po niej dziedziczy?

— Tak jest, sir. Chodzi o jej testament i tak dalej.

— O jej testamencie nie wiem nic — rzekł Neville — ale z tego, co wiem, ona praktycznie nie miała własnego majątku. Natomiast mogę panom powiedzieć, na kogo przechodzi zdecydowana większość spadku.

— Słucham, panie Strange.

— Na mnie i moją żonę, na podstawie testamentu świętej pamięci sir Matthew Tresiliana. Lady Tresilian jedynie dysponowała majątkiem dożywotnio.

— Coś podobnego... — inspektor Leach spojrział na Neville'a tak, jak kolekcjoner może patrzeć na nowy okaz do swoich zbiorów. Neville zachnął się na to spojrzenie. Inspektor Leach, nieporuszony, ciągnął tonem przyjacielskiej pogawędki:

— Nie orientuje się pan, o jaką kwotę chodzi, panie Strange?

— Cóż, tak z głowy nie mogę panu dokładnie powiedzieć. Ale, jak sądzę, w grę wchodzi kwota rzędu stu tysięcy funtów.

— Coś podobnego! Na głowę?

— Nie, do podziału.

— Rozumiem. To poważna suma.

Neville uśmiechnął się. Powiedział spokojnie:

— Wie pan, inspektorze, jeszcze wystarczy mi na życie. Mam dosyć własnego majątku, żeby nie musieć wyczekiwać na spadek.

Inspektor Leach przybrał minę obrażonej niewinności.

Wrócili do jadalni, gdzie Leach wygłosił kolejne małe przemówienie. Tym razem dotyczyło odcisków palców: rutynowa sprawa, chodzi o eliminację odcisków należących do domowników spośród tych odcisków, które znaleziono w sypialni denatki.

Wszyscy oczywiście zgodzili się ochoczo. Przeszli stadkiem do biblioteki, gdzie oczekiwał ich detektyw sierżant Jones ze swoim sprzętem.

Battle i Leach zabrali się teraz do służby domowej.

Niewiele udało im się uzyskać. Hurstall objaśnił, w jaki sposób zamyka się dom na noc i przysiągł, że nic rano nie było naruszone. Nie było żadnych znaków

świadczących, że do środka dostał się jakiś intruz. Frontowe drzwi, jak wyjaśnił, były zamknięte tylko na zatrask, a nie na zasuwę, tak że dało się je otworzyć kluczem z zewnątrz. Zostawiono je tak, bo pan Neville wybrał się wieczorem do Easterhead Bay i miał wrócić późno w nocy.

— O której wrócił?

— Około wpół do trzeciej, sir. Ktoś go podwiózł samochodem. Słyszałem rozmowę i odjeżdżające auto. Potem usłyszałem odgłos zamykanych drzwi i kroki pana Neville'a na schodach.

— O której pan Strange wyszedł do Easterhead Bay?

— Jakies dwadzieścia po dziesiątej. Słyszałem, jak zamykał drzwi.

Leach pokiwał głową. Wyglądało na to, że na razie nic więcej od Hurstalla nie potrzebują. Przesłuchał pozostałych. Wszyscy byli nieco zdenerwowani i przestraszeni, ale nie bardziej niż to usprawiedliwiały okoliczności.

Kiedy drzwi zamknęły się za lekko rozhisteryzowaną pomocą kuchenną, która zamykała listę służby, Leach spojrzał pytająco na wuja.

— Wezwij jeszcze raz tę służącą, nie tę z wybaluszonymi oczami, ale tę wysoką, chudą i skwaszoną. Ona coś wie.

Emma Wales rzeczywiście zachowywała się, jakby miała nieczyste sumienie. Dodatkowo zaniepokoił ją fakt, że do zadawania pytań zabrał się teraz ten potężniejszy i starszy z dwóch prowadzących śledztwo.

— Chciałbym pani udzielić pewnej rady, panno Wales — zaczął uprzejmie. — Nie warto ukrywać niczego przed policją, wie pani. Stawia to panią w niekorzystnym świetle. Rozumie pani, o co mi chodzi?

Emma Wales próbowała protestować z godnością, ale wyraźnie nie szło jej łatwo:

— Przecież ja nigdy...

— Dobrze, dobrze — Battle podniósł swoją wielką kwadratową dłoń. — Coś pani widziała albo słyszała. Co to było?

— Ja... ja nie słyszałam dokładnie. Nie podsłuchiwałam specjalnie. Po prostu niechcący usłyszałam... Pan Hurstall też to słyszał. Ale to nie ma nic wspólnego z morderstwem. To nie może mieć nic wspólnego.

— Pewnie nie ma. Niech pani po prostu powie, co to było.

— No, więc, szłam właśnie spać. To było tuż po dziesiątej. Najpierw miałam pójść i włożyć gorący termofor do łóżka panny Aldin. Zawsze musi go mieć i latem, i zimą. Więc oczywiście musiałam przejść koło pokoju jej lordowskiej mości.

— I co dalej?

— I usłyszałam głosy lady i pana Nevile’a. Sprzeczali się zawzięcie, rozmowa była ostra. Słysząc było podniesione głosy. Ale na nią krzyczał! Oho! Prawdziwa awantura.

— Pamięta pani dokładnie, co mówili?

— No, przecież nie słuchałam naumyślnie.

— Oczywiście, ale musiała pani usłyszeć jakieś słowa.

— Pani mówiła, że nie zniesie czegoś w swoim domu, a pan Nevile mówił: „Nie waż się jej oskarżać!”. Ale był nabuzowany!

Battle, z kamienną twarzą, próbował wyciągnąć z niej coś jeszcze, ale bez powodzenia. W końcu odprawił ją.

Spojrzeli z Jimem po sobie. Po chwili Leach odezwał się:

— Chyba już czas, żeby Jones nam coś powiedział na temat odcisków palców.

— Kto sprawdza pokoje?

— Williams. Można na nim polegać. Nie przepuści niczego.

— Na razie nie pozwalasz wchodzić do pokojów?

— Tak, dopóki Williams nie skończy.

Drzwi się uchyliły i młody Williams wetknął głowę:

— Jest coś, co chciałbym panom pokazać. W pokoju pana Nevile’a Strange’a.

Wstali i poszli za nim do apartamentu we wschodnim skrzydle. Williams wskazał na stos leżący na podłodze na środku pokoju. Granatowa marynarka, spodnie, kamizelka.

— Gdzieś to znalazł? — spytał Leach ostro.

— Leżały zwinięte na dnie szafy. Proszę spojrzeć na to, sir. Podniósł marynarkę i pokazał brzegi granatowych mankietów.

— Widzi pan te ciemne plamy, sir? Jeżeli to nie krew, to jestem cesarzem chińskim. A tu? Cały rękaw zbryzgany.

— Hm — Battle unikał triumfującego wzroku towarzysza. — Wygląda, że z naszym Neville'em kiepsko, trzeba to przyznać. Czy w pokoju znaleziono jakiś drugi garnitur?

— Ciemnoszary w prążki wisi na krześle. Tu koło umywalki jest pełno wody na podłodze.

— Pewnie zmywał krew w pośpiechu. Tak. Chociaż... to koło otwartego okna... a padał deszcz, może to to.

— Z deszczu nie byłoby takich kałuż na podłodze, sir. Proszę spojrzeć, jeszcze nie wyschły.

Battle milczał. Przed oczami jego wyobraźni zaczął powstawać obraz: mężczyzna z zakrwawionymi rękami i w poplamionym krwią ubraniu, ściąga z siebie odzież, upycha ją w głębi szafy, myje w pośpiechu ręce i nagie ramiona.

Popatrzył na drzwi w przeciwległej ścianie. Williams uprzedził pytanie:

— To sypialnia pani Strange, sir. Zamknięta na klucz.

— Na klucz? Z tej strony?

— Nie. Z tamtej.

— Z jej strony?

Battle zadumał się na dłuższą chwilę. Wreszcie odezwał się:

— Zobaczmy się jeszcze raz ze starym kamerdynerem.

Hurstall był zdenerwowany. Leach rzucił cierpko:

— Dlaczego nie powiedział nam pan, Hurstall, że usłyszał pan wczoraj wieczorem kłótnię między panem Strange'em i lady Tresilian?

Stary człowiek zamrugał.

— Prawdę mówiąc, zapomniałem o niej. Nie nazwałbym tego kłótnią, sir, raczej niewielką różnicą zdań...

Powstrzymując się od słów „Niewielka różnica zdań! Akurat!”, inspektor Leach ciągnął:

— Jaki garnitur miał na sobie pan Strange wczorajszego wieczora?

Hurstall zawahał się. Battle powiedział spokojnie:

— Granatowy czy szary w prążki? Skoro pan nie pamięta, poprosimy kogoś innego.

Hurstall odezwał się wreszcie:

— Teraz sobie przypomniałem, sir. Był w tym granatowym. — I dodał usprawiedliwiająco: — Domownicy latem nie przebijają się do kolacji w stroje wieczorowe. Często potem wychodzą jeszcze do ogrodu albo nad morze.

Battle pokiwał głową. Hurstall wyszedł. W drzwiach minął się z podekscytowanym Jonesem.

— Jasne jak słońce. Mam odciski wszystkich. Tylko jedno pasują. Oczywiście tutaj mogłem zrobić analizę jedynie z grubsza, ale założę się, że szczegółowe badania daktyloskopijne to potwierdzą.

— No i...?

— Odciski palców na kiju należą do pana Neville'a Strange'a.

Battle odchylił się do tyłu na swoim krześle.

— Cóż — rzekł — to chyba już wiemy wszystko, prawda?

4

Siedzieli w biurze komisarza okręgowego — trzech mężczyzn o poważnych zaaferowanych twarzach.

Major Mitchell odezwał się z westchnieniem:

— No, cóż, chyba nie mamy innego wyjścia, tylko go aresztować?

— Na to wygląda, sir — powiedział cicho Leach.

Mitchell spojrzał w kierunku nadkomisarza Battle'a.

— Co pan taki ponury, Battle?

— Nie podoba mi się to — odparł.

— Nikomu z nas się nie podoba — rzekł Mitchell. — Ale mamy dowodów aż nadto, żeby wystąpić o nakaz.

— Właśnie, aż nadto...

— Ale, do diabła, na co czekamy?

Battle, zmartwiony, pokiwał głową.

— Jeszcze raz przepatrzmy sprawę — zaproponował komisarz okręgowy. — Mamy motyw: Strange i jego żona dziedziczą po śmierci starszej pani duże pieniądze. On był ostatnią osobą, która z nią rozmawiała. Pokłócili się. Garnitur, który miał na sobie tego wieczoru, jest zaplamiony krwią i na dodatek na narzędziu zbrodni znaleźliśmy jego odciski palców i żadnych innych.

— A mimo wszystko, sir — rzekł Battle — panu to się nie podoba.

— Tak, do cholery.

— Co konkretnie się panu nie podoba, sir?

Major Mitchell potarł nos.

— Za głupie to wszystko jak na tego faceta.

— Ale, musi pan przyznać, ludzie czasem tracą głowę, prawda?

— Jasne, wiem. Gdyby nie to, mielibyśmy znacznie trudniejszą pracę.

Battle zwrócił się do Leacha:

— Jim, a co tobie się tu nie podoba?

Leach skrzywił się markotnie.

— Zawsze lubiłem pana Strange'a. Spotykałem go tu od lat. To dżentelmen w każdym calu, sympatyczny i do tego sportowiec, fair play zawsze stawia na pierwszym miejscu.

— Nie widzę powodów, żeby dobry tenisista nie mógł być też mordercą. Nie ma żadnych przeszkód — przerwał Battle. — Mnie się nie podoba ten kij golfowy.

— Kij? — zdziwił się Mitchell.

— Tak, sir. Albo kij, albo dzwonek, nigdy oba na raz — ciągnął powoli i ostrożnie, dobierając słów. — Jak to sobie wyobrażacie? Czy pan Strange w czasie kłótni stracił panowanie nad sobą i uderzył lady Tresilian w głowę kijem? Jeżeli tak, jeżeli było to zabójstwo w afekcie, to skąd miał ze sobą kij? Nikt nie przechadza się z kijem golfowym w nocy.

— Może ćwiczył uderzenia albo kij był mu potrzebny do czegoś innego?

— Może i tak, ale nikt tego nie potwierdza. Nikt tego nie widział. Po raz ostatni widziano go z kijem w ręku tydzień wcześniej, kiedy trenował strzały w piasku na plaży. Według mnie, rozumiecie, jest tu jakaś sprzeczność. Stracił panowanie nad sobą w czasie kłótni? Pamiętajcie, widziałem go nie raz na kortach, a w czasie ważnych meczów ci tenisiści to kłębki nerwów i łatwo zobaczyć, kiedy tracą samokontrolę. Strange'owi to się nigdy nie zdarzyło. Ten człowiek potrafi panować nad sobą lepiej niż ktokolwiek inny. To nie ten typ, co wpada w szal i wali starszą panią po głowie.

— Więc jest inna możliwość, Battle — rzekł komisarz okręgowy.

— Wiem, sir. Załóżmy, że to zbrodnia z premedytacją. Potrzebował pieniędzy starszej pani. To pasuje do sprawy dzwonka: musiał uśpić pokojówkę. Ale z kolei

nie pasuje do kija i do kłótni. Gdyby zaplanował zbrodnię, wystrzegalby się jakiegokolwiek kłótni z ofiarą. Mógł przecież uśpić pokojówkę, wkraść się do pokoju w nocy, dać staruszce w głowę i upozorować włamanie, a potem wyczyścić narzędzie zbrodni i odstawić je spokojnie do torby, obok innych kijów. Tu się nic nie zgadza! To mieszanka zimnej krwi i nagłej wściekłości. To nie idzie w parze!

— Coś w tym jest, Battle, ale... ale jakie jest inne wyjaśnienie?

— Ten kij nie daje mi spokoju, sir.

— Nikt inny nie mógł go użyć jako narzędzia zbrodni, nie niszcząc odcisków palców Nevile'a, to pewne.

— W takim razie — uderzono ją czymś innym.

Major Mitchell wziął głęboki wdech.

— To chyba trochę ryzykowna hipoteza?

— Na zdrowy chłopski rozum, sir, kijem mógł uderzyć albo Strange, albo nikt. Stawiam, że nikt. To znaczy, że kij podłożono specjalnie i umazano go we krwi. Doktorowi Lazenby ten kij od razu nie bardzo się podobał, zaakceptował to tylko dlatego, że zdawało się oczywiste, iż jest narzędziem zbrodni, a nie było podstaw, żeby wykluczyć go definitywnie.

Major Mitchell odchylił się do tyłu.

— Niech pan mówi dalej, Battle — rzekł. — Daję panu wolną rękę. Co potem?

— Zapomnijmy o kiju. Co nam zostaje? Po pierwsze: motyw. Czy Nevile Strange rzeczywiście miał motyw, żeby sprzątnąć lady Tresilian? Dziedziczy po niej pieniądze, to fakt, ale wiele zależy od tego, czy rzeczywiście ich potrzebuje. Mówi, że nie. Proponuję, żebyśmy to sprawdzili. Zbadajmy stan jego finansów. — Jeżeli jest w materialnym dołku i potrzebuje forsy, wtedy przemawia to na jego niekorzyść. Jeżeli natomiast mówił prawdę i jego finanse stoją dobrze, wtedy...

— Co wtedy?

— Wtedy moglibyśmy się przyjrzeć motywom innych domowników.

— A więc myśli pan, że ktoś usiłuje Nevile'a zrobić?

Nadkomisarz Battle zmrużył oczy.

— Kiedy myślę o tej sprawie, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że jest uknuta. Na pozór mamy do czynienia ze zwykłą brutalną zbrodnią, ale od czasu do czasu migają mi błyski jakiejś zakulisowej intrygi...

Zapadło milczenie. Komisarz okręgowy nie spuszczał wzroku z Battle'a.

— Może ma pan rację — rzekł w końcu. — Do diabła, w tym coś jest. A więc jaki mamy teraz plan gry?

Battle wysunął swoją kwadratową szczękę.

— No, cóż, sir. Jestem za tym, żebyśmy działali w najoczywistszy sposób. Ktoś usilnie stara się skierować podejrzenia na pana Neville'a Strange'a. Podejrzewajmy go więc. Nie musimy go od razu aresztować, ale możemy go wezwać, przesłuchiwać, robić na ten temat aluzje i dopuszczać do „przecieków”, a równocześnie obserwować reakcje pozostałych osób. Możemy sprawdzać jego oświadczenia, śledzić go. Zróbmy z siebie naiwniaków.

— Makiaweliczny plan — rzekł major Mitchell z błyskiem w oku. — Supergwiazda nadkomisarz Battle w roli tępawego policjanta.

Nadkomisarz uśmiechnął się.

— Zawsze staram się robić to, czego się po mnie spodziewają. Tym razem mam być tępawy: w porządku, poczekam na swój czas. Trzeba trochę powęszyć wokół. Możemy się porozglądać pod pretekstem sprawdzania pana Strange'a. Wydaje mi się, że w tym domu dzieje się coś dziwnego.

— Myśli pan o sprawach damsko-męskich?

— Można to tak określić, sir.

— Niech pan zajmie się tym po swojemu, Battle. Pan i Leach prowadźcie to razem dalej.

— Dziękuję, sir — Battle wstał. — Co powiedział adwokat pani Tresilian?

— Nic ciekawego, rozmawiałem z nim przez telefon. Znam dobrze Trelawny'ego. Ma przysłać mi kopię testamentu sir Matthew, a także lady Tresilian. Ona miała około pięciuset funtów rocznie własnego dochodu z ostrożnych inwestycji w ubezpieczeniach. Zrobiła zapis na rzecz Barrett i niewielki na rzecz Hurstalla, resztę zostawiła Mary Aldin.

— Na tę trójkę musimy mieć oko — stwierdził Battle.

— Jest pan podejrzliwy, nie ma co — Mitchell wydawał się rozbawiony.

— Niech nas nie hipnotyzuje kwota pięćdziesięciu tysięcy — Battle był nieporuszony. — Wiele morderstw popełniono dla pięćdziesięciu funtów albo i



mniejszej kwoty. To zależy tylko od tego, jak bardzo ktoś potrzebuje pieniędzy. Barrett też otrzymała zapis. Może sama się uspiła, żeby odwrócić podejrzenie.

— Prawie przeniosła się na tamten świat. Lazenby nie pozwala jej jeszcze przesłuchiwać.

— Może przesadziła, nie znając właściwej dawki. A ten Hurstall? Może on na gwałt potrzebował gotówki? A panna Aldin? Nie ma żadnego majątku, może chciała trochę poużywać życia, zanim będzie za stara...

Komisarz okręgowy miał minę pełną powątpiewania.

— Dobra, róbcie, jak uważacie. Bierzcie się do roboty...

5

Wróciwszy do Gull's Point obaj oficerowie przyjęli raport od Williamsa, a potem Jonesa.

— W żadnej sypialni nie znaleziono nic podejrzanego. Służba nie może doczekać się, kiedy będzie mogła podjąć normalne obowiązki domowe. Czy wyrazić zgodę?

— Chyba nie ma przeszkód. Chciałbym tylko osobiście rzucić okiem na pomieszczenia na pierwszym i drugim piętrze. Nie posprzątane pokoje mogą powiedzieć o swoich lokatorach bardzo wiele...

Sierżant Jones postawił na stole kartonowe pudełeczko.

— To z granatowej marynarki pana Neville'a Strange'a — oznajmił. — Rude włosy znalazłem na mankiecie, blond włosy wewnątrz kołnierza i na prawym ramieniu.

Battle wyciągnął z pudełka dwa długie rude włosy i kilka blond i przyglądał się im. Wreszcie z lekkim błyskiem w oku rzekł:

— To co nieco ułatwia nam sprawę. W domu mamy jedną rudą i jedną blondynkę. Teraz wiemy, na czym stoimy. Rudy włos na rękawie, a blond na kołnierzu? Wygląda, jakby pan Neville Strange brał przykład z Sinobrodego. Jednym ramieniem obejmuje jedną żonę, a druga kładzie mu głowę na ramieniu.

— Krew z rękawów poszła do analizy, sir. Zadzwoń, jak tylko będą coś mieli.

Leach kiwnął głową.

— Co ze służbą?

— Jak pan kazał, sir. Sprawdziłem: nikt nie był w okresie wypowiedzenia umowy o pracę, nikt nie chował urazy do starszej pani. Była surowa, ale lubiana.

Bezpośrednie kierowanie służbą należy do panny Aldin. Cieszy się sympatią.

— Kiedy po raz pierwszy ją zobaczyłem, uznałem, że z nią nie poszłoby nam łatwo, gdyby to ona była mordercą. To kobieta o dużych możliwościach.

Jones zbaraniał.

— Ale te odciski na kiju, sir, były...

— Wiem, wiem. Należą do niezwykle uczynnego pana Strange'a. Uważa się, co prawda, że sportowcy nie odznaczają się nadmiarem inteligencji (co nie jest prawdą, skoro już jesteśmy przy tym temacie), ale nie mogę uwierzyć, żeby Neville Strange był aż takim kretynem. Co ustaliliście w sprawie tych ziółek na przeczyszczenie, zażywanych przez naszą pokojówkę?

— Zawsze stoją na półce w łazience dla służby na drugim piętrze. Zaparzała je w południe i odstawiała, by wypić dopiero przed snem.

— Więc właściwie każdy miał do nich dostęp. To znaczy, każdy, kto tu mieszka.

— To robota kogoś z domowników — rzekł Leach z przekonaniem.

— Też tak uważam. Co nie znaczy, że tu nie mógł nikt obcy wejść ani wyjść.

Każdy, kto miałby klucz, mógłby się dostać do środka. Neville Strange był w posiadaniu klucza wczoraj w nocy, trzeba jednak pamiętać, że taki zamek bez trudu da się otworzyć wytrychem lub wręcz kawałkiem drutu. Ale żaden obcy nie wiedziałby o dzwonku i o tym, że Barrett pija ziółka! To informacje ściśle domowe! Chodźmy Jim, mój chłopcze. Przejrzyjmy tę łazienkę i resztę pomieszczeń na górze.

Rozpoczęli od ostatniego piętra. Na pierwszy ogień poszedł strych pełen połamanych krzeseł i najrozmaitszych rupieci.

— Nie przeszukiwałem tego, sir — sumitował się Jones — nie wiedziałem...

— Nie wiedziałeś czego szukać? W porządku. Strata czasu. Kurz na podłodze wskazuje, że nikogo tu nie było co najmniej od pół roku.

Wszystkie pokoje służby znajdowały się na tym piętrze. Ponadto były tu jeszcze dwie wolne sypialnie i łazienka. Battle pobieżnie obejrzał wszystkie pomieszczenia i zauważył, że Alice, wylupiastooka służąca, spała przy zamkniętym oknie, że Emma, ta chuda, miała wielu krewnych, których fotografie tłoczyły się na komodzie i że

Hurstall miał kilka sztuk dobrej porcelany z Drezna i Crown Derby, niestety trochę wyszczerbionych.

W pokoju kucharki panował wzorowy porządek, natomiast u pomocy kuchennej — nieład. Battle przeszedł do łazienki, która położona była tuż przy schodach. Williams wskazał długą półkę nad umywalką, na której stały kubki ze szczoteczkami do zębów, różne maści i flaszeczki z solami do kąpieli i płynami do włosów. Z boku stała otwarta paczuszka ziół.

— Żadnych odcisków palców na opakowaniu albo szklance z naparem?

— Tylko jej własne. Pobrałem próbkę z pokoju Barrett.

— Nie musiał brać szklanki do ręki — zauważył Leach. — Wystarczyło wsypać narkotyk.

Battle zaczął schodzić, Leach udał się w ślad za nim. W połowie schodów Battle zauważył dość niewygodnie umieszczone okno. Obok, w rogu, stał kij zakończony haczykiem.

— To do otwierania i zamykania okna — wyjaśnił Leach. — Jest uchylone, ale ma zapadkę, nie da się otworzyć szerzej z zewnątrz. Szczelina jest za wąska, żeby ktokolwiek mógł tędy wejść.

— Nie myślałem o tym — rzekł Battle. Wzrok miał zadumany. Weszli do pierwszej z brzegu sypialni na niższym piętrze.

Należała do Audrey Strange. Była wysprzątana i świeża. Szczotki z kości słoniowej na toaletce, żadnej porzrzuconej na wierzchu garderoby. Battle zajrzał do szafy. Dwa gładkie żakiety, bluzki, ze dwie suknie wieczorowe, kilka letnich sukienek. Sukienki raczej tanie, suknie wieczorowe zdradzające dobrego krawca i materiał w najlepszym gatunku, ale nienowe.

Battle pokiwał głową. Stał przy biurku i przyglądał się piórom rozłożonym na tacy i suszce leżącej obok.

— Nie znalazłem nic ciekawego na bibule suszki ani w koszu na papiery.

— Wierzę. Nic tu nie znajdziemy.

Przeszli do następnych pokoi.

Thomas Royde miał straszny bałagan, wszędzie porzrzucone rzeczy. Fajki i popiół na stołach, a także na szafce nocnej, gdzie leżała otwarta powieść Kiplinga „Kim”.

— Przyzwyczajony do pełnej obsługi przez tubylców — rzekł Battle. — Czyta klasykę. Typ konserwatysty.

Pokój Mary Aldin okazał się mały, ale wygodny. Battle rzucił okiem na książki podróżnicze na półkach i na staroświeckie srebrne szczotki do włosów.

Umeblowanie i wystrój wnętrza w tym pokoju były nowocześniejsze niż w pozostałej części domu.

— Ona nie jest zbyt konserwatywna — skomentował Battle. — Żadnych zdjęć. Nie żyje przeszłością.

Znaleźli kilka pokoiów nie zajętych, dobrze utrzymanych i odkurzanych z myślą o ewentualnych gościach, i dwie łazienki. Za nimi mieścił się obszerny pokój lady Tresilian. Dalej schodziło się po trzech małych schodkach do dwóch pokoiów i łazienki, które zajmowali państwo Strange'owie.

Battle nie zabawił długo w pokoju Neville'a. Wyrzwał przez otwarte okno na skały opadające ku morzu. Okno wychodziło na zachód, w kierunku skały Stark Head, która wznosiła się pośród fal, dzika i niedostępna.

— Po południu jest tu słońce — mruknął. — Ale rano raczej ponuro, a podczas odpływu czuje się smród wodorostów. To wybrzeże wygląda przygnębiająco. Nic dziwnego, że przyciąga samobójców!

Przeszli do drugiego pokoju, większego, tego, który był wcześniej zamknięty na klucz.

Tu panował całkowity rozgardiasz. Rzeczy walały się całymi stosami: cienka bielizna, pończochy, sweterki, widać, że przymierzone raz i odłożone, wzorzysta letnia sukienka, niedbale rzucona na oparcie krzesła. Battle zajrzał do szafy. Wypełniały ją futra, suknie wizytowe, szorty, spódniczki tenisowe, stroje sportowe.

Battle zamknął drzwi nieomal z pietyzmem.

— Wyszukany smak — zauważył. — Kosztowna małżonka.

Leach zaczął znacząco:

— Może dlatego...

Nie skończył.

— Przydałoby mu się sto, a raczej pięćdziesiąt tysięcy? Może. Zobaczmy, co ma nam do powiedzenia na ten temat.

Zeszli na dół do biblioteki. Posłano Williamsa, żeby pozwolił służbie na podjęcie normalnych obowiązków domowych. Domowników poinformowano, że mogą już korzystać ze swoich pokojów oraz że inspektor Leach będzie chciał przesłuchać każdego indywidualnie, rozpoczynając od pana Neville'a Strange'a.

Kiedy Williams wyszedł, Battle i Leach ulokowali się za potężnym wiktoriańskim stołem. Młody policjant z protokolarzem i ostro zatemperowanym ołówkiem usiadł w kącie.

— Ty zaczniesz, Jim — zarządził Battle. — Postaraj się go przycisnąć. — Siostrzeniec kiwnął głową. Battle potarł brodę i zmarszczył się. — Nie wiem, dlaczego wciąż mi chodzi po głowie Herkules Poirot.

— Chodzi o tego jegomościa, Belga, tego komicznego małego typu?

— Ładnie mi komicznego — rzeki nadkomisarz Battle. — On jest równie niebezpieczny jak czarna mamba i puma razem wzięte. To znaczy wtedy, kiedy zaczyna swoje sztuczki. Szkoda, że go tu nie ma, taka sprawa byłaby w sam raz dla niego.

— W sam raz?

— Psychologia — rzekł Battle. — Prawdziwa psychologia, a nie te niedopieczone bzdury, uważane przez niektórych za psychologię. — Z urazą przypomniał sobie pannę Amphrey i jej „psychologiczne” podejście do Sylvii, jego córki. — Nie, chodzi o prawdziwą, autentyczną znajomość rzeczy. Dać mordercy się wygadać — to jego specjalność. Mawia, że każdy musi prędzej czy później powiedzieć prawdę, bo to w sumie łatwiej niż kłamać. I taki delikwent przemyca w tym, co mówi, jedno czy drugie ziarenko prawdy, myśląc, że to go nie wyda, a wtedy go mamy.

— Chce wuj pozwolić, żeby Neville Strange sam się pogrzebał?

Battle przytaknął z roztargnieniem i dodał, wyraźnie zirytowany jakimś dylematem:

— Zupełnie nie wiem, dlaczego mi przyszedł do głowy Herkules Poirot i niepokoi mnie to. To było na piętrze. Co takiego tam zobaczyłem, co mi go przywiodło na myśl?

Wejście Neville'a Strange'a zakończyło tę wymianę zdań.

Był blady i zmartwiony, ale znacznie mniej napięty niż przy śniadaniu. Battle przyjrzał mu się badawczo. Jak na człowieka, który wiedział — a musiał wiedzieć,

jeżeli był w ogóle zdolny do jakiegokolwiek procesu myślowego — że na narzędziu zbrodni były jego odciski palców, Neville był niewiarygodnie spokojny, ale nie bezczelny. Wyglądał naturalnie: wstrząśnięty, zmartwiony, wręcz zbolący, ale zdenerwowany tylko odrobinę, co było całkowicie w tej sytuacji zrozumiałe.

Jim Leach zaczął mówić ze swoim miłym wiejskim akcentem z zachodniej Anglii.

— Chcielibyśmy uzyskać od pana odpowiedzi na kilka pytań, panie Strange.

Chodzi nam o to, co pan robił wczoraj wieczorem, a także o wyjaśnienie pewnych faktów. Równocześnie czuję się w obowiązku poinformować pana, że nie musi pan na pytania odpowiadać, jeżeli pan nie chce, a ponadto może pan zażądać obecności swojego adwokata.

Leach odchylił się do tyłu i obserwował efekt swej przemowy.

Reakcja Neville'a była w najlepszym razie umiarkowana.

Albo nie ma pojęcia, ku czemu zmierzamy, albo jest cholernie dobrym aktorem — pomyślał Leach. Głośno powiedział, jako że Neville milczał:

— A więc, panie Strange?

— Oczywiście, panowie, pytajcie, o co chcecie.

— Czy zdaje pan sobie sprawę, że wszystko, co pan powie, zostanie zaprotokołowane i może zostać użyte przeciwko panu w sądzie?

Przez oblicze Neville'a przeniknął grymas irytacji. Spytał ostro:

— Próbujecie mnie panowie zastraszyć?

— Nie, nie, panie Strange. Tylko ostrzec.

Neville wzruszył ramionami.

— Złóżmy to na karb waszej rutyny zawodowej. Proszę kontynuować.

— Czy jest pan gotów zeznawać?

— Nazwijmy to zeznaniem.

— W takim razie: czy zechciałby nam pan zrelacjonować dokładnie wszystko, co pan robił ubiegłego wieczoru i w nocy? Powiedzmy, po kolacji.

— Rzecz jasna. Po kolacji przeszliśmy do salonu. Podano kawę. Słuchaliśmy radia: wiadomości i te pe. Potem przyszło mi do głowy, żeby przejść się do hotelu Easterhead Bay i spotkać się z pewnym gościem, który tam mieszka, moim znajomym.

— Jak nazwisko znajomego?

— Latimer. Edward Latimer.

— Przyjaciół?

— O tyle, o ile. Tutaj widywaliśmy się z nim ostatnio dosyć często. Przychodził na lunch, na kolację, myśmy byli u niego.

Battle rzekł:

— Raczej późno, nie sądzi pan, na wizytę w Easterhead Bay?

— Och, to raczej rozrywkowe miejsce. Otwarte okrągłą dobę.

— Ale w tym domu chodzi się spać raczej wcześniej?

— Na ogół tak. Miałem ze sobą klucz od zatrasku — żeby nie musiał nikogo budzić.

— Pańska małżonka nie chciała wybrać się z panem?

Ton głosu Neville'a zmienił się trochę, jakby zesztywniał.

— Nie, bolała ją głowa. Poszła wcześniej spać.

— Proszę kontynuować, panie Strange.

— Poszedłem na górę, żeby się przebrać.

Leach się wtrącił.

— Niech pan wybaczy, panie Strange. W co się miał pan przebrać? Założyć czy zdjąć strój wieczorowy?

— Ani jedno, ani drugie. Byłem w granatowym garniturze, najlepszym, jaki tu mam, ale ponieważ padało, a miałem zamiar przeprowić się promem, a potem iść piechotą, a jest to jakieś pół mili, więc przebrałem się w gorszy garnitur, szary w prążki, skoro życzy pan sobie aż takich szczegółów.

— Chcielibyśmy tylko mieć jasny obraz sytuacji — wyjaśnił grzecznie Leach. — Proszę kontynuować.

— A więc, jak mówiłem, szedłem na górę, kiedy zatrzymała mnie Barrett i powiedziała, że lady Tresilian chce się ze mną widzieć. Poszedłem więc do niej i trochę sobie pogawędziliśmy.

Battle łagodnie zauważył:

— Był pan, zdaje się, ostatnią osobą, która ją widziała żywą, czy tak, panie Strange?

Na twarzy Neville'a wykwitł rumieniec.

— Tak, tak, być może. Nic niepokojącego nie zauważyłem.

— Jak długo zabawił pan w jej pokoju?

— Jakieś dwadzieścia minut, może pół godziny. Potem udałem się do swojego pokoju, zmieniłem garnitur i wyszedłem. Wziąłem ze sobą klucz.

— Która to mogła być godzina?

— Wydaje mi się, że około wpół do jedenastej. Pobiegłem szybko na przystań i ledwie złapałem prom, potem poszedłem do Easterhead. Znalazłem Latimera w hotelu, wypiliśmy jednego czy dwa drinki i pograliśmy w bilard. Czas minął tak szybko, że nie zauważyłem, kiedy uciekł mi ostatni prom. Odchodzi o pierwszej trzydzięci. Na szczęście Latimer zaproponował, że odwiezie mnie samochodem. Wie pan, trzeba jechać dookoła, przez Saltington, to jest szesnaście mil. Wyjechaliśmy z hotelu około drugiej, a byliśmy tu około wpół do trzeciej. Podziękowałem Tedowi Latimerowi, zaprosiłem go tu na drinka, ale odmówił, chciał wracać prosto do domu, więc otworzyłem drzwi i poszedłem prosto do łóżka. Nie widziałem ani nie słyszałem nic złego. Cały dom spał spokojnie. Potem rano usłyszałem krzyki tej dziewczyny i...

Leach mu przerwał.

— Dobrze, dobrze. Ale cofnijmy się trochę. Do pańskiej rozmowy z lady Tresilian.

Czy zachowywała się normalnie?

— Ach, tak. Absolutnie.

— O czym państwo rozmawialiście?

— O niczym szczególnym.

— Raczej przyjaźnie?

Nevile zarumienił się.

— Oczywiście.

— A nie wybuchła, na przykład — gładko wtrącił Leach — jakaś gwałtowna kłótnia?

Nevile nie odpowiedział od razu. Leach ciągnął:

— Niech pan lepiej powie prawdę. Stawiam sprawę uczciwie: fragmenty pańskiej rozmowy zostały podsłuchane.

— Wywiązała się drobna różnica zdań. Nic takiego — krótko odparł Nevile.

— Na jakim tle?

Nevile opanował się z wysiłkiem. Uśmiechnął się.



— Uczciwie mówiąc, zbesztala mnie. Miała taki zwyczaj. Jak coś się jej nie podobało, waliła prosto z mostu. Była staroświecka i nie bardzo przyjmowała współczesne przemiany, nie akceptowała dzisiejszych obyczajów, rozumie pan, rozwód, tego typu sprawy. Spieraliśmy się i, zdaje się, trochę się zagalopowałem, ale rozstaliśmy się w zgodzie, pozostając przy swoich zdaniach. — Potem dodał z pewnym podnieceniem: — Zapewniam, że nie rozwaliłem jej głowy, straciwszy panowanie nad sobą w czasie kłótni, jeśli coś takiego panom przychodzi do głowy.

Leach rzucił okiem na Battle'a. Ten pochylił się do przodu i oparł ciężko o stół.

— Rozpoznał pan dziś tamten kij golfowy jako swoją własność. Jak może pan wyjaśnić fakt, że znaleziono na nim pańskie odciski palców?

Nevile wytrzeszczył oczy. Powiedział ostro:

— Ja... oczywiście, że muszą tam być moje odciski, to mój kij, często go miałem w rękach.

— A jak pan wyjaśni to, co wynika z badania odcisków — że to pan był ostatnią osobą, która go trzymała w ręku?

Nevile zaniemówił. Z twarzy odpłynęła mu cała krew.

— To nieprawda — wykrztusił w końcu. — To niemożliwe. Ktoś go musiał wziąć do ręki. W rękawiczkach.

— Nie, panie Strange. Nikt nie mógł go chwycić tak, jak byłoby to konieczne, żeby zamachnąć się nim i uderzyć. Zatarłoby to pańskie odciski.

Cisza, która zapadła, przedłużała się.

— O, Boże — rzekł wreszcie Neville stłumionym głosem i zadrżał. Ukrył twarz w dłoniach.

Obaj policjanci przypatrywali mu się uważnie.

Opuścił dłonie. Wyprostował się.

— To nieprawda — powiedział spokojnie. — Po prostu nieprawda. Myślicie, że ją zabiłem, ale ja tego nie zrobiłem. Przysięgam, że nie. To jakaś koszmarna pomyłka.

— Nic pan nie wie, co mogłoby wyjaśnić sprawę tych odcisków palców?

— A skąd mam wiedzieć? Jestem całkowicie zagubiony.

— A jak wyjaśni nam pan fakt, że rękawy pańskiego granatowego garnituru są całe we krwi?

— Krew!?! — wyszeptał z osłupieniem. — Niemożliwe!

— Czy przypadkiem pan się nie skaleczył?

— Nie, oczywiście, że nie.

Czekali chwilę.

Nevile Strange, marszcząc czoło, zastanawiał się. Kiedy podniósł na nich wzrok, w jego oczach było przerażenie.

— To coś niepojętego. Kompletnie niepojętego. W tym nie ma ani krzty prawdy.

— Fakty nie podlegają dyskusji — rzekł nadkomisarz Battle.

— Ale po co miałbym to zrobić? To nie do pomyślenia, nie do wiary. Znałem Camillę od urodzenia.

Leach kaszlnął.

— Wydaje mi się, że mówił nam pan, panie Strange, że po jej śmierci dziedziczy pan sporo pieniędzy?

— Myślicie, że dlatego... Ale ja nie chcę pieniędzy. Ja ich nie potrzebuję.

— Tak pan twierdzi — odparł Leach, pokaślując.

Nevile poderwał się.

— Niech pan posłucha. Mogę udowodnić, że nie trzeba mi pieniędzy. Pozwólcie mi zadzwonić do dyrektora mojego banku, porozmawiajcie z nim sami.

Połączenie z Londynem udało się uzyskać szybko. Słysząc było wyraźnie i czysto.

— Halo, czy to pan Ronaldson? Mówi Neville Strange. Zna pan mój głos. Proszę posłuchać, oddaję słuchawkę policjantowi, tak, jest tutaj, proszę udzielić mu wszelkich informacji o moim stanie majątkowym, tak, tak, wszelkich. Proszę.

Leach wziął słuchawkę. Mówił spokojnie. Zadawał kolejne pytania, wysłuchiwał odpowiedzi.

Wreszcie zakończył rozmowę. Powiedział rzeczowo:

— Ma pan poważną sumę na koncie i bank zajmuje się wszystkimi pańskimi inwestycjami. Twierdzą, że stoją dobrze i przynoszą regularne dochody.

— Widzicie, że mówiłem prawdę.

— Na to wygląda. Ale, panie Strange, może ma pan jakieś zobowiązania, długi, może jest pan szantażowany. Może być jeszcze wiele nie znanych nam przyczyn, dla których potrzebuje pan pieniędzy.

— Ale ja nie potrzebuję. Zapewniam panów. Nic takiego nie znajdziecie.

Nadkomisarz Battle uniósł swoje ciężkie ramiona. Przemówił miłym ojcowskim tonem.

— Mamy dość dowodów, sam pan musi przyznać, żeby wystąpić o nakaz aresztowania pana. Jeszcze tego nie zrobiliśmy. Zgodnie z zasadą, że wątpliwości przemawiają na korzyść oskarżonego.

— Jesteście pewni, że ja to zrobiłem, prawda? I szukacie tylko niewątpliwego motywu, żeby mnie zamknąć? — powiedział Neville z goryczą.

Battle milczał. Leach popatrzył w sufit.

W głosie Neville'a pobrzmiwała nuta rozpaczy:

— To jest jak jakiś koszmarny sen. Nic nie mogę zrobić ani powiedzieć. Jakbym... jakbym był w pułapce, z której nie można się wydostać.

Nadkomisarz Battle poruszył się. W oczach pod półprzymkniętymi powiekami pojawił się błysk inteligencji.

Jak on to ładnie ujął — pomyślał. — Naprawdę, bardzo ładnie. To mi nasuwa pewien pomysł...

6

Sierżant Jones sprytnie wyprowadził Neville'a przez hol, a Kay wprowadził przez drzwi tarasowe, tak że nie mogli się porozumieć.

— Porozmawia z innymi — zauważył Leach.

— Tym lepiej — powiedział Battle. — Tylko tę małą chcę wziąć na spytki, zanim dowie się czegokolwiek.

Dzień był pochmurny i wietrzny. Kay ubrana była w tweedową spódnicę i fioletowy sweter, przy którym jej włosy wyglądały jak wypolerowana miedź. Sprawiała wrażenie trochę przestraszonej i odrobinę podekscytowanej. Jej uroda i żywotność rozkwitały na tle wiktoriańskich mebli i książek.

Leach bez trudności uzyskał jej wersję wydarzeń poprzedniego wieczoru: bolała ją głowa i wcześniej położyła się spać, około piętnaście po dziewiątej. Spała mocno do rana i nic nie słyszała.

Do przesłuchania włączył się Battle.

— Czy małżonek zajrzał do pani, zanim wyszedł wieczorem?

— Nie.

— Nie widziała go pani od momentu, kiedy opuściła pani salon, aż do rana. Czy tak?

Kay przytaknęła. Battle potarł szczękę.

— Pani Strange, drzwi między waszymi pokojami były zamknięte na klucz. Kto je zamknął?

— Ja.

Battle nic nie rzekł. Czekał. Czekał jak stary kocur na mysz, która prędzej czy później wychyli się ze swej dziury.

Jego milczenie przyniosło efekt, którego nie uzyskałby pytaniami. Kay wybuchnęła gwałtownie:

— Ech tam, i tak w końcu się wszystkiego dowiecie! Ten stary trzęsący się Hurstall musiał nas słyszeć wczoraj po południu i wszystko wygada, jeśli ja tego nie zrobię. Może już wam powiedział. Pożarliśmy się z Neville'em nie na żarty. Cholera mnie na niego wzięła. Poszłam do łóżka i zamknęłam drzwi na klucz, bo wciąż mnie trzęsło ze złości.

— Rozumiem, rozumiem — powiedział Battle z największym współczuciem w głosie, na jakie go było stać. — A o co poszło?

— Czy to ważne? Zresztą powiem panom, nic mnie to nie obchodzi. Neville zachowuje się jak kompletny idiota. Ale to wszystko jej wina.

— Czyja?

— Jego byłej żony. Po pierwsze, zwabiła nas tutaj.

— Myśli pani, że po to, żeby panią poznać?

— Tak. Neville'owi zdaje się, że to jego własny pomysł, naiwniaczek. Ale to jej robota. Nigdy mu nic takiego nie przyszłoby do głowy, gdyby nie spotkał jej któregoś dnia w parku i gdyby mu tego sprytnie nie podsunęła. On w to wierzy, to znaczy w to, że to jego pomysł, ale ja od początku czułam w tym rękę Audrey.

— Po co miałyby to robić? — spytał Battle.

— Bo chce go odzyskać — wyrzuciła Kay. Mówiła szybko, ciężko dysząc. — Nigdy mu nie wybaczyła, że ją porzucił dla mnie. To jej zemsta. Zaaranżowała ten wspólny pobyt i od razu wzięła się za niego. Jest cwana. Wie, jak wyglądać na skrzywdzoną i zarazem nieuchwytną, o tak. I wie, jaką kartą zagrać, żeby wzbudzić zazdrość. Załatwiła w tym samym czasie przyjazd tego jej starego adoratora,

wiernego jak pies, Thomasa Royde'a. Udaje, że chce się za niego wydać, co Neville'a doprowadza do szału.

Przerwała, prawie dławiąc się ze złości. Battle przemówił łagodnie:

— Myślałbym raczej, że będzie zadowolony, że ona... hm... znajdzie szczęście ze starym znajomym.

— On? Zadowolony?! Jest zazdrosny jak diabli!

— Czyżby się w niej kochał?

— Tak, a jakże — rzekła Kay z goryczą. — Już ona o to zadbała.

Battle pocierał palcem szczękę.

— Mogła się pani sprzeciwić tej wizycie.

— Jak? Wyszłoby na to, że jestem zazdrosna!

— No, tak. Ale przecież była pani zazdrosna, prawda?

Kay oblała się rumieńcem.

— Zawsze! Zawsze byłam zazdrosna o Audrey. Od samego początku albo prawie od początku. Czułam ją zawsze gdzieś obok. Tak jakbym mieszkała w jej domu, a nie w swoim własnym. Nie podobały mi się kolory w pokojach i pozmieniałam wystrój, ale to nie pomogło! Czułam ją, skradała się wokół mnie jak szary duch. Wiedziałam, że Neville uważa, że potraktował ją źle. Nie potrafił zapomnieć, zawsze była obecna w jego myślach jak wyrzut sumienia. Zdarzają się tacy ludzie.

Wyglądają bezbarwnie i niezbyt interesująco, ale nie można o nich zapomnieć.

Battle ze zrozumieniem pokiwał głową. Powiedział:

— No, cóż, dziękuję pani, pani Strange. To na razie wszystko. Musimy zadawać, hm, wiele pytań, zwłaszcza że pani mąż dziedziczy tyle pieniędzy po lady Tresilian. Pięćdziesiąt tysięcy...

— To aż tyle? Właściwie to pieniądze z testamentu starego sir Matthew, prawda?

— Czy pani jest zorientowana w szczegółach?

— Ach tak. Przypadają Nevile'owi i jego żonie, ale dopiero po śmierci lady Tresilian. Oczywiście, wcale się nie cieszę, że ta starowinka nie żyje. Nie lubiłam jej, co prawda, chyba dlatego, że i ona nie lubiła mnie, ale to straszne, że jakiś bandzior rozwalił jej głowę...

Wyszła. Battle spojrzał na Leacha.

— Co o niej sądzisz? Ładna bestyjka, rzekłbym. Łatwo można dla takiej stracić głowę.

Leach zgodził się.

— Ale nie wygląda na damę — dał wyraz swoim wątpliwościom.

— Dzisiejsze dziewczyny takie już są. To co, zajmiemy się teraz panią Strange numer jeden? Albo nie, najpierw poprośmy pannę Aldin, a trzecim wierzchołkiem tego małżeńskiego trójkąta zajmiemy się potem.

Mary Aldin, opanowana, weszła i usiadła. Z jej pozornie spokojnych oczu wyzierała jednak obawa.

Na pytania Leacha odpowiadała jasno. Jej zeznania potwierdzały to, co mówił Neville. Poszła spać około dziesiątej.

— Czy pan Strange był wtedy u lady Tresilian?

— Tak. Słyszałam ich głosy, gdy rozmawiali.

— Rozmawiali czy kłócili się?

Zaczerwieniła się, ale odpowiedziała spokojnie:

— Wie pan, lady Tresilian uwielbiała dyskutować. Czasami komuś, kto jej nie znał, mogło się wydawać, że ma o coś pretensję, ale to tylko pozory. Owszem, była apodyktyczna i lubiła dominować, a mężczyźni gorzej to znosili niż kobiety.

— Jak pani, na przykład.

Spojrzał na jej inteligentną, myślącą twarz. Przerwała milczenie.

— Nie chcę udawać głupiej, ale wydaje mi się nie do wiary, żebyście panowie posadzali kogoś z domowników. Dlaczego nie podejrzewacie kogoś z zewnątrz?

— Z wielu powodów, panno Aldin. Po pierwsze, nic nie zginęło i nie ma śladów włamania. Nie muszę chyba przypominać pani geografii terenów wokół Gull's Point i rozkładu samego domu, ale proszę to mieć na uwadze. Na zachodzie klifowe urwisko ciągnie się aż do samego morza; na południu trochę terenu schodzącego tarasowato ogrodzone jest murem, z urwiskiem poniżej; na wschodzie ogród schodzi w dół łagodnie aż do brzegu morza, ale z tamtej strony jest wysoki mur. Jedyna droga dojścia — to małe drzwi boczne, które rano — jak zwykle — były zamknięte na zasuwę, oraz wejście główne. Nie twierdzę, że nikt nie mógł przejść przez mur ani że nie można było dorobić klucza do drzwi wejściowych, ale — jak dotąd — nic na to nie wskazuje. Kimkolwiek był zbrodniarz, wiedział, że Barrett pija co wieczór

ziółka na trawienie, wiedział, gdzie stoją w szklance, a to znaczy, że musiał to być ktoś z domowników. Kij golfowy wzięto ze schowka pod schodami. To nie był nikt z zewnątrz, panno Aldin.

— To nie był Neville! Jestem pewna, że to nie on!

— Skąd ta pewność?

Rozłożyła bezradnie ręce.

— Stąd, że to do niego niepodobne! Neville nie mógłby zabić bezbronnej starej kobiety w łóżku!

— To rzeczywiście nie wygląda zbyt prawdopodobnie — zgodził się rozsądnie Battle — ale zapewniam, że byłaby pani zdumiona tym, do czego są zdolni ludzie, jeżeli mają tylko dość powodów. Pan Strange mógł gwałtownie potrzebować pieniędzy.

— Z pewnością nie. Nie jest rozrzutny i nigdy nie był.

— On nie, ale jego żona...

— Kay? Ona może tak, ale to przecież bzdura. Jestem pewna, że pieniądze to ostatnia rzecz, o której Neville ostatnio myślał.

Nadkomisarz Battle zakasłał znacząco.

— Czy mam z tego wnosić, że miał jakieś inne kłopoty?

— Kay już pewnie panom powiedziała? Tak, były trudności. Niemniej jednak nie ma to nic wspólnego z tą straszną sprawą.

— Raczej nie, ale tak czy owak, chciałbym usłyszeć, jak to wyglądało z pani punktu widzenia, panno Aldin.

— No, więc, jak mówię... zaistniała trudna sytuacja. Czyj to był pomysł...

— Zrozumiałem, że był to pomysł pana Neville'a Strange'a...

— On tak twierdzi.

— A pani w to powątpiewa?

— Ja... nie... to jakoś nie pasuje do Neville'a. Miałam wrażenie, że podsunął mu to ktoś inny.

— Może pani Audrey Strange?

— To też wydaje mi się nieprawdopodobne.

— A więc kto mógłby to być? Mary bezradnie rozłożyła ręce.

— Nie wiem. Ta sprawa jest bardzo dziwna.

— Dziwna... — powtórzył Battle z namysłem. — I mnie się tak wydaje. Dziwne.

— Wszystko było dziwne. Panowała jakaś taka atmosfera... Nie potrafię nawet tego opisać. Coś wisiało w powietrzu. Jakaś groźba.

— Wszyscy byli napięci do ostateczności?

— Właśnie. Wszystkim nam to dolegało. Nawet pan Latimer... — przerwała.

— Właśnie miałem przejść do pana Latimera. Co mi pani, panno Aldin, może powiedzieć o panu Latimerze? Kim jest pan Latimer?

— Hm, prawdę mówiąc, niewiele o nim wiem. To jakiś znajomy Kay.

— Znają się od dawna?

— Tak, to jej znajomy jeszcze z panięskich czasów.

— Pan Strange go lubił?

— Wydaje mi się, że raczej tak.

— To nie tu był problem?

Battle starał się sondować delikatnie. Zdecydowana odpowiedź Mary przyszła natychmiast:

— Na pewno nie!

— Czy lady Tresilian darzyła go sympatią?

— Nie bardzo.

Battle usłyszał w jej głosie lekkie ostrzeżenie i zmienił temat.

— Teraz chciałbym spytać o tę pokojówkę, Jane Barrett. Od jak dawna służyła u lady Tresilian? Uważają pani za godną zaufania?

— Bezwzględnie. Była bardzo przywiązana do lady Tresilian. Battle odchylił się na krześle.

— W każdym razie nie brała pani pod uwagę, nawet na moment, możliwości, że to Barrett zabiła lady Tresilian, a potem wzięła narkotyki, żeby uniknąć podejrzeń?

— W żadnym wypadku. Po co, na litość boską, miałyby to zrobić?

— Jest zapis w testamencie na jej rzecz, rozumie pani.

— Na moją rzecz jest także — rzekła Mary Aldin.

Patrzyła na niego bez mrugnięcia okiem.

— Tak — rzekł Battle. — Na pani rzecz także. Czy wie pani, ile pani dostanie?

— Pan Trelawny już przyjechał. Powiedział mi.

— Przedtem pani nie wiedziała.



— Nie. Pewnie, liczyłam, że lady Tresilian zapisze mi coś, ona sama zresztą o tym wspominała. Mój własny majątek jest więcej niż skromny, wie pan. Nie wyżyłabym z tego, nie pracując. Podejrzywałam, że lady Tresilian zostawi mi nie mniej niż sto funtów rocznie, ale ma jeszcze jakichś kuzynów i nie miałam pojęcia, jak chciała zadysponować swoimi pieniędzmi. Wiedziałam oczywiście, że zasadnicza część majątku przechodzi na Neville'a i Audrey.

Kiedy wyszła, Leach powiedział:

— A więc nie wiedziała, co zapisała jej lady Tresilian. A przynajmniej tak mówi.

— Tak przynajmniej mówi. No, a teraz kolej na pierwszą żonę Sinobrodego.

7

Audrey miała na sobie jasnoszary flanelowy kostium. Wyglądała w nim trochę jak istota nie z tego świata i Battle zaraz przypomniał sobie słowa Kay o „skradającym się szarym duchu”.

Na pytania odpowiadała z prostotą i bez śladu emocji.

Tak jest, poszła spać o dziesiątej, tak samo jak panna Aldin. Nic nie widziała i nie słyszała.

— Proszę mi wybaczyć, że wtrącam się w pani prywatne sprawy — usprawiedliwił się Battle — ale czy mogłaby mi pani wyjaśnić, jak to się stało, że znajduje się pani tutaj, w tym domu?

— Przyjeżdżam tu co roku o tej porze. W tym roku mój... mój były mąż postanowił przyjechać w tym samym terminie i pytał mnie, czy nie mam nic przeciwko temu.

— Więc to wyszło od niego?

— Tak.

— Nie od pani?

— Ależ nie.

— Ale pani się zgodziła?

— Tak, zgodziłam się... Wydawało mi się, że nie bardzo mogę odmówić.

— Dlaczego nie, pani Strange?

— Nie wypada robić komuś na złość — odparła wymijająco.

— Czy to pani była stroną pokrzywdzoną?

— Przepraszam?

— Rozwód był z winy męża?

— Tak.

— Czy pani... proszę mi wybaczyć, czy pani żywi do niego urazę?

— Nie, nie, ani trochę.

— Jest pani wyrozumiała z natury, pani Strange...

Nie odpowiedziała. Tym razem milczenie nadkomisarza nie przyniosło takiego efektu jak w przypadku Kay. Audrey siedziała, nic nie mówiąc, i nie zdradzała żadnych oznak zakłopotania. Battle dał za wygraną.

— Czy jest pani pewna, że to nie był pani pomysł? Chodzi mi o to spotkanie tutaj.

— Całkiem pewna.

— Czy jest pani w przyjacielskich stosunkach z aktualną żoną pana Strange'a?

— Ona chyba za mną nie przepada.

— A pani?

— Lubię ją. Jest taka piękna.

— No, cóż, dziękuję pani, to wszystko.

Wstała i podeszła do drzwi. Zawahała się i wróciła.

— Chciałam tylko powiedzieć... — mówiła szybko i nerwowo. — Wy myślicie, że to Neville zabił ją z powodu pieniędzy. Ja jestem przekonana, że to niemożliwe. Wiem to na pewno. Byłam jego żoną przez osiem lat, rozumiecie. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby mógł zabić kogokolwiek w ten sposób, dla pieniędzy, to... to po prostu nie mógł być Neville. Wiem, że to, co mówię, nie ma żadnej wartości jako dowód, ale naprawdę chciałabym, żebyście w to uwierzyli.

Odwróciła się i spieszenie opuściła pokój.

— I co o niej sądzić? — zapytał Leach. — Jeszcze nie widziałem kogoś tak... wypranego z emocji.

— Nic po sobie nie pokazuje — rzekł Battle. — Ale w środku, w środku coś się kłębi, coś bardzo silnego. I nie wiem, co to może być...

8

Jako ostatni poproszony został Thomas Royde. Usiadł, poważny, sztywny, mrugając oczami jak sowa.

Przyjechał z Malajów — po raz pierwszy od ośmiu lat. Od czasów chłopięcych bywał w Gull's Point. Pani Audrey Strange jest jego daleką kuzynką, wychowywała

się w jego domu od dziewiątego roku życia. Dochodziła jedenasta, kiedy udał się na spoczynek poprzedniego wieczoru. Owszem, słyszał, jak pan Strange wychodził, ale go nie widział. Neville wyszedł mniej więcej dwadzieścia po dziesiątej, może trochę później. W nocy spał i nic nie słyszał. Gdy odkryto zwłoki lady Tresilian, był już na nogach i spacerował po ogrodzie. Tak, zawsze wstaje wcześniej.

Zapadła cisza.

— Panna Aldin poinformowała nas, że w domu panowała napięta atmosfera. Czy pan to także zauważył?

— Raczej nie. Nie zwracam uwagi na takie rzeczy.

To kłamstwo — pomyślał Battle. — Zwracasz uwagę na wiele rzeczy. Bardzo wiele.

Nie, nie sądzi, żeby Neville Strange był w jakichkolwiek kłopotach finansowych. Nic na to nie wskazywało. Ale niewiele wie o sprawach pana Strange'a.

— Czy pan dobrze zna drugą żonę pana Strange'a?

— Spotkałem ją tu po raz pierwszy.

Battle postanowił wyciągnąć ostatni atut.

— Być może wie pan, panie Royde, że na narzędziu zbrodni znaleziono odciski palców pana Neville'a Strange'a. Poza tym znaleźliśmy krew na rękawach marynarki, którą miał na sobie wczoraj.

Przerwał.

Royde kiwnął głową.

— Mówił nam o tym — wymamrotał.

— Pytam pana otwarcie: czy uważa pan, że on to zrobił?

Thomas Royde nie lubił pośpiechu. Czekał całą minutę, a to bardzo dużo czasu, zanim odpowiedział:

— Nie wiem, dlaczego mnie o to pytacie. To nie moja sprawa, tylko wasza.

Osobiście powiedziałbym, że to bardzo mało prawdopodobne.

— A kto, pana zdaniem, byłby bardziej odpowiedni do tej roli?

Thomas pokręcił głową.

— Jedyna osoba, która mogłaby być do tego zdolna, nie miała możliwości tego zrobić. Tak to wygląda.

— A kogo pan ma na myśli?

Ale Thomas Royde pokręcił głową zdecydowanie.

— Nie mogę powiedzieć. To moja prywatna opinia.

— Pańskim obowiązkiem jest ułatwiać zadanie policji.

— Mogę podać każdy fakt. A to nie jest fakt. Jedynie mgliste przeczucie. A poza tym, i tak było to niemożliwe.

— Niewiele się z niego dało wyciągnąć — stwierdził Leach, kiedy Royde wyszedł. Battle zgodził się z nim.

— To prawda, niewiele. Coś mu chodzi po głowie, coś konkretnego. Chciałbym wiedzieć, co. To bardzo szczególna zbrodnia, Jim, mój chłopcze.

Zadzwoił telefon, zanim Leach zdążył cokolwiek powiedzieć. Podniósł słuchawkę i zaczął rozmawiać. Słuchał parę minut, po czym rozłączył się.

— Krew na rękawie marynarki to krew ludzka i ma tę samą grupę, co krew lady T. Wygląda na to, że Neville wpadł jak śliwka w kompot...

Battle, który podszedł tymczasem do okna, zajęty był obserwowaniem czegoś na zewnątrz.

— Ale przystojniaczek tu idzie — zauważył. — Przystojniak, ale rzekłbym, źle mu z oczu patrzy. Szkoda, że pan Latimer, bo to chyba on, był wczoraj w Easterhead Bay. To taki typ, co dałby w głowę własnej babce, gdyby liczył, że ujdzie mu to na sucho i że coś mu z tego kapnie.

— No cóż, tutaj na nic nie mógł liczyć — powiedział Leach. — Nic nie skorzysta na śmierci lady T. — Telefon znów zadzwonił. — Do diabła z tym telefonem. Co tam znowu?

Podszedł do aparatu.

— Halo! Ach, to pan, doktorze. Co? Była u niej? Co? Co?!! Odwrócił się. — Wuju, chodź tu i posłuchaj.

Battle wziął słuchawkę. Słuchał jak zwykle z kamienną twarzą. Szepnął do Leacha:

— Dawaj tu Neville'a Strange'a, Jim.

Zanim odłożył słuchawkę, Neville już czekał.

Błady i wyczerpany wpatrywał się w nadkomisarza Scotland Yardu, próbując wyczytać coś z jego kamiennej twarzy.

— Panie Strange — zaczął Battle — czy zna pan kogoś, kto zdecydowanie pana nie lubi?

Nevile wlepił w niego wzrok i pokręcił głową.

— Na pewno? — naciskał dalej Battle. — Chodzi mi o kogoś, kto naprawdę czuje do pana głęboką nienawiść.

Nevile wyprostował się, jakby kij połknął.

— Nie, z pewnością, nie.

— Niech pan pomyśli, panie Strange. Czy nie ma nikogo, kogo pan skrzywdził w jakiś sposób?

Nevile zaczerwienił się.

— Jest ktoś taki, ale ona nie żywi do mnie urazy. Moja pierwsza żona, którą porzuciłem dla innej kobiety. Ale mogę pana zapewnić, że ona mnie nie nienawidzi. Ona... ona jest aniołem.

Nadkomisarz pochylił się w jego kierunku.

— Niech pan posłucha, panie Strange, jest pan w czepku urodzony. Nie chcę powiedzieć, że podobały mi się dowody przeciwko panu, co to, to nie. Ale były! Były na tyle niepodważalne, że można było pana na ich podstawie powiesić, chyba że sąd obdarzyłby pana szczególną sympatią.

— Mówi pan tak, jakby to już nie było aktualne.

— Bo nie jest — odparł Battle. — Jest pan uratowany, panie Strange, i to przez czysty przypadek.

Nevile spojrzał pytająco.

— Kiedy pan wyszedł wczoraj od lady Tresilian, ona zadzwoniła na pokojówkę. Obserwował, jak Nevile to przyjmuje.

— Kiedy wyszedłem... I Barrett ją widziała...

— Tak. Żywą i w dobrym zdrowiu. Barrett widziała także, jak pan wychodził, zanim poszła do swojej pani.

Nevile powiedział:

— Ale ten kij golfowy, moje odciski palców...

— Nie została uderzona tym kijem. Doktorowi Lazenby od razu się to nie podobało. Zauważyłem to. Została zabita innym narzędziem. Ten kij został tam podłożony specjalnie, żeby skierować podejrzenia na pana. To mógł być ktoś, kto

podszluchał waszą kłótnię, więc wybrał pana jako odpowiedniego kandydata na kozła ofiarnego, a może...

Przerwał i powtórzył swoje pierwsze pytanie:

— Kto w tym domu pana nienawidzi, panie Strange?

9

— Mam do pana pytanie, doktorze — rzekł Battle.

Siedzieli w domu u doktora po powrocie ze szpitala, gdzie krótko przesłuchiwali Jane Barrett.

Barrett była osłabiona i wyczerpana, ale jej zeznanie nie pozostawiało żadnych wątpliwości.

Kładła się właśnie do łóżka po wypiciu swoich ziółek, kiedy zadzwonił dzwonek. Rzuciła okiem na zegar: była za pięć w pół do jedenastej.

Założyła szlafrok i zeszła piętro niżej. Usłyszała hałas na dole i wyjrzała przez barierkę.

— To wychodził pan Neville. Brał swój płaszcz przeciwdeszczowy z wieszaka.

— W jakim był garniturze?

— W tym szarym w prążki. Był zdenerwowany i zmartwiony. Zarzucił tylko płaszcz na ramiona, byle jak. Wyszedł, trzasnąwszy za sobą drzwiami. Poszłam do pani. Była tak senna, że nie pamiętała, po co na mnie dzwoniła. To jej się, biedaczce, od czasu do czasu zdarzało. Poprawiłam jej poduszki, przyniosłam szklanek świeżej wody i ułożyłam ją wygodnie.

— Nie była ani zdenerwowana, ani przestraszona, ani nic takiego?

— Po prostu zmęczona i tyle. Sama też byłam zmęczona. Ziewałam. Poszłam na górę i od razu zasnęłam.

Tak przedstawiała się relacja Barrett, a jej przerażenie i smutek na wieść o śmierci pani nie budziły najmniejszych wątpliwości.

Poszli do Lazenby'ego do domu i wtedy właśnie Battle zgłosił chęć zadania doktorowi pytania.

— Niech pan pyta — zgodził się Lazenby.

— O której godzinie pana zdaniem zmarła lady Tresilian?

— Mówiłem panu. Między dziesiątą a północą.

— Wiem, co pan mi mówił. Ale nie o to pytam. Pytam o pana prywatne zdanie w tej sprawie.

— Tak poza protokołem, co?

— Tak.

— Dobrze. Myślę, że około jedenastej.

— To chciałem wiedzieć.

— Cieszę się, że mogłem się przydać. A dlaczego?

— Raczej odrzucam możliwość, że została zabita przed dziesiątą dwadzieścia.

Ważmy pod uwagę narkotyki, jaki podano Barrett. Nie mógłby jeszcze zacząć działać. Morderstwo musiało być zaplanowane na dużo późniejszą godzinę, w nocy.

Pasuje mi północ.

— Możliwe. Jedenasta to tylko moja sugestia.

— Ale nie mogło to się stać po północy?

— Nie.

— Nie mogło to być po wpół do trzeciej?

— Wielkie nieba! W żadnym wypadku.

— To zdaje się wykluczać Strange'a definitywnie. Muszę jeszcze tylko sprawdzić, co robił po wyjściu z domu. Jeśli mówi prawdę, to jest czysty jak łąza i trzeba szukać kogoś innego.

— Wśród tych, którzy dziedziczą pieniądze? — podrzucił Jim Leach.

— Może — rzekł Battle. — Ale raczej nie sądzę. Szukam kogoś stukniętego.

— Stukniętego?

— Właśnie. I to paskudnie.

Wyszedłszy od doktora udali się na przystań. Za prom służyła duża łódź wiosłowa, obsługiwana przez dwóch braci: Willa i George'a Barnesów. Bracia Barnesowie znali z widzenia wszystkich mieszkańców Saltcreek, jak również większość gości z Easterhead Bay. George od razu potwierdził, że pan Strange z Gull's Point przeprował się wczoraj wieczorem o wpół do jedenastej. Nie, z powrotem pana Strange'a nie przewoził. Ostatni prom odszedł o wpół do drugiej od strony Easterhead i pana Strange na nim nie było.

Battle spytał, czy zna pana Latimera.

— Latimer? Latimer? Ten wysoki przystojny młody dżentelmen? Ten, co często przeprowia się z Easterhead do Gull's Point? Tak, znam go. Ale nie widziałem go wczoraj. Dziś rano, tak. Właśnie niedawno wracał, poprzednim kursem.

Przeprowili się na drugi brzeg i poszli do hotelu Easterhead Bay.

Tam znaleźli pana Latimera. Ten zaoferował wszelką pomoc.

— Tak, Neville był tu wczoraj wieczorem. Coś go gryzło. Mówił, że ściał się ze starszą panią. Słyszałem, że z Kay też miał przejścia, ale z tego mi się, rzecz jasna, nie zwierzał. W każdym razie był mocno przybity. Wyglądało na to, że przynajmniej raz jest zadowolony z mojego towarzystwa.

— Słyszałem, że nie znalazł pana od razu?

Latimer odparł ostro:

— Zupełnie nie wiem, dlaczego. To jest dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Cały czas siedziałem w sali klubowej. Strange mówił, że mnie tam szukał i nie widział, ale chyba był po prostu rozstrojony i mnie nie zauważył. Może wyszedłem na chwilkę do ogrodu. Wychodzę na powietrze, kiedy tylko mogę. Czuje się tu jakiś zapaszek. Już wczoraj w barze to zauważyłem. Chyba coś się dzieje z kanalizacją. Strange też zwrócił na to uwagę! Obydwaj to czuliśmy. Smród zgnilizny. Może to zdechły szczur pod podłogą.

— Graliście panowie w bilard. A potem?

— Pogadaliśmy, wypiliśmy jednego czy dwa drinki. Potem Neville zawołał: „O, rany, uciekł mi ostatni prom!”, więc mu powiedziałem, że wyprowadzę mój wóz i odwożę go. I tak zrobiliśmy. Byliśmy na miejscu około wpół do trzeciej.

— Pan Strange był z panem cały wieczór?

— No, tak. Spytajcie kogokolwiek. Każdy potwierdzi.

— Dziękujemy panu, panie Latimer. Musimy być bardzo dokładni.

Kiedy zostawili uśmiechniętego i zadowolonego z siebie młodego człowieka, Leach zapytał:

— Co to za pomysł, żeby tak szczegółowo sprawdzać Neville'a Strange'a?

Battle uśmiechnął się. Leach nagle zrozumiał.

— O Boże, ty sprawdzałeś nie Neville'a, tylko tego typka. Masz coś na niego!

— Jeszcze nic na nikogo nie mam. Po prostu chciałem dokładnie wiedzieć, gdzie był i co robił wczorajszej nocy pan Ted Latimer. Wiemy, że od kwadrans po



jedenastej do — powiedzmy — późnych godzin po północy był z Neville'em Strange'em. Ale gdzie był przedtem, kiedy Strange przyszedł, szukał go i nie mógł znaleźć?

Rozpoczęli regularne śledztwo: wśród barmanów, pomocników, kelnerów, boyów, windziarzy. Latimer był widziany w holu między godziną dziewiątą a dziesiątą. W barze pojawił się kwadrans po dziesiątej. Ale między tą godziną, a jedenastą dwadzieścia wydawał się być zupełnie nieuchwytny. W końcu znalazła się pokojówka, która stwierdziła, że pan Latimer był „w jednym z tych gabinetów z panią Beddoes, tą tęgą ziemianką z północy”. Miało to być około godziny jedenastej.

— To załatwia sprawę — rzekł Battle ponuro. — Był tu cały czas. Nie chciał się afiszować ze swoją tłustą a niewątpliwie zamożną damą serca. Musimy wracać do pozostałych: służby, Kay Strange, Audrey Strange, Mary Aldin i Thomasa Royde'a. Jedno z nich zabiło starszą panią, ale które? Gdybyśmy tylko znaleźli właściwe narzędzie zbrodni...

Nieoczekiwanie zatrzymał się i klasnął dłonią w udo.

— Mam! Jim, mój chłopcze, mam! Już wiem, co mi nasunęło myśl o Herkulesie Poirot! Przekąśmy coś na lunch i wracajmy do Gull's Point. Coś ci pokażę.

10

Mary Aldin nie mogła usiedzieć na miejscu. Wychodziła z domu i wracała, to tu, to tam zerwała zwiędły kwiat dalii, wracała do salonu i przestawiała bez sensu wazon.

Z biblioteki dochodził niewyraźny gwar cichych głosów. Siedzieli tam pan Trelawny i Neville. Nigdzie nie było widać Kay i Audrey.

Mary znów wyszła do ogrodu. Wypatrzyła u stóp muru znajomą sylwetkę Thomasa Royde'a, niewzruszenie pykającego swoją fajkę.

— O mój Boże — westchnęła z cichą rezygnacją i usiadła obok niego.

— Czy coś się stało? — spytał.

Mary roześmiała się z nutką hysterii w głosie.

— Nikt oprócz ciebie nie zadałby takiego pytania. W domu morderstwo, a ty pytasz, czy coś się stało.

Lekko zaskoczony Thomas poprawił się:

— Chodzi mi o to, czy wydarzyło się coś nowego?

— Och, wiem, o co ci chodzi. To naprawdę ulga znaleźć kogoś takiego jak ty, niewzruszonego jak opoka.

— A po co się tak wszystkim przejmować?

— Tak, tak. Masz absolutną rację. Nie wiem tylko, jak udaje ci się tego dokonać.

— No, może dlatego, że jestem z zewnątrz.

— Tak, to jasne. Nie czujesz, co to za ulga dla nas wszystkich, kiedy okazało się, że Neville został oczyszczony z zarzutów.

— Oczywiście bardzo się z tego cieszę — odparł Royde.

Mary wzdrygnęła się.

— O mały włos, a zostałyby oskarżony. Gdyby Camilli nie przyszło do głowy zadzwonić na Barrett po jego wyjściu...

Nie dokończyła zdania. Thomas zrobił to za nią.

— Biedny Neville siedziałby w kłopotach po same uszy. Powiedział to z wyraźnym grymasem satysfakcji na twarzy, a zauważywszy wyrzut w jej spojrzeniu, pokręcił głową z lekkim uśmiechem.

— Nie jestem taki bezduszny, ale teraz, kiedy z Neville'em już wszystko w porządku, nie mogę powstrzymać się od uciechy, że trochę nim potrząsnęli. Był zawsze taki cholernie zadowolony z siebie.

— Nie jest taki.

— Może i nie. Może to tylko taka poza. Tak czy owak, dziś rano wyglądał jak zdjęty z krzyża.

— Wyłazi z ciebie zawiść.

— No, w każdym razie teraz już wszystko w porządku. Wiesz, Mary, teraz widać, jaki z tego Neville'a szczęściarz. Komuś innemu mogłoby się nie poszczęścić. Przy takiej kupie dowodów przeciwko...

Mary wzdrygnęła się znowu.

— Nawet nie mów. Wolę myśleć, że niewinni są zawsze chronieni.

— Naprawdę? — ton jego głosu był łagodny.

Mary nagle wybuchnęła:

— Thomas, martwię się. Okropnie się martwię.

— Czym?

— Chodzi o pana Trevesa.

Thomas upuścił fajkę na kamienie. Schylając się, powiedział zmienionym głosem:

— Co z panem Trevesem?

— Tego wieczoru, kiedy nas odwiedził... opowiadał tę historię... o tym małym mordercy! Zastanawiałam się... Czy to była taka sobie historyjka? A może opowiedział ją specjalnie?

— Chodzi ci o to — zaczął Royde z wahaniem — że była skierowana do kogoś konkretnego, kto był w pokoju?

— Tak — wyszeptała.

Thomas rzekł spokojnie:

— Też się nad tym zastanawiałem. Prawdę mówiąc, właśnie o tym myślałem, kiedy tu przyszedł.

Mary przymknęła oczy.

— Próbuję sobie przypomnieć. On to opowiadał, wiesz, jakoś tak z rozmysłem. Prawie na siłę wplótł ją do rozmowy. I powiedział, że rozpoznałby tę osobę wszędzie. Podkreślał to. Jakby już ją rozpoznał!

— Mhm, też do tego doszedłem.

— Ale po co on to zrobił? Co chciał osiągnąć?

— Sądzę, że to miał być rodzaj ostrzeżenia. „Nie próbuj!”

— Uważasz, że pan Treves domyślał się że Camilla ma zostać zabita?

— Nieee. To już byłaby przesada. To mogło być ogólne ostrzeżenie.

— Zastanawiałam się nad tym, czy nie powinniśmy o tym powiedzieć policji?

Thomas poświęcił tej propozycji dłuższy namysł.

— Sądzę, że nie — powiedział w końcu. — Nie wydaje mi się, żeby to miało jakiś związek. Gdyby Treves żył, mógłby im coś powiedzieć.

— Ale nie żyje! — zadrżała. — Dziwna sprawa, Thomas, z tą jego śmiercią.

— Atak serca. Miał słabe serce.

— Chodzi mi o tę tajemniczą sprawę z zepsutą windą. Nie podoba mi się to.

— Ani mnie — rzekł Thomas Royde.

11

Nadkomisarz Battle rozejrzał się po sypialni. Łóżko było zaścielone, Poza tym nic w pokoju nie uległo zmianie. Kiedy oglądał go po raz pierwszy, było w nim czysto i schludnie. Teraz też było czysto i schludnie.

— To jest to — nadkomisarz Battle wskazał na staroświecką kratę z żeliwa stojącą przed kominkiem. — Czy nic cię nie zastanawia w tej kratce?

— Musi być sporo roboty z jej czyszczeniem — odparł Jim Leach. — Jest ładnie utrzymana. Nic dziwnego w niej nie widzę, z wyjątkiem... tak, z wyjątkiem tego, że ta ozdobna gałka z lewej strony bardziej błyszczy niż ta z prawej.

— To właśnie nasunęło mi myśl o Herkulesie Poirot. Wiesz, że miał lekkiego bzika na punkcie symetrii. Jej brak wyprowadzał go z równowagi. Musiałem nieświadomie pomyśleć: „To by zaniepokoiło starego Poirota” i dlatego zacząłem o nim mówić. Weź swój zestaw do zdejmowania odcisków palców, Jones, popatrzymy na te obie gałki.

Za chwilę Jones mógł złożyć raport.

— Na prawej gałce są odciski palców, lewa jest czysta.

— A więc to ta lewa jest podejrzana. Tamte odciski zostawiła na pewno sprzątaczką przy czyszczeniu. Lewa została wytarta jeszcze raz.

— W koszu na śmieci był kawałek papieru ściernego — przypomniał sobie Jones — nie sądziłem, że to może być coś ważnego.

— Bo nie wiedziałeś, czego masz szukać. Teraz uwaga, dam głowę, że ta gałka jest odkręcana, tak... zgadza się.

Jones odkręcił i zważył w ręku gałkę.

— Swoje waży — stwierdził. Leach pochyliwszy się zauważył:

— Na gwincie jest jakaś ciemna plama.

— Nie zdziwię się, jeśli to krew. Ktoś oczyścił gałkę, ale nie zauważył plamki na gwincie. Założę się, o co chcecie, że to jest narzędzie, którym rozbito czaszkę starszej pani. No, teraz już wiemy, czego szukać. Jones, do dzieła, trzeba przeszukać cały dom.

Dał kilka szczegółowych poleceń. Podeszedł do okna i wyjrzał.

— Widzę coś żółtego zaplątanego w bluszczu. Może to następny kawałek łamigłówek. Chyba tak.

12

W holu dopadła nadkomisarza Battle'a Mary Aldin.

— Czy mogę z panem zamienić parę słów, nadkomisarzu?

— Oczywiście, panno Aldin. Wejdziemy tu?

Pchnął drzwi do jadalni. Hurstall już posprzątał po lunchu.

— Chciałabym pana o coś zapytać, nadkomisarzu. Pan chyba nie uważa, nie może pan uważać, że ta okropna zbrodnia została popełniona przez kogoś z nas? To musiał być ktoś z zewnątrz! Jakiś maniak!

— Z tym ostatnim mogę się zgodzić, panno Aldin. Jeśli się nie mylę, maniak to najwłaściwsze słowo na określenie tego zbrodniarza. Ale to nikt z zewnątrz.

Otworzyła szeroko oczy.

— Chce pan powiedzieć, że ktoś z domowników jest szaleńcem?

— Niech pani nie wyobraża sobie kogoś toczącego pianę z ust i dziko przewracającego oczami — rzekł nadkomisarz. — Maniacy są inni.

Najniebezpieczniejsi i najbardziej zbrodniczy szaleńcy mogą wyglądać tak normalnie jak ja czy pani. Zazwyczaj sprawa polega na obsesji. Jedna myśl opanowuje umysł, który stopniowo zostaje opętany. Spotykałem godnych współczucia rozsądnych ludzi, którzy uskarżali się, że są prześladowani, że wszyscy ich szpiegują, spiskują za plecami. Bywają tak przekonywający, że trudno im nie uwierzyć.

— Jestem pewna, że tu nie ma nikogo, kto uważa, że jest prześladowany.

— To był tylko przykład. Są jeszcze inne formy szaleństwa. Ale wiem, że ktokolwiek popełnił tę zbrodnię, był opętany jedną myślą, jedną ideą, która przysłoniła mu wszystko poza nią.

Mary wzdrygnęła się.

— Jest coś, o czym powinnam panu powiedzieć.

Zwięźle zrelacjonowała wizytę pana Trevesa i historię, którą opowiadał przy kolacji. Nadkomisarz okazał zainteresowanie.

— Powiedział, że rozpoznałby tę osobę? A chodziło o kobietę czy mężczyznę?

— Myślałam, że chodzi o chłopca, ale, prawdę mówiąc, pan Treves tego nie określił. Wyraźnie zaznaczył, że nie chce podać szczegółów dotyczących wieku czy płci.

— Ach, tak? To chyba znaczące. I mówił, że jest jakiś wyraźny fizyczny znak szczególny, po którym można bez pomyłki rozpoznać to dziecko zawsze i wszędzie?

— Tak.

— Może blizna? Czy ma tu ktoś bliznę?

Zwrócił uwagę na lekkie wahanie Mary Aldin. W końcu jednak odparła:

— Nie, nie zauważyłam.

— No, no, panno Aldin — uśmiechnął się tajemniczo — zauważyła pani coś. Jeśli mam rację, czy nie sądzi pani, że ja też w końcu zauważę?

Potrząsnęła głową.

— Nie... nie zauważyłam niczego w tym rodzaju.

Widział, że jest zdenerwowana i zakłopotana. Z pewnością jego słowa wzbudziły u niej jakiś oddźwięk. Chciałby wiedzieć, o co chodzi, ale rutyna zawodowa podpowiedziała mu, że teraz nie warto jej naciskać. Wrócił do starego pana Trevesa.

Mary opowiedziała mu o tragicznym wypadku. Battle przesłuchiwał ją dość długo. W końcu rzekł cicho:

— Po raz pierwszy w mojej karierze spotykam się z czymś takim.

— Co pan ma na myśli?

— Nigdy nie sądziłem, że można popełnić morderstwo, wieszając po prostu tabliczkę na drzwiach windy.

Zdumiała się.

— Pan rzeczywiście myśli, że...

— Że to było morderstwo? Bez wątplenia! Szybkie, pomysłowe morderstwo.

Mogło się nie udać, oczywiście, ale udało się.

— Tylko dlatego, że pan Treves wiedział...?

— Tak. Mógł skierować nasze podejrzenia na konkretną osobę w tym domu. A tak... błądzimy po omacku. Ale już mamy światelko i sprawa zaczyna się wyjaśniać. Powiem pani, panno Aldin, to morderstwo zostało zaplanowane z góry, bardzo starannie, do najdrobniejszego szczegółu. I chciałbym, żeby pani sobie dobrze zapamiętała: niech pani nikomu nie wspomina o tym, co mi pani tutaj powiedziała. To ważne. Nikomu, proszę pamiętać.

Mary przytaknęła. Ciągle wyglądała na oszołomioną.

Nadkomisarz Battle wyszedł z jadalni i wrócił do zaplanowanych działań, zakłóconych przez Mary Aldin. Był człowiekiem metodycznym. Zaplanował zdobycie konkretnych informacji i nawet nowy, obiecujący kierunek śledztwa nie mógł wpłynąć na zmianę obranej drogi.

Zapukał do drzwi biblioteki.

— Proszę! — odezwał się głos Neville'a Strange'a.

Battle wszedł i został przedstawiony panu Trelawny'emu, wysokiemu mężczyźnie o dystyngowanym wyglądzie i uważnym spojrzeniu ciemnych oczu.

— Przepraszam, że przeszkadzam, ale nie wszystko jest dla mnie całkiem jasne. Pan, panie Strange, dziedziczy połowę majątku świętej pamięci sir Matthew, a kto dziedziczy drugą?

Nevile zrobił zdziwioną minę.

— Mówiłem panu. Moja żona.

— Tak, ale — Battle odkaszlnął z lekkim zniecierpliwieniem — która żona, panie Strange?

— Ach, rozumiem. Tak, źle się wyraziłem. Pieniądze dziedziczy Audrey, która była moją żoną w chwili sporządzania testamentu. Czy mam rację, panie Trelawny?

Prawnik potwierdził:

— Zapis jest klarowny. Majątek dziedziczą w równych częściach: wychowanek sir Matthew, Neville Henry Strange i jego żona, Audrey Elizabeth Strange, z domu Standish. Rozwód, który potem nastąpił, nie ma na to żadnego wpływu.

— Więc sprawa jest jasna — rzekł Battle. — Rozumiem, że pani Audrey Strange zdaje sobie z tego sprawę?

— Z całą pewnością — rzekł pan Trelawny.

— A aktualna pani Strange?

— Kay? — Neville wyglądał na lekko zdziwionego. — Myślę, że tak. Właściwie niewiele rozmawialiśmy na ten temat...

— Podejrzewam, iż okaże się — powiedział Battle — że ma na ten temat mylne wyobrażenie. Ona myśli, że po śmierci lady Tresilian dziedziczy pan i pańska obecna żona. Tak przynajmniej przedstawiła mi sprawę dziś rano. Przyszedłem tu, żeby się od panów dowiedzieć, jak naprawdę rzecz wygląda.

— Niesamowite — rzekł Neville — ale rzeczywiście może tak być. Teraz, kiedy o tym myślę, przypominam sobie, że Kay powiedziała raz czy drugi: „odziedziczymy tę forszę po śmierci Camilli”. Wtedy sądziłem, że ma na myśli tę połowę, która mi przypada.

— Zdumiewające — stwierdził Battle — jak wielkie niezrozumienie może panować między dwojgiem ludzi, którzy rozmawiają dosyć często na jakiś temat. Każde z nich wychodzi z innego założenia, a żadne nie dostrzega rozbieżności.

— Tak, tak — rzekł Neville bez większego zainteresowania. — To nie ma wielkiego znaczenia, tak czy owak. Nie odczuwamy braków finansowych. Natomiast cieszę się ze względu na Audrey. Nie powodzi się jej najlepiej i to będzie dla niej wielka odmiana.

— Ale przecież chyba przy rozwodzie zasądzone od pana jakieś alimenty? Neville zaczerwienił się. Powiedział ze skrępowaniem:

— Jest jeszcze duma, panie nadkomisarzu. Audrey konsekwentnie odmawiała przyjęcia nawet tych pieniędzy, które jej sam zaoferowałem.

— Pan Strange chciał być bardzo hojny — wtrącił pan Trelawny — ale pani Audrey Strange nigdy nie przyjęła ani grosza.

— To ciekawe — skonstatował Battle i wyszedł, zanim ktokolwiek zdążył go zapytać, co miała znaczyć ta uwaga.

Poszukał siostrzeńca.

— Z pozoru — powiedział — mamy tu śliczne motywy finansowe u każdego prawie z podejrzanych. Neville Strange i Audrey Strange dostaną po pięćdziesiąt tysięcy. Kay Strange myśli, że to jej należy się pięćdziesiąt tysięcy. Mary Aldin uzyska dochody, które zwolnią ją z konieczności zarabiania na życie. Jedynym, który nic nie skorzysta, jest Thomas Royde. Ale trzeba by dołożyć Hurstalla i nawet Barrett, która mogła zaryzykować zatrucie, żeby uniknąć podejrzeń. Tak, nie brakuje motywów materialnych. Ale jeśli się nie mylę, pieniądze nie grały roli w tej sprawie. Jeśli jest coś takiego jak morderstwo z czystej nienawiści, to tu mamy z nim do czynienia. I jeżeli nikt nie będzie mi próbował rzucać kłód pod nogi, znajdę tego, kto je popęłił.

13

Angus MacWhirter siedział na tarasie hotelu Easterhead Bay i gapił się na spiętrzone skały Stark Head na przeciwnym brzegu rzeki.

Był zajęty skrupulatną analizą swoich myśli i emocji.



Nie miał pojęcia, co skłoniło go do spędzenia ostatnich kilku wolnych dni właśnie w tym miejscu. Coś go tu ciągnęło. Może chciał się sprawdzić, zobaczyć, czy w sercu zostały jeszcze resztki dawnej rozpacz.

Mona? Jakże niewiele go teraz obchodziła. Wyszła za innego. Minał ją któregoś dnia na ulicy bez żadnego wrażenia. Przypominał sobie smutek i gorycz, jakie go ogarnęły, kiedy odeszła. Dziś te uczucia stanowiły element zamkniętej przeszłości.

Z tych myśli wyrwał go mokry pies, który wskoczył mu na kolana, i szaleńcze krzyki panny Diany Brinton, nowej przyjaciółki, lat trzynaście.

— Uciekaj stąd, Don, paskudniku! Niech pan uważa! Uciekaj! Wytarzał się w jakiejś zdechłej rybce albo innym świństwie na plaży. Coś okropnego.

Nos MacWhirtera potwierdził te przypuszczenia.

— To świństwo leżało w jakiejś szczelinie w skale — ciągnęła panna Brinton — próbowałam go umyć w morskiej wodzie, ale to niewiele dało.

MacWhirter zgodził się. Don, szorstkowłosy terier o wesołym i przyjaznym usposobieniu, był zawiedziony, że państwo konsekwentnie nie pozwalają mu się zbliżyć do siebie i miał minę bardzo pokrzywdzonego psa.

— Woda morska nie nadaje się do mycia — rzekł MacWhirter. — Jedyne, co tu może pomóc, to ciepła woda i mydło.

— Wiem, ale w hotelu będzie z tym twardy orzech do zgryzienia. Mamy pokój bez łazienki.

Po krótkiej naradzie MacWhirter i Diana wkradli się bocznymi drzwiami z Donem na smyczy i przeszmyglowali go do łazienki MacWhirtera, gdzie odbyła się gruntowna kąpiel, w rezultacie której zarówno Diana, jak i MacWhirter byli całkowicie przemoczeni. Don czuł się bezgranicznie zawiedziony. Znów ten ohydny zapach mydła i to właśnie wtedy, kiedy udało mu się znaleźć aromat, którego zazdrościłby mu każdy normalny pies. No tak, z ludźmi tak jest zawsze, pozbawieni są elementarnego poczucia estetyki, jeżeli chodzi o zapachy.

Ten mały incydent znacznie poprawił nastrój MacWhirtera. Zabrał się autobusem do Saltington, gdzie miał do odebrania garnitur z pralni.

Dziewczyna, pracująca w kantorze pod szyldem „Usługi ekspresowe w 24 godziny”, spojrzała na niego apatycznie.

— Na nazwisko MacWhirter? Chyba jeszcze nie gotowy.

Powinien być — miał być do odebrania wczoraj, to przecież było już 48 a nie 24 godziny. Nic jednak nie powiedział, zmarszczył się tylko.

— Jeszcze nie minął termin — powiedziała dziewczyna z bezosobowym uśmiechem.

— Bzdura.

Uśmiech znikł z jej twarzy. Prychnęła.

— Tak czy owak, jeszcze nie zrobiony.

— Zabiorę go mimo to.

— Ale nie był czyszczony.

— Zabieram go.

— Na jutro może byśmy zdążyli, w drodze wyjątku.

— Nie potrzebuję żadnych wyjątków. Proszę mi zwrócić garnitur.

Rzuciwszy mu złe spojrzenie dziewczyna poszła na zaplecze. Wróciła z byle jak zapakowanym tobołkiem, który popchnęła po kontuarze w jego kierunku.

MacWhirter zabrał go i wyszedł.

Ogarnęło go poczucie bezsensownej wygranej, bo przecież znaczyło to tylko tyle, że teraz musi oddać garnitur do czyszczenia gdzie indziej.

Rzucił paczkę na łóżko w swoim pokoju i spojrzał na nią z irytacją. Może uda się go oczyścić gąbką i odprasować tu w hotelu? Może obejdzie się bez pralni chemicznej?

Rozwinął pakunek i zezłościł się jeszcze bardziej. Naprawdę w tej pralni mają bałagan nie do opisania! To nie był jego garnitur. Był nawet innego koloru. U nich zostawił ciemnogrnatowy. Bezczelni, nieudolni niechluj.

Wściekły spojrzał na kwit. Był podpisany „MacWhirter”. Jakiś inny MacWhirter? Na pewno ci idioci zamienili kwity.

Patrząc z irytacją na pognieciony kłęb, pociągnął nagle nosem. Rozpoznawał ten zapach, wyjątkowo nieprzyjemny odór... jakoś kojarzył mu się z psem. Tak, to jest to. Diana i jej pies. Śmierząca, rozkładająca się ryba!

Pochylił się i zaczął przyglądać się uważnie. Tak, jest brudna plama na ramieniu marynarki. Dlaczego na ramieniu?!

No, tak — pomyślał MacWhirter — to naprawdę bardzo dziwne...

Tak czy owak, jutro będzie musiał powiedzieć parę słów do słuchu tej dziewczynie w pralni. Co za bałagan!

14

Po kolacji udał się na przechadzkę. Poszedł drogą do przystani. Noc była jasna, choć chłodna, niosąca wyraźną zapowiedź zimy. Już po lecie.

MacWhirter przeprowił się promem na stronę Saltcreek. To jego druga wizyta na Stark Head. Miejsce fascynowało go.

Wspinał się powoli, minął hotel Balmoral Court, a potem wielkie domostwo rozłożone na samej krawędzi klifu. Gull's Point — przeczytał nazwę na bramie. A, to tutaj zamordowano tę staruszkę. To ostatnio temat rozmów w hotelu. Pokojówka zmusiła go do wysłuchania szczegółowej relacji, a i gazety poświęciły tej sprawie pierwsze strony, co drażniło MacWhirtera, który nie znosił kryminalnych historii. Szedł dalej, teraz w dół, aż do skraju niewielkiej plaży. Minął parę starych chat rybackich, ostatnio wyremontowanych. Potem znowu do góry, aż droga przeszła w skalistą ścieżkę wiodącą na szczyt Stark Head.

Na górze było ponuro i nieprzyjemnie. MacWhirter stanął na krawędzi urwiska i patrzył w dół, na morze. Tak samo stał tamtej nocy. Próbował przypomnieć sobie, jakie uczucia targały nim wtedy: desperacja, złość, znużenie, tęsknota za tym, żeby mieć to już z głowy. Dziś wszystko zdawało mu się obce. Nieaktualne. W tym miejscu teraz była tylko zimna wściekłość. Zaczepiony na drzewie, wyratowany przez straż przybrzeżną, niańczony jak dziecko w szpitalu... Seria zniewag i upokorzeń. Dlaczego nie zostawiono go w spokoju?! Wolałby, po tysiącokroć wolałby mieć już wszystko z głowy. Wciąż tak uważał. Jedyne, czego mu wówczas brakowało, to odpowiedniego impulsu.

Jakże był wtedy zraniony przez Monę! Dziś już mógł o niej myśleć całkiem spokojnie. Zawsze była niezbyt rozgarnięta. Każdy mógł ją nabrać na byle komplement. Bardzo ładna. Owszem, bardzo ładna — ale bezmózdze, okazało się, że to nie taka kobieta, o jakiej kiedyś marzył...

To miała być piękność, oczywiście, rodzaj nieokreślonej, fantastycznej postaci, unoszącej się przez noc w falujących białych szatach... Przypominająca czasem statwę na dziobie żaglowca... tylko nie tak konkretna... raczej nieziemska...

Wtem zupełnie nieoczekiwanie stała się rzecz niewiarygodna! Wprost z ciemności wyszła i sunęła przez noc jakaś postać. Przed sekundą jej tu nie było, a teraz... biała postać biegnie... biegnie ku krawędzi urwiska. Piękna i gnana rozpaczą, gnana ku zagładzie przez tajemnicze siły! Biegnie z szaleńczą desperacją... Znał ten rodzaj desperacji. Wiedział, co oznacza...

Wyskoczył z cienia i chwycił ją w ostatniej chwili, kiedy właśnie miała zniknąć za krawędzią!

Krzyknął z wściekłością:

— Nie, nie zrobi pani tego...

Wydawało mu się, że trzyma ptaszynę. Walczyła... walczyła w milczeniu i nagle — jak ptak — zamarła w bezruchu. Wyrzucił z siebie:

— Nie warto rzucać się w przepaść. Nic nie jest tego warte. Nic! Nawet jeżeli to rozpacz...

Wydała cichy dźwięk. Przypominał dalekie echo śmiechu.

— Nie jest pani w rozpaczach? Więc dlaczego?

Odpowiedziała jednym cichym zdyszczonym słowem:

— Strach...

— Strach? — zdziwił się tak, że puścił ją i cofnął się o krok, żeby lepiej się jej przyjrzeć.

Zdał sobie sprawę, że mówi prawdę. To lęk ją tu przygnał. Lęk nadał tej bladej inteligentnej twarzyczce wyraz pustki i bezmyślności. Lęk wзираł z szeroko otwartych, przerażonych oczu.

— Czego się pani boi...? — zapytał z niedowierzaniem.

— Boję się zostać powieszona... — odparła tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

Tak, właśnie to powiedziała. Wlepił w nią osłupiały wzrok. Przenosił spojrzenie z niej na krawędź przepaści i z powrotem.

— To dlatego?

— Tak. Szybka śmierć zamiast... — zamknęła oczy i zadrżała. Trzęsła się jak galareta.

MacWhirterowi zaczęły się układać w głowie elementy łamigłówki... Powiedział:

— Lady Tresilian? Ta staruszka, którą zamordowano? — i dodał tonem oskarżenia: — Pani musi być panią Strange. Pierwszą panią Strange.

Nadal drząc, skinęła głową.

MacWhirter ciągnął swoim powolnym ostrożnym tonem, starając się przypomnieć sobie wszystko, co słyszał o sprawie. Plotki wymieszane z faktami.

— Najpierw zatrzymali pani męża, prawda? Było mnóstwo dowodów przeciwko niemu, potem stwierdzili, że dowody były sfabrykowane...

Przerwał i spojrzał na nią. Przestała drżeć. Stała i patrzyła na niego jak posłuszne dziecko. Była nieodparcie wzruszająca.

Ciągnął dalej:

— Tak to było... więc tak to było... zostawił panią dla innej kobiety, prawda? A pani go kochała... i dlatego... — zamilkł. Potem dodał: — Rozumiem. Moja żona porzuciła mnie dla innego mężczyzny...

Bezradnie rozłożyła ręce. Zaczęła mówić gwałtownie, tonem pozbawionym nadziei, zacinając się:

— T-t-to n-nie było tak. Z-zupe-pełnie nie tak...

Przerwał jej. W jego głosie zabrzmiała surowość i rozkaz:

— Niech pani idzie do domu. Nie musi się pani już niczego obawiać. Słyszysz pani? Nie dopuszczę, żeby panią powieszono!

15

Mary Aldin wyciągnęła się na sofie w salonie. Bolała ją głowa i czuła się kompletnie wyczerpana.

Poprzedniego dnia miało odbyć się przesłuchanie u koronera, które jednak po przeprowadzeniu formalnej identyfikacji zwłok, zostało odroczone na tydzień.

Pogrzeb lady Tresilian odbędzie się jutro. Audrey i Kay pojechały samochodem do Saltington, żeby kupić żałobne ubrania. Ted Latimer zabrał się z nimi. Neville i Thomas Royde poszli na spacer, więc — nie licząc służby — Mary była w domu sama.

Nadkomisarza Battle'a i inspektora Leacha dziś w Gull's Point nie było, co przyniosło wszystkim trochę ulgi. Mary wydawało się, że wraz z nimi ulotnił się cień, który wisiał nad domem. Byli grzeczni, nawet, prawdę mówiąc, sympatyczni, ale te ciągle podpytywania i formalne przesłuchania, szperanie, węszenie, wielokrotne sprawdzanie każdego najdrobniejszego faktu na nikogo dobrze nie wpływało. Ten nadkomisarz o kamiennej twarzy poznał już chyba każdy incydent,

każde słówko, każdy gest nawet, które miały miejsce w ciągu ostatnich dziesięciu dni.

Dziś, kiedy ich nie było, zapanował spokój. Mary może sobie pozwolić na odpoczynek. Nie będzie myśleć o niczym. Tylko leżeć i odprężyć się.

— Proszę wybaczyć, panno Aldin...

W drzwiach stał Hurstall z przepaszającą miną.

— Co, Hurstall?

— Jakiś pan chce się z panią widzieć. Wprowadziłem go do gabinetu.

Mary spojrzała na niego ze zdziwieniem i lekką irytacją.

— Kto to taki?

— Przedstawił się jako pan MacWhirter, proszę pani.

— Nie znam nikogo takiego.

— Tak jest, proszę pani.

— To pewnie jakiś reporter. Nie powinieneś był go wpuszczać, Hurstall.

Hurstall chrząknął.

— To raczej nie reporter, proszę pani. Myślę, że to jakiś znajomy pani Audrey.

— A, to co innego.

Przyglądziwszy włosy Mary, powłóczęc ze zmęczenia nogami, minęła hol i weszła do małego gabinetu. Była lekko zdziwiona, gdy wysoki mężczyzna, stojący pod oknem, odwrócił się do niej. W najmniejszym stopniu nie wyglądał na znajomego Audrey.

Powiedziała jednak miło:

— Przykro mi, że nie zastał pan pani Strange. Chciał się pan z nią widzieć?

Przyglądał się jej uważnie, z namysłem.

— Pani musi być panną Aldin?

— Tak.

— Myślę, że i pani może udzielić mi pomocy. Chcę znaleźć kawałek liny.

— Liny?! — zdziwienie Mary nie miało granic.

— Tak, liny. Gdzie możecie trzymać linę?

Kiedy Mary o tym później myślała, zdała sobie sprawę, że została chyba lekko zahipnotyzowana. Gdyby ten obcy człowiek zaczął coś wyjaśniać, pewnie by go wyprosiła. Ale Angus MacWhirter, nie mogąc wymyślić żadnego wiarygodnego

pretekstu, rozsądnie postanowił nie wyjaśniać niczego. Po prostu powiedział, czego chce. Nie bardzo wiedząc, co się dzieje. Mary wyruszyła z nim na poszukiwanie liny.

— Jakiej liny pan potrzebuje? — spytała.

— Wszystko jedno.

— Może w komórce... — powątpiewała.

— Idziemy?

Zaprowadziła go tam. Znalazł się kłęb sznura i jakiś kawałek cienkiej linki, ale MacWhirter pokręcił głową. Potrzebował liny. Sporego zwoju liny.

— Jest jeszcze stryszek — powiedziała Mary z wahaniem.

— Dobra, tam możemy coś znaleźć.

Wrócili do domu i wspięli się na górę. Mary otworzyła drzwi. MacWhirter zajrzał. Wydał z siebie westchnienie zadowolenia.

— Jest!

Na jakiejś skrzyni leżał duży zwój liny, tuż przy drzwiach, wraz ze sprzętem rybackim i jakimiś zjedzonymi przez mole narzutami. MacWhirter położył rękę na ramieniu Mary i popchnął ją lekko do przodu, aż oboje stanęli przy samym zwoju. Dotknął go i oświadczył:

— Chciałbym, żeby pani to zapamiętała, panno Aldin. Niech pani patrzy — wszystko wokół pokryte jest grubą warstwą kurzu, natomiast na linie nie ma kurzu! Niech pani dotknie.

— Jest trochę wilgotna — rzekła tonem wyrażającym zdziwienie.

— Właśnie!

Wrócił do drzwi.

— A lina? Myślałam, że chce pan linę? — Mary była całkowicie zdezorientowana. MacWhirter się uśmiechnął.

— Chciałem tylko wiedzieć, że lina tu jest. To tyle. Może zechciałaby pani zamknąć te drzwi dobrze na klucz, panno Aldin, i zabrać klucz ze sobą. Tak. Będę zobowiązany, jeśli go pani wręczy nadkomisarzowi Battle'owi albo inspektorowi Leachowi. Najlepiej będzie, jeśli to oni się kluczem zaopiekują.

Kiedy zeszli na dół, Mary zrobiła wysiłek, żeby się trochę pozbierać, i zaprotestowała:

— Ale... właściwie... nie rozumiem o co panu chodziło?

— Nie musi pani — ujął jej dłoń i potrząsnął nią serdecznie. — Jestem bardzo zobowiązany. Pomogła mi pani bardzo.

Po czym wyszedł przez frontowe drzwi. Mary zastanawiała się, czy to czasem nie był sen!

Właśnie przyszli Nevile i Thomas, a za chwilę wrócił samochód i Mary stwierdziła, że zazdrości Kay i Tedowi dobrego samopoczucia. Śmiali się i żartowali we dwójkę. Właściwie, dlaczego nie? — pomyślała. Camilla Tresilian nic dla Kay nie znaczyła. Cała ta tragiczna sprawa przerastała tę młodą istotę.

Policja przybyła, kiedy kończyli lunch. W głosie Hurstalla brzmiało coś w rodzaju lęku, kiedy oznajmił, że nadkomisarz Battle i inspektor Leach rozgościli się w salonie.

Nadkomisarz Battle, witając się ze wszystkimi, miał minę nadzwyczaj uprzejmą.

— Mam nadzieję, że państwu nie przeszkadzam — przeprosił — ale jest kilka spraw, które wymagają wyjaśnienia. Na przykład, czyja jest ta rękawiczka?

Pokazał małą żółtą rękawiczkę z kozłej skóry. Zwrócił się do Audrey.

— Czy należy do pani?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie, to nie moja.

— Panno Aldin?

— Nie, nie, moje są innego koloru.

— Mogę zobaczyć? — Kay wyciągnęła rękę — Nie.

— Może pani przymierzy?

Kay spróbowała, ale rękawiczka była za mała.

— Panno Aldin?

Przyszła kolej na Mary.

— Nie, na panią też jest za mała — stwierdził Battle. Zwrócił się znów do Audrey.  
— Sądzę, że na panią będzie w sam raz. Ma pani najmniejsze dłonie.

Audrey wzięła od niego rękawiczkę i wciągnęła na prawą dłoń.

Nevile Strange zaprotestował ostro:

— Przecież już panu mówiła, panie Battle, że to nie jej rękawiczka.

— No, cóż — odparł Battle — może się pomyliła. Albo zapomniała.



— Może i moja — powiedziała Audrey. — Rękawiczki są takie do siebie podobne, prawda?

— Tak czy owak, znaleziono ją pod pani oknem, pani Strange, wciśniętą między pędy bluszczu. — I dodał szczególnym tonem: — Razem z drugą od pary.

Zapadło milczenie. Audrey otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Spuściła wzrok pod nieruchomym spojrzeniem nadkomisarza.

Nevile poderwał się.

— Niech pan posłucha, nadkomisarzu...

— Może byśmy zamienili słówko na osobności, panie Strange — zaproponował Battle poważnie.

— Oczywiście, panie nadkomisarzu. Chodźmy do biblioteki. Poszedł przodem, a obaj oficerowie za nim. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Neville zaczął ostro:

— Co to za bzdurna historia z tymi rękawiczkami pod oknem mojej żony?

— Panie Strange, znaleźliśmy w tym domu parę bardzo ciekawych rzeczy — powiedział spokojnie Battle.

Nevile zmarszczył brwi.

— Ciekawych? Pod jakim względem ciekawych?

— Pokażę panu — Battle skinął głową na Leacha, który wyszedł na chwilę i wrócił z dziwnym przyrządem w ręku.

Battle wyjaśnił:

— Składa się to, jak pan widzi, ze stalowej gałki wziętej z ozdobnej wiktoriańskiej kraty sprzed kominka, ciężkiej i masywnej, którą przykręcono do uchwytu rakiety tenisowej, odpiłowanego uprzednio od główki rakiety. — Zrobił pauzę. — Sądzę, że nie można mieć wątpliwości, że to właśnie narzędzie zostało użyte, żeby zabić lady Tresilian.

— To potworne! — zawołał Neville, wzdrygając się. — Gdzie panowie znaleźliście ten... ten koszmar.

— Gałka była oczyszczona i przykręcona z powrotem do kraty. Morderca jednak nie zauważył drobnej plamki na gwincie. Sprawdziliśmy, że to krew. Uchwyt został przyklejony z powrotem do główki rakiety i okręcony przylepcem chirurgicznym. Potem raketę wrzucono z powrotem do schowka pod schodami, gdzie

prawdopodobnie nikt by nigdy na nią nie zwrócił uwagi wśród tylu innych. No, ale myśmy już wiedzieli, czego mamy szukać.

— Sprytnie, panie nadkomisarzu.

— To kwestia rutyny zawodowej.

— Pewnie żadnych odcisków palców?

— Rakietka jest damska i należy pewnie do pani Kay Strange. Są na niej jej odciski, a także pańskie. Ale znaleźliśmy również niewątpliwe ślady wskazujące na to, że trzymał ją później ktoś w rękawiczkach. I jest jeszcze jeden odcisk, pozostawiony, jak myślę, przez nieuwagę. Na kawałku przylepca, którym obwiązano rakieta. Nie powiem na razie, czyj to odcisk. Chciałbym najpierw zająć się czymś innym.

Battle zrobił pauzę, a potem powiedział:

— Chciałbym, żeby był pan przygotowany na wstrząs, panie Strange. Najpierw chcę pana o coś zapytać. Czy jest pan całkowicie pewien, że pomysł przyjazdu tutaj był pański, a nie pani Audrey Strange?

— Naturalnie. Audrey nigdy by czegoś takiego nie zaproponowała. Audrey...

Drzwi się otworzyły i wkroczył Thomas Royde.

— Przepraszam, że się wtrącam, ale chyba powinienem przy tym być.

Nevile odwrócił się z niezadowoloną miną.

— Daj spokój, stary, to ciebie nie dotyczy.

— Obawiam się, że jesteś w błędzie, zresztą nie obchodzi mnie, co myślisz.

Usłyszałem przez drzwi imię. Imię Audrey.

— A co ty, do diabła, masz wspólnego z Audrey? — Nevile z wolna tracił panowanie nad sobą.

— A co ty masz z nią wspólnego, skoro już przy tym jesteśmy? Nie zdeklarowałem się jeszcze ostatecznie, ale przyjechałem tu wyłącznie w tym celu, żeby się jej oświadczyć, i sądzę, że ona o tym wie. Co więcej, zrobię to i ożenię się z nią.

Nadkomisarz Battle zakasłał. Nevile szybko zwrócił się ku niemu.

— Przepraszam, nadkomisarzu. Ten incydent...

— Nic nie szkodzi. Mam do pana tylko jeszcze jedno pytanie. Granatowa marynarka, którą pan miał na sobie przy kolacji w dniu morderstwa, miała kilka

jasnych włosów na kołnierzu od strony wewnętrznej i na ramieniu. Jak mogły się tam pana zdaniem znaleźć?

— To pewnie moje włosy.

— Nie, nie. Nie pańskie, sir. Kobięce włosy. Na rękawie miał pan jeszcze kilka rudych.

— Te pewnie mojej żony, Kay. Sugeruje pan, że te blond włosy to są włosy Audrey? Bardzo możliwe. Przypominam sobie, że zaczepiłem guzikiem przy mankiecie o jej włosy tamtego wieczoru na tarasie.

— W takim wypadku — mruknął inspektor Leach — włosy blond byłyby na mankiecie.

— Co, do diabła, pan insynuuje?! — zawołał Neville.

— Od wewnętrznej strony kołnierza są też ślady pudru — rzekł Battle. — Primavera Naturelle nr 1, bardzo przyjemnie pachnący puder. I drogi. I nie wmoi mi pan, że pan go używa, panie Strange. Nie uwierzę panu. Pani Kay Strange stosuje Orchid Sun Kiss. Pani Audrey Strange używa Primavera Naturelle nr 1.

— Co pan insynuuje? — powtórzył Neville. Battle wychylił się do przodu.

— Sugeruję tylko, że przy jakiejś okazji pani Audrey Strange nosiła tę marynarkę. To jedyne racjonalne wytłumaczenie sposobu, w jaki jej włosy i puder mogły znaleźć się tam, gdzie się znalazły. Jeszcze jedno. Widział pan tę rękawiczkę, którą przed chwilą pokazywałem? To na pewno jej rękawiczka. To była prawa, a oto lewa! — Wyciągnął ją z kieszeni i położył na stole. Była pognieciona i cała w rdzawych plamach.

Neville spytał z lękiem w głosie:

— Co to za plamy?

— Krew, panie Strange — odparł Battle pewnie. — I niech pan zwróci uwagę, że to lewa rękawiczka. Pani Audrey Strange jest leworęczna. Zauważyłem to, kiedy po raz pierwszy ją widziałem, kiedy siedziała przy śniadaniu z filiżanką kawy w prawej dłoni, a papierosem w lewej. I taca z przyborami do pisania stoi na jej biurku po lewej stronie. Wszystko do siebie pasuje. Gałka od kraty przed kominkiem w jej pokoju, włosy i puder na tej marynarce. Lady Tresilian otrzymała cios w prawą skroń, łóżko stało tak, że dostęp do niego był tylko z jednej strony. Z tego wynika, że uderzyć lady Tresilian prawą ręką było bardzo niewygodnie, natomiast osobie

leworęcznej nie nastęczało to żadnych trudności... Neville roześmiał się lekceważąco.

— Insynuuje pan, że Audrey... Audrey! przygotowałyby wszystko skrupulatnie, żeby z zimną krwią zabić tę starą kobietę, którą znała od lat, i to po to, żeby zagarnąć jej pieniądze?

Battle zaprzeczył ruchem głowy.

— Niezupełnie, panie Strange. Przykro mi, ale musi pan zrozumieć, że to wygląda trochę inaczej. Po pierwsze, zbrodnia została popełniona, żeby wszystkie podejrzenia skierowane były przeciwko panu. Odkąd pan ją porzucił, Audrey Strange została owładnięta żądzą zemsty. Zachwiało to jej równowagą umysłową. Chyba nigdy nie miała najmocniejszej konstrukcji psychicznej. Może z początku chciała pana zabić. Potem uznała, że to nie wystarczy. Wymyśliła, że zaprowadzi pana na stryżek. Wybrała wieczór, kiedy — jak wszyscy słyszeli — pokłócił się pan z lady Tresilian. Wzięła pana marynarkę z sypialni i założyła ją, idąc do staruszki, tak że zostały na niej ślady krwi. Położyła pański kij golfowy na podłodze, wiedząc, że są na nim odciski pana palców, rozsmarowała krew i włosy na główce kija. To ona zaszczerpiła panu pomysł przyjazdu w tym samym terminie co i ona. A przypadek, który pana uratował, był rzeczywiście ostatnią rzeczą, jakiej można było oczekiwać: że lady Tresilian zadzwoni na Barrett i ta zobaczy, jak pan wychodzi.

Neville ukrył twarz w dłoniach. Powiedział:

— To nie może być prawda. Nie może być! Audrey nigdy nie żywiła do mnie urazy. To wszystko bzdura. Ona jest najuczciwszą, najbardziej godną zaufania istotą, bez najmniejszej złej myśli w sercu.

Battle westchnął.

— Nie mam zamiaru się z panem spierać, panie Strange. Chciałem tylko pana przygotować. Teraz poproszę panią Strange, żeby poszła z nami. Mam nakaz. Niech pan lepiej poszuka jej dobrego adwokata.

— To absurd! Całkowity absurd!

Thomas Royde włączył się wreszcie. Głos miał spokojny i miły.

— Przystań powtarzać, że to absurd, Neville. Weź się w garść. Nie widzisz, że jedyne, co możesz zrobić, aby pomóc Audrey, to przestać udawać błędnego rycerza i spojrzeć prawdzie w oczy?

— Prawdzie? Chodzi ci o...

— Chodzi mi o prawdę o Audrey i Adrianie — Royde zwrócił się do policjantów.

— Widzi pan, nadkomisarzu, ma pan mylne informacje. Neville nie porzucił Audrey. To ona od niego odeszła. Porzuciła go dla mojego brata Adriana. Potem Adrian zginął w wypadku samochodowym. Neville zachował się wobec Audrey po rycersku. Zgodził się wziąć na siebie winę na rozprawie rozwodowej.

— Nie chciałem, żeby jej imię zostało zszargane — mruknął Neville nadąsany. — Nie sądziłem, że ktokolwiek o tym wiedział.

— Adrian pisał do mnie — wyjaśnił krótko Thomas i ciągnął dalej: — Czy nie widzi pan, nadkomisarzu, że to obala pańską teorię o motywie zabójstwa?! Audrey nie ma powodu nienawidzić Neville'a. Przeciwnie, ma wszelkie powody, żeby być mu wdzięczna. On nawet próbował zaoferować jej stałe alimenty, ale się nie zgodziła. Oczywiście, kiedy poprosił ją, aby tu przyjechała i poznała Kay, nie miała powodu odmawiać.

— Widzi pan — gorliwie potwierdził Neville — to pozbawia ją motywu. Thomas ma rację.

Na kamiennej twarzy Battle'a nie pojawił się najlżejszy grymas.

— Motyw to jedno — powiedział — a drugie to fakty. Wszystkie fakty wskazują na jej winę.

Neville rzekł rozsądnie:

— Dwa dni temu wszystkie fakty wskazywały na moją winę. Widać było, że Battle stracił nieco pewność siebie.

— Owszem, to prawda, ale niech pan się zastanowi, panie Strange, w co mi pan każe uwierzyć. Chce pan, żebym uwierzył, że jest ktoś, kto nienawidzi was oboje. Ktoś, kto — kiedy zawiódł plan przeciwko panu — zostawił drugi ślad, wiodący do Audrey Strange. No więc, czy przychodzi panu ktoś taki do głowy? Ktoś, kto nienawidzi zarówno pana, jak i pańskiej byłej żony?

Neville znowu opuścił głowę.

— Kiedy pan tak to przedstawia, rzeczywiście brzmi to fantastycznie.

— Bo to jest fantazja. Muszę trzymać się faktów. Jeśli pani Strange potrafi nam to wszystko wyjaśnić...

— A czyja mogę wyjaśnić?

— Niech pan da spokój, panie Strange. Muszę śpieszyć do moich obowiązków.

Battle wstał energicznie i wyszedł z Leachem z pokoju. Neville i Royde powlekli się za nimi.

Przeszli przez hol do salonu. Tu się zatrzymali.

Audrey Strange wstała. Podeszła do nich. Patrzyła wprost na Battle'a, jej wargi rozchyliły się w niby-uśmiechu.

Powiedziała miękko:

— Przyszedł pan po mnie, prawda?

Battle przybrał oficjalny ton.

— Pani Strange, mam nakaz aresztowania pani pod zarzutem zabójstwa Camilli Tresilian w ubiegły poniedziałek, dwunastego września. Ostrzegam panią, że wszystko, co pani powie, zostanie zaprotokołowane i może być użyte w sądzie jako dowód na pani procesie.

Audrey westchnęła głęboko. Jej drobna twarzyczka o czystych rysach była spokojna i szlachetna jak płaskorzeźba na kamei.

— Co za ulga. Cieszę się, że już po wszystkim.

Neville skoczył ku niej.

— Audrey, nic nie mów, w ogóle się nie odzywaj.

Uśmiechnęła się do niego.

— Ale czemu nie, Neville'u? To wszystko prawda, a ja jestem taka zmęczona.

Leach wciągnął głęboko powietrze. No, więc to tak. Całkiem zwariowała, ale oszczędzi to masę kłopotów! Zaczął ze zdziwieniem przyglądać się wujowi. Ten patrzył na Audrey, jakby zobaczył ducha. Wpatrywał się w tę nieszczęsną opętaną istotę, jakby nie wierzył własnym oczom. No, tak, to rzeczywiście jest ciekawa sprawa, pomyślał Leach z zadowoleniem.

Nieoczekiwanie sprowadził ich na ziemie Hurstall. Otworzył drzwi salonu i zaanonsował:

— Pan MacWhirter.

MacWhirter wkroczył zdecydowanie i od razu skierował się do Battle'a.

— Czy to pan prowadzi sprawę zabójstwa lady Tresilian?

— Tak, ja,

— W takim razie chciałbym złożyć zeznanie. Żałuję, że nie mogłem przyjść wcześniej, ale nie zdawałem sobie sprawy z wagi pewnych faktów, które przypadkowo zaobserwowałem w ubiegły poniedziałek w nocy. — Rozejrzał się szybko po pokoju. — Czy mógłbym z panem gdzieś porozmawiać?

Battle odwrócił się do Leacha.

— Zostaniesz z panią Strange?

Leach oficjalnie odpowiedział:

— Tak jest. — A potem nachylił się do ucha Battle'a i coś mu szepnął.

Battle zwrócił się do MacWhirtera:

— Chodźmy tędy. Poprowadził go do biblioteki.

— Teraz niech pan mówi. Mój kolega twierdzi, że już pana spotkał. Czy to było ubiegłej zimy?

— Zgadza się. Próba samobójstwa. To też część tego, co chcę panu powiedzieć.

— Niech pan mówi, MacWhirter.

— W styczniu próbowałem popełnić samobójstwo, rzucając się w przepaść ze skały Stark Head. Teraz zachciało mi się odwiedzić to miejsce ponownie. Poszedłem tam w poniedziałek wieczorem. Stałem dłuższy czas, patrząc na morze i na Easterhead Bay, a potem spojrzałem w lewo, to znaczy w stronę tego domu. Świecił księżyc i widziałem wyraźnie.

— Tak.

— Dopiero dziś zdałem sobie sprawę z tego, że to była noc kiedy popełniono morderstwo! — Pochylił się do inspektora: — Powiem panu, co widziałem.

16

Battle wrócił do salonu po pięciu minutach, ale tym, którzy tam zostali, wydawało się, że trwało to znacznie dłużej.

Kay nagle straciła panowanie nad sobą. Zaczęła krzyczeć na Audrey:

— Wiedziałam, że to ty! Od początku podejrzewałam, że to ty. Wiedziałam, że coś knujesz...

Mary Aldin zaczęła ją uspokajać:

— Proszę cię, Kay.

Nevile skoczył ostro:

— Zamknij się, Kay, na litość boską.

Ted Latimer podszedł do Kay, która rozpląkała się.

— Uspokój się, mała — powiedział łagodnie. I ze złością zwrócił się do Neville'a:

— Chyba nie zdajesz sobie sprawy, że Kay miała wiele napięć ostatnio. Mógłbyś się chyba o nią trochę zatroszczyć, Strange?

— Nic mi nie jest — odparła Kay.

— Akurat! — powiedział Ted. — Chętnie bym cię zabrał daleko od tych...

Inspektor Leach chrząknął. Wiedział dobrze, że w takich sytuacjach mogą paść pochopne słowa, jakie trudno zapomnieć. Wrócił Battle. Miał kamienny wyraz twarzy. Powiedział:

— Niech pani weźmie parę najniezbędniejszych drobiazgów. Niestety, inspektor Leach będzie musiał towarzyszyć pani na górze.

— Ja też pójdę — zaofiarowała się Mary Aldin.

Kiedy obie panie wyszły w towarzystwie inspektora, Neville niecierpliwie zapytał:

— Czego chciał ten facet?

— Pan MacWhirter opowiada dziwną historię — powiedział powoli Battle.

— Czy to coś pomoże Audrey? Jest pan nadal zdecydowany ją aresztować?

— Mówiłem panu, panie Strange. Muszę spełniać swój obowiązek.

Neville odwrócił się, zainteresowanie odpłynęło z jego twarzy.

— Lepiej zadzwonię do Trelawny'ego — powiedział.

— To nie takie pilne, panie Strange. Chcę jeszcze przeprowadzić pewien eksperyment na ewentualne potwierdzenie zeznań pana MacWhirtera. Wolałbym tylko, żeby przedtem pani Strange odjechała.

Audrey schodziła po schodach, obok niej szedł inspektor Leach. Jej twarz miała wciąż ten daleki, nieobecny wyraz. Neville podszedł do niej z rozłożonymi ramionami:

— Audrey...

Jej bezbarwne spojrzenie prześlizgnęło się po nim.

— Wszystko w porządku, Neville. Nic mnie to nie obchodzi. Wszystko mi jedno — powiedziała.

Thomas Royde stanął w drzwiach frontowych, jakby chciał je zabarykadować własnym ciałem. Na jej wargi wypłynął lekki uśmiech.

— Wierny Thomas — mruknęła.



— Jeśli mógłbym coś dla ciebie zrobić — bąknął.

— Nikt nie może nic dla mnie zrobić — odparła.

Odeszła z podniesionym czołem. Na zewnątrz czekał wóz policyjny z sierżantem Jonesem za kierownicą. Audrey i Leach wsiedli.

Ted Latimer mruknął z uznaniem:

— Ładne wyjście!

Nevile odwrócił się ku niemu z wściekłością. Nadkomisarz Battle żwawo umieścił między nimi swoją potężną postać i odezwał się kojącym głosem:

— Jak już mówiłem, mam do przeprowadzenia eksperyment. Pan MacWhirter czeka na nas koło przystani. Powinniśmy do niego dołączyć w ciągu dziesięciu minut. Pojedziemy motorówką, więc proponuję, żeby panie wzięły na siebie coś cieplejszego. Za dziesięć minut, proszę.

Mógłby być reżyserem komenderującym ekipą na planie. Nie zwracał uwagi na ich zaintrygowane miny.

Godzina zero

1

Na wodzie było dosyć chłodno i Kay otuliła się mocniej swoją futrzaną kurteczką. Motorówka perkotała w głębokiej ciszy, wioząc ich w dół rzeki, poniżej Gull's Point, a potem skręcając do małej zatoczki, która oddzielała Gull's Point od spiętrzonego masywu Stark Head.

Raz czy drugi ktoś próbował zadać pytanie, ale nadkomisarz Battle za każdym razem unosił swoją olbrzymią dłoń w geście, który miał zapewne oznaczać „jeszcze nie czas”. Kay i Ted stali razem i patrzyli w wodę. Neville rozparł się na dnie łodzi i wyciągnął nogi przed siebie. Mary Aldin i Thomas Royde umiejscowili się na dziobie. Wszyscy zerkali na rufę, na wysoką postać pełnego rezerwy MacWhirtera. On stał tyłem do wszystkich, z głową wciągniętą w ramiona.

Dopiero kiedy znaleźli się w cieniu urwisk Stark Head, Battle zwolnił obroty silnika i rozpoczął przemowę.

— To była bardzo dziwna sprawa, jedna z najdziwniejszych, z jakimi miałem do czynienia, i chciałbym na wstępie powiedzieć parę słów o morderstwach w ogóle.

Chodzi o to, że każda relacja na temat zabójstwa albo powieść kryminalna zaczyna się od opisu tego właśnie zabójstwa. To błąd. Morderstwo zaczyna się dużo, dużo wcześniej. Morderstwo jest kulminacją rozmaitych okoliczności, które splatają się w określonym momencie i w określonym punkcie. Wmieszani są w nie ludzie z powodów, które trudne są do przewidzenia. Pan Royde przybył tu z Malajów, pan MacWhirter znalazł się tutaj, bo chciał odwiedzić ponownie miejsce, w którym kiedyś próbował pozbawić się życia. Tak, samo morderstwo jest zakończeniem historii, kiedy wybija GODZINA ZERO. Zrobił pauzę. — Godzina zero właśnie wybiła!

Pięć twarzy było zwróconych w jego kierunku, tylko pięć, bo MacWhirter się nie odwrócił. Mary Aldin zaczęła pierwsza:

— Chce pan powiedzieć, że śmierć lady Tresilian była punktem kulminacyjnym długiego łańcucha zdarzeń i okoliczności?

— Nie, panno Aldin, nie chodzi mi o śmierć lady Tresilian. Jej śmierć była tylko incydentem na drodze do głównego celu, jaki przyświecał mordercy. Morderstwo, o którym chcę powiedzieć, to zabójstwo Audrey Strange.

Usłyszał jak ktoś gwałtownie nabrał powietrza.

— Ta zbrodnia została zaplanowana już dość dawno temu, prawdopodobnie zeszłej zimy. Została zaplanowana do najdrobniejszego szczegółu. Jej celem, zasadniczym i jedynym, było zaprowadzenie Audrey Strange w ręce kata.

Plan był drobiazgowy, sporządzony przez kogoś, kto miał wysokie mniemanie o własnym sprycie i inteligencji. Mordercy zazwyczaj są zarozumiali. Po pierwsze, sprawa dowodów przeciwko Neville'owi Strange'owi, były one naciągane i niewystarczające, bo miały takie być. Mieliśmy odkryć, że są sfabrykowane. Po takim doświadczeniu następny zestaw mieliśmy uznać za prawdziwy. W końcu trudno podejrzewać, że jakiś chwyt powtarza się dwa razy. Ale jeżeli bliżej przyjrzeć się dowodom przeciwko Audrey Strange, okaże się, że wszystkie one też mogły być sfabrykowane. Narzędzie zbrodni zabrane z jej kominka, jej rękawiczki — lewa zanurzona w krwi ofiary — ukryte w bluszczu pod oknem. Puder, którego używała, rozsypany na kołnierzu marynarki, kilka włosów. Jej własny odcisk palca, pozostawiony na rolce przylepca wziętej z jej pokoju. Nawet sugerujący leworęczność zabójcy układ ciosu.

A na dodatek, ostateczny, wydawałoby się nie do obalenia, dowód: zachowanie samej pani Strange. Jestem przekonany, że wszyscy (oprócz tej jednej osoby, która zna prawdę) uważacie ją za winną, po tym, jak zachowała się podczas aresztowania. Właściwie przyznała się do winy, prawda? Sam bym uwierzył, gdyby nie jedno prywatne przeżycie z przeszłości... Kiedy widziałem i słuchałem jej, podobieństwo do tamtej sytuacji z przeszłości uderzyło mnie niesłychanie... Znam dziewczynę, która postąpiła tak samo, która przyznała się do winy, do nie popełnionego przez siebie przestępstwa... a Audrey Strange patrzyła na mnie oczyma tej właśnie dziewczyny... Wiedziałem, że muszę spełniać swój obowiązek. My, policjanci, opieramy się na dowodach, nie na uczuciach czy domysłach. Ale powiem wam, że w tamtej chwili modliłem się o cud, bo wiedziałem, że tylko cud może uratować tę nieszczęsną kobietę. I cóż, cud się zdarzył.

Przerwał.

— Panie MacWhirter, czy zechciałby pan powtórzyć to, co opowiedział mi pan w domu?

MacWhirter odwrócił się. Mówił urywanymi zdaniami.

Opowiedział o tym, jak został uratowany, kiedy próbował popełnić samobójstwo w styczeniu i o tym, że chciał znaleźć się w tym miejscu ponownie. Mówił dalej:

— Poszedłem tam w poniedziałek wieczorem. Stałem zatopiony w myślach. To było, jak sądzę, około jedenastej. Spojrzałem na ten dom na przylądku, teraz wiem, że to Gull's Point.

Przerwał, a po pauzie wznowił opowiadanie.

— Z okna domu zwieszała się lina, sięgająca aż do morza. Widziałem mężczyznę wspinającego się po linie...

Minęła chwila, zanim wszyscy pojęli znaczenie tych słów. Mary Aldin wykrzyknęła:

— Więc jednak to był ktoś z zewnątrz?! Nikt z nas nie ma z tym nic wspólnego. To był zwykły bandyta!

— Nie tak szybko — powstrzymał ją Battle. — To był ktoś, kto przyszedł z drugiej strony rzeki, tak, przepłynął ją wpław. Ale ktoś inny wywiesił linę, która na niego czekała, więc trzeba wziąć pod uwagę domowników.

Powoli mówił dalej:

— A znamy kogoś, kto był po drugiej stronie rzeki tej nocy, kogoś, kogo nie widziano między dziesiątą trzydzieści a jedenastą piętnaście, kogoś, kto mógł przepłynąć rzekę w obie strony. Kogoś, kto mógł mieć sprzymierzeńca w domu...

I dodał:

— Prawda, panie Latimer?

Ted cofnął się. Krzyknął przeszywająco:

— Ale ja nie umiem pływać! Wszyscy wiedzą, że ja nie umiem pływać. Kay, powiedz im, że nie umiem.

— Tak, oczywiście, Ted nie umie pływać! — potwierdziła.

— Czyżby? — spytał Battle uprzejmie.

Przeszedł na drugą stronę łodzi, podczas gdy Ted próbował przesunąć się w przeciwnym kierunku. Jeden niezręczny ruch i rozległ się głośny plusk.

— O, mój Boże — powiedział spokojnie nadkomisarz Battle, jakby przejęty głęboką troską — pan Latimer wypadł za burtę.

Jego dłoń zacisnęła się jak imadło na ramieniu Neville'a, który właśnie szykował się do skoku na ratunek.

— Nie, nie, panie Strange. Nie musi pan się moczyć. Dwóch moich ludzi czeka w pogotowiu, o, wędkują z tej łódki. — Wychylił się przez burtę. — To rzeczywiście prawda — powiedział z zaciekawieniem. — On nie umie pływać. Już w porządku. Wyciągnęli go. Proszę mi wybaczyć. Jest tylko jeden sposób, żeby przekonać się, że ktoś naprawdę nie umie pływać. Trzeba go wrzucić do wody i patrzeć. Widzi pan, panie Strange, jestem dokładny. Musiałem najpierw wyeliminować Latimera. Pan Royde ma bezwładną rękę, nie może się wspinać po linie.

Głos Battle'a zaczął przypominać groźny pomruk.

— A więc doszliśmy do pana, nieprawdaż, panie Strange? Lekkoatleta, alpinista, pływak i tak dalej. Przeprowadził się pan promem o dziesiątej trzydzieści, owszem, ale nikt nie mógłby przysiąc, że widział pana w Easterhead Hotel wcześniej niż kwadrans po jedenastej, pomimo pańskiego twierdzenia, że szukał pan wtedy pana Latimera.

Nevile wyszarpnął ramię. Odwrócił głowę i zaśmiał się.

— Sugeruje pan, że to ja przepłynąłem rzekę i wspiałem się po linie...

— Którą wywiesił pan przedtem ze swojego okna — uzupełnił Battle.

— Zabiłem lady Tresilian i przepłynąłem z powrotem? Po co miałbym robić coś tak nieprawdopodobnego?! I kto sfabrykował poszlaki przeciwko mnie? Pewnie ja sam, co?

— Właśnie — rzekł Battle. — To był niezły pomysł.

— A po co miałbym zabijać Camillę Tresilian?

— Na tym panu szczególnie nie zależało. Ale chciał pan zaprowadzić na stryczek kobietę, która porzuciła pana dla innego mężczyzny. Pan ma nie wszystkie klepki w porządku. To się ciągnie od lat dziecińczych. Wie pan, tak przy okazji zapoznałem się z tą starą sprawą z łukiem i strzałami. Ktoś, kto zrobił panu krzywdę, musi zostać ukarany, a nawet śmierć nie wydawała się panu wystarczającą karą dla pańskich krzywdzicieli. Sama śmierć to nie było dosyć dla Audrey, pańskiej Audrey, którą pan kochał, o, tak, kochał ją pan naprawdę, zanim pańska miłość zmieniła się w nienawiść. Musiał pan wymyślić coś specjalnego, jakiś okrutny, szczególny rodzaj śmierci. I kiedy pan już to wymyślił, nie miało dla pana najmniejszego znaczenia, że pociąga to za sobą zabójstwo kobiety, która była dla pana jak matka...

Nevile zaczął mówić łagodnie:

— Wszystko kłamstwa! Nie jestem wariatem.

Battle rzekł z pogardą:

— Ugodziła pana do żywego, kiedy opuściła pana dla innego mężczyzny. Zraniła pańską próżność! Pomyśleć, że to ona pana porzuciła! Ratował pan dumę, udając przed światem, że to pan ją zostawił, tylko po to, by wzmocnić swoją wersję. Ale potajemnie wciąż pan knuł. Nie potrafił pan wymyślić nic okrutniejszego od doprowadzenia do powieszenia jej. Sprytny pomysł, ale nie starczyło panu na szczęście inteligencji, żeby go lepiej przeprowadzić.

Ramiona Nevile'a drgnęły pod tweedową marynarką.

Battle ciągnął:

— Dziecinne bzdury, ta cała kombinacja z kijem golfowym! Ta grubymi niemi szyta mistyfikacja z poszlakami przeciwko panu! Audrey z pewnością wiedziała, co pan knuje. Musiała śmiać się w duchu! Myślał pan, że ja nie będę pana podejrzewał. Wy, zabójcy, jesteście jak dzieci. Rozpiera was pycha. Uważacie, że pozjadaliście wszystkie rozумы, a naprawdę jesteście żałośnie naiwni...

Nevile zaczął dziwacznie pojękiwać.

— To był sprytny plan, był. Nigdy by pan go nie rozpracował. Nigdy! Gdyby nie wtrącił się ten zarozumialec, ten nadęty idiota Szkot. Przemyślałem każdy szczegół, każdy detal. Nie moja wina, że się nie udało. Skąd mogłem wiedzieć, że Royde znał prawdę o Audrey i Adrianie? Audrey i Adrian. Przeklęta Audrey, będzie wisieć, musisz ją powiesić, chcę żeby umierała w strachu, żeby umarła, żeby zdechła... Nienawidzę jej. Mówię wam, chcę, żeby zdechła...

Wysoki skamlący głos zamarł. Neville osunął się na dno łodzi i zaczął cicho płakać.

— O mój Boże! — zawołała Mary Aldin. Była blada jak płótno.

Battle rzekł łagodnie i cicho:

— Przykro mi, ale musiałem go sprowokować... Dowody były bardzo kruche...

Neville wciąż skamlał:

— Ona ma wisieć. Ona ma wisieć...

2

— Ciągle się bałam — powiedziała Audrey.

Siedzieli na tarasie. Audrey przysunęła się do nadkomisarza Battle'a. Battle wznovił swój urlop i przebywał w Gull's Point teraz już po prostu jako znajomy.

— Ciągle się bałam. Cały czas.

Battle rzekł, kiwając głową:

— Kiedy tylko panią zobaczyłem, wiedziałem, że jest pani śmiertelnie przerażona. I zachowywała się pani w taki bezbarwny, pełen rezerwy sposób, jak ktoś, kto stara się zapanować nad bardzo silnymi emocjami. To mogła być miłość albo nienawiść, a naprawdę to był po prostu ogromny strach, czy mam rację?

Skinęła głową.

— Zaczęłam się bać Neville'a wkrótce po ślubie. Najgorsze było to, że nie wiedziałam, dlaczego. Zaczęłam myśleć, że może to ja jestem szalona.

— To nie pani — rzekł Battle.

— Neville, kiedy za niego wychodziłam, wydawał się całkiem normalny. Zawsze doskonale opanowany i taki miły.

— To ciekawe — rzekł Battle. — To była część roli, którą grał, roli prawdziwego sportowca. Oto dlaczego tak dobrze panował nad sobą podczas rozgrywek tenisowych. Utrzymanie się w roli prawdziwego sportowca było dla niego

ważniejsze niż wynik meczu. Ale męczyło go to, obciążało. Granie jakiejś roli jest zawsze męczące. Wewnątrz było coraz gorzej.

— Wewnątrz — wyszeptała Audrey z dreszczem. — Zawsze wewnątrz. Nie można było tego określić. Czasem zdradzało go jakieś słówko, jakieś spojrzenie. Myślałam o tym, wyobrażałam sobie... Działo się coś dziwnego. A potem, zaczęłam myśleć, że to ja sama dziwaczeję. I lęk narastał, bezrozumny lęk, przyprawiający o mdłości. Wiedziałam, że wariuję, ale nie potrafiłam temu przeciwdziałać. Czułam, że muszę coś z tym zrobić, cokolwiek! Uciec! Pojawił się Adrian, powiedział, że mnie kocha i pomyślałam, że będzie z nim cudownie...

Zamilkła.

— Wie pan, co się stało. Wysłałam po Adriana... a on nie przyjechał... zginął w wypadku... Czułam, że kryje się za tym Neville.

— Całkiem możliwe — rzekł Battle.

Audrey zwróciła ku niemu zaskoczoną twarz.

— Tak pan myśli?

— Już się nie dowiemy. Wypadek samochodowy można upozorować. Nie wchodźmy w to, pani Strange. Stało się, jak się stało.

— Byłam... byłam załamana. Zatrzymałam się w domu rodzinnym Adriana. Mieliśmy przedtem napisać do jego matki, ale teraz, ponieważ o nas nie wiedziała, postanowiłam nic jej nie mówić. Neville pojawił się natychmiast. Był uroczy, miły, ale za każdym razem, kiedy z nim rozmawiałam, robiło mi się niedobrze ze strachu! Powiedział, że lepiej będzie, jak nikt się nie dowie o moim związku z Adrianem. Zaproponował, że weźmie na siebie winę na rozprawie rozwodowej, bo zamierza się ożenić. Byłam mu wdzięczna. Wiedziałam, że Kay mu się podoba i miałam nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży i że ta obsesja mi przejdzie. Wciąż myślałam, że to ze mną jest coś nie w porządku. Miałam wrażenie, że nigdy się od Neville'a nie uwolniłam. Kiedyś spotkałam go w parku i zaproponował, bym poznała Kay tutaj we wrześnie. Czy mogłam odmówić? Po tym wszystkim, co dla mnie zrobił?

— Zapraszał pajak muchę w odwiedziny — zauważył Battle.

Audrey zadrżała.

— Właśnie...

— Bardzo to sprytnie sobie wymyślił — rzekł Battle. — Tak uparcie powtarzał, że to jego pomysł, że wszyscy zaczęli w to wątpić.

— I kiedy tu przyjechałam, zaczął się koszmar. Wiedziałam, że szykuje się coś okropnego, wiedziałam, że on coś knuje... przeciwko mnie. Ale nie wiedziałam, co. Myślę, że naprawdę byłam bliska szaleństwa. Strach mnie paraliżował jak w złym śnie, kiedy wiemy, że coś nam grozi i nie możemy się ruszyć...

— Kiedyś chciałem zobaczyć, jak to jest, gdy wąż hipnotyzuje ptaka spojrzeniem, tak że ten nie może odlecieć, ale teraz już chyba nie chcę.

— Nawet wtedy, kiedy została zabita lady Tresilian — ciągnęła Audrey — nie zdawałam sobie sprawy, co to oznacza. Byłam przerażona. Nawet nie podejrzewałam Neville'a. Wiedziałam, że nie dba o pieniądze, że nie zabiłby jej dla pięćdziesięciu tysięcy funtów. Rozmyślałam wiele razy o panu Trevesie i tej historii, którą opowiadał. Ale nie powiązałam tego z Neville'em. Treves wspominał o znaku szczególnym, po którym rozpoznaliby tę osobę. Ja mam bliznę na uchu, ale nie sądziłam, że jeszcze ktoś ma jakiś zauważalny znak.

— Panna Aldin ma pasmo siwych włosów, Thomas Royde ma bezwładną rękę, co wcale nie musiało być wynikiem trzęsienia ziemi. Pan Ted Latimer ma szczególny kształt czaszki. A Neville Strange... — zawiesił głos.

— On chyba nie ma żadnego znaku szczególnego?

— A jednak ma. Ma krótszy mały palec u lewej ręki. To raczej rzadkie, bardzo rzadkie, pani Strange.

— A więc o to chodziło?

— Tak, o to.

— I to Neville powiesił tabliczkę na drzwiach windy?

— Tak. Wymknął się, kiedy Royde i Latimer popijali ze staruszką drinki. To było genialne w swojej prostocie. Wątpię, żeby udało się udowodnić tu morderstwo. Audrey zadrżała znowu.

— Dobrze, już dobrze. Wszystko jest za nami, moja droga. Proszę mówić dalej.

— Pan jest mądry... Od lat tyle nie mówiłam!

— To błąd! Kiedy po raz pierwszy pani zaświtało w głowie, co naprawdę Neville zamierza?



— Dokładnie nie pamiętam. Ale kiedy już zrozumiałam, to od razu wszystko. On sam został oczyszczony z zarzutów, więc podejrzenia przeszły na pozostałych. I wtedy zauważyłam, jak na mnie patrzy. Z mściwą satysfakcją. I już wiedziałam. Wtedy właśnie...

Przerwała nagle.

— Co wtedy właśnie?

Powiedziała powoli:

— Wtedy pomyślałam, że najlepiej będzie szybko ze sobą skończyć...

Nadkomisarz Battle zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie wolno się poddawać. To moja dewiza.

— Ach, na pewno ma pan rację. Ale nie wie pan, jak to jest, kiedy człowiek boi się przez tyle czasu. To paraliżuje, nie można myśleć, nie można planować, czeka się na cios... I kiedy wreszcie ten cios padnie... Co za ulga! Pewnie pan pomyśli, że mam źle w głowie, jeśli panu powiem, że nie miałam nic przeciwko temu, że mnie pan aresztował. Neville zrobił już najgorsze i nie musiałam się bać. Czułam się bezpieczna, wychodząc z inspektorem Leachem.

— Częściowo właśnie dlatego to zrobiliśmy. Chciałem, żeby znalazła się pani poza zasięgiem tego szaleńca. Ponadto skoro chciałem doprowadzić go do załamania, musiałem go podejść. Widział już, że jego zamysł się powiódł, tak jak to zaplanował, więc tym większe było potem zaskoczenie.

Audrey powiedziała cicho:

— Czy gdyby się nie załamał, byłoby dosyć dowodów?

— Nie bardzo. Historia MacWhirtera, który widział mężczyznę na linie w świetle księżyca. No i sama lina, która potwierdza tę historię, zwinięta na strychu i wciąż jeszcze wilgotna. Padało tej nocy, pamięta pani...

Zrobił pauzę i przyglądał się Audrey wnikliwie, tak jakby spodziewał się, że coś powie. Ale ponieważ tylko patrzyła na niego ciekawie, ciągnął:

— No i ten garnitur w paski. Zdjął go po stronie Easterhead Bay i wcisnął w jakąś szczelinę skalną. Trafił na zdechłą rybę, rzuconą przez przyływ i zabrudził marynarkę. Zrobiła się plama na ramieniu, a co gorsza — śmierdziało. W hotelu mówiono o jakiejś awarii kanalizacji. To Neville puścił taką plotkę. Założył na marynarkę płaszcz przeciwdeszczowy, ale smród i tak przeniknął. Potem zaczął się

bać, że ten garnitur wzbudzi podejrzenia, i jak głupiec podał nie swoje nazwisko, tylko pierwsze, jakie mu przyszło do głowy. To było nazwisko, które widział w hotelowym rejestrze gości. Oto, w jaki sposób garnitur dostał się w ręce pani przyjaciela. Ten, mając głowę na karku, skojarzył go z mężczyzną, który wchodził po linie. Tak, można wdepnąć w zdechłą rybę, ale nie można pobrudzić sobie nią ramienia, chyba że się rozbierze, żeby pływać w nocy, a nikt nie pływa dla przyjemności w deszczową noc we wrześniu. MacWhirterowi ułożyło się to w głowie w jedną całość. Łebski facet, ten pan MacWhirter.

— Tak, nawet więcej.

— Hm, no, tak. Chce pani się czegoś o nim dowiedzieć? Mogę pani co nieco o nim opowiedzieć.

Audrey słuchała uważnie. Battle dawno nie miał tak dobrego słuchacza.

Potem powiedziała:

— Wiele mu zawdzięczam. I panu także.

— Mnie nie ma pani nic do zawdzięczenia — odparł nadkomisarz Battle. —

Gdybym nie był takim głupcem i zwrócił uwagę na dzwonek, sam bym to rozwikłał.

— Jaki dzwonek?

— Dzwonek lady Tresilian. Od początku miałem przecucie, że z tym dzwonkiem coś było nie w porządku. Zwróciłem uwagę na linkę na suficie i na długi kij do otwierania okna, ale nie skojarzyłem od razu faktów. Cała sztuka z tym dzwonkiem polegała na tym, żeby dać Neville'owi Strange'owi alibi. Lady T. nie pamiętała, po co dzwoniła, bo nie mogła pamiętać. Ona wcale nie dzwoniła. Zadzwoił Neville z korytarza, trącając tym kijem linki na suficie. Barrett idzie, widzi pana Neville'a Strange'a schodzącego na dół i udaje się do lady Tresilian, która jest cała i zdrowa. Sprawa z podaniem narkotyku pokojówce wydawała mi się podejrzana. Po co było ją usypiać, skoro morderstwo miało zostać popełnione przed północą? Wiadomo, że środek nasenny może jeszcze nie zadziałać. Ale to miało przekonać nas, że sprawcą jest jeden z domowników, a poza tym pozwalało Neville'owi grać rolę głównego podejrzanego przez krótki czas, dopóki Barrett nie odzyska przytomności. Potem ona mówi, a Neville jest oczyszczony z podejrzeń tak niewątpliwie, że nikt już dokładnie nie sprawdza, o której właściwie dotarł do hotelu. Wiemy, że nie mógł wracać promem ani nie wypożyczał łodzi. Pozostaje jedyna możliwość: przepłynął wpław.

Jest świetnym pływakiem, ale miał bardzo mało czasu. Wspina się po linie, którą wywiesił z okna. Zauważyliśmy sporo wody w pokoju, ale nie wzbudziło to, niestety, naszych podejrzeń. Ubiera się w granatowy garnitur, idzie do pokoju lady Tresilian, tam — mniejsza o szczegóły — spędza zaledwie parę chwil (tę stalową gałkę z uchwytem od rakiety przygotował sobie wcześniej), potem wraca do swojego pokoju, zrzuca ubranie, zsuwa się po linie i płynie z powrotem do Easterhead.

— A gdyby weszła Kay?

— Chyba też była pod działaniem narkotyków. Ziewała już przy kolacji, tak mi mówiono. Poza tym sprowokował kłótnię, więc zamknęła drzwi na klucz i trzymała się od niego z daleka.

— A co by było, gdybym zauważyła brak gałki przy kracie? Nie zwróciłam na to uwagi. Kiedy ją przykręcił z powrotem?

— Rano, kiedy zaczęła się wrzawa. Od momentu, kiedy go odwiózł Latimer, miał mnóstwo czasu, żeby zatrzeć prawdziwe ślady i sfabrykować fałszywe, na przykład naprawić raketę. Wie pani, jak zrobił, żeby cios wyglądał na zadany lewą ręką?

Uderzył staruszkę z bekhendu. Strange miał dobry bekhend, pamiętam z Wimbledonu.

— Nie, proszę już nie mówić, nie mogę tego słuchać — Audrey podniosła rękę. Battle uśmiechnął się.

— Ale dobrze pani zrobiło, że mogła pani wyrzucić z siebie to wszystko. Pani Strange, nie chciałbym wtrącać się w nie swoje sprawy, ale udzielię pani rady.

— Oczywiście, proszę.

— Żyła pani przez osiem lat ze zbrodniczym maniakiem, to wystarczy, żeby stargać nerwy każdej kobiecie. Ale trzeba otrząsnąć się z tego, pani Strange. Nie musi się już pani więcej bać, niechże pani zda sobie z tego sprawę.

Audrey odwzajemniła jego uśmiech. „Zamrożony” wyraz zniknął z jej twarzy, była to teraz urocza, nieśmiała, ale ufna twarz, o szeroko otwartych oczach, przepełnionych wdzięcznością dla nadkomisarza.

Zapytała z lekkim wahaniem:

— Wspomniał pan kiedyś o jakiejś dziewczynie, o dziewczynie, która postąpiła tak samo jak ja?

Battle z wolna pokiwał głową.

— Moja rodzona córka. Widzi więc pani, droga Audrey, cud musiał się zdarzyć. Takie doświadczenia zsyła nam niebo, żeby nas czegoś nauczyć.

3

Angus MacWhirter pakował się.

Starannie ułożył w walizce trzy koszule, a potem granatowy garnitur odebrany z pralni. Dwa garnitury oddane przez dwóch różnych MacWhirterów to było coś, co przekraczało zdolności pojmwowania panienki w pralni.

Rozległo się pukanie do drzwi.

— Proszę wejść! — zawołał.

Weszła Audrey Strange.

— Przyszłam podziękować. Pakuje się pan?

— Tak. Wyjeżdżam dziś wieczorem. I wsiadam na statek pojutrze.

— Do Ameryki Południowej?

— Do Chile.

— Spakuję pana rzeczy.

Zaprotestował, ale postawiła na swoim. Przyglądał się jej, kiedy poruszała się zręcznie i metodycznie.

— Gotowe — powiedziała skończywszy.

— Zrobiła pani dobrą robotę.

Zapadła cisza. Po chwili Audrey rzekła:

— Uratował mi pan życie. Gdyby nie widział pan tego, co pan widział...

Zamilkła na chwilę. Potem dodała:

— Czy od razu, tamtej nocy nad urwiskiem, kiedy powstrzymał mnie pan i powiedział „Niech pani idzie do domu. Nie dopuszczę, żeby panią powieszono”, czy od razu wtedy zdał pan sobie sprawę, że to, co pan widział, może być najważniejszym dowodem w tej sprawie?

— Niezupełnie. Musiałem to przemyśleć.

— Dlaczego więc powiedział mi pan to, co pan powiedział?

MacWhirter zawsze miał kłopoty z wyjaśnianiem absolutnej prostoty swojego rozumowania.

— Chodziło mi dokładnie o to, co powiedziałem: że nie mam zamiaru dopuścić do tego, żeby panią powieszono.

Policzki Audrey okryły się rumieńcem.

— A gdybym to rzeczywiście ja popełniła tę zbrodnię?

— Nie miałoby to dla mnie znaczenia.

— Myślał pan, że to naprawdę zrobiłam?

— Nie zastanawiałem się nad tym za bardzo. Wolałem jednak myśleć, że jest pani niewinna, ale i tak zrobiłbym to samo.

— I wtedy przypomniał pan sobie tego mężczyznę na linie?

MacWhirter milczał parę chwil, potem odchrząknął.

— Chyba mogę to pani powiedzieć. W rzeczywistości nie widziałem mężczyzny na linie, nie mogłem nikogo widzieć, bo byłem na Stark Head w niedzielę wieczorem, a nie w poniedziałek Wydedukowałem po prostu, co musiało się zdarzyć, na podstawie znalezionej garnituru i potwierdziłem swoje przypuszczenia, znajdując mokrą linę na strychu.

Audrey z zarumienionej stała się blada. Powiedziała z niedowierzaniem:

— A więc pańska historia była od początku do końca kłamstwem?

— Moje domysły nie miałyby żadnej wagi dla policji. Musiałem powiedzieć, że to widziałem.

— Ale... musiałyby pan przysięgać na procesie.

— Tak.

— I zrobiłby pan to?

— Tak.

Audrey zawołała z niedowierzaniem:

— Pan! Człowiek, który stracił pracę i próbował odebrać sobie życie, bo nie chciał kłamać!

— Prawdę darzę wielkim szacunkiem. Ale odkryłem, że są rzeczy ważniejsze.

— Na przykład?

— Pani — powiedział MacWhirter.

Audrey spuściła oczy. MacWhirter chrząknął w zakłopotaniu.

— Nie musi pani czuć się w żaden sposób zobowiązana. Nie usłyszysz pani o mnie więcej. Policja ma zeznanie Strange'a i nie potrzebują mnie jako świadka. Zresztą słyszałem, że jest w takiej złej formie, iż może nie dożyć do rozprawy.

— To dobrze.

— Kochała go pani kiedyś?

— Nie jego, tylko człowieka, za jakiego go uważałam.

MacWhirter skinął głową.

— Chyba wszyscy uważaliśmy go za kogoś innego. — I dodał: — Wszystko skończyło się dobrze. Nadkomisarz Battle, opierając się na mojej historii, wydobyl z faceta przyznanie się do winy...

Audrey wtrąciła się:

— Owszem, oparł się na pańskiej historii, ale nie sądzę, żeby sam w nią uwierzył. Umyślnie przymknął oczy.

— Skąd pani wie?

— Kiedy ze mną rozmawiał, wspomniał o tym, że miał pan szczęście, widząc to, co pan widział w świetle księżyca, a potem dodał jeszcze, że to była deszczowa noc...

MacWhirter aż poderwał się zaskoczony.

— To prawda. W poniedziałek nic bym nie mógł zobaczyć.

— To nie ma znaczenia — rzekła Audrey. — Był pewien, że ta scena, którą jakoby pan widział, zdarzyła się naprawdę. To wyjaśnia, dlaczego włożył tyle wysiłku w to, żeby wydobyc z Neville'a przyznanie się do winy. Zaczął go podejrzewać w momencie, kiedy Thomas powiedział mu o mnie i o Adrianie. Wiedział już przedtem, jaki to był typ zbrodni, ale z początku nastawił się na niewłaściwą osobę. Teraz potrzebował jakiegoś dowodu przeciwko Neville'owi. Potrzebował, jak sam mówił, cudu — a pan stał się odpowiedzią na modlitwy nadkomisarza Battle'a.

— To dziwne jak na policjanta — rzekł MacWhirter sucho.

— Widzi więc pan, że jest pan cudem. Moim szczególnym cudem.

MacWhirter zapewnił ją gorliwie:

— Nie musi pani czuć się zobowiązana wobec mnie. Znikam z pani życia...

— A musi pan?

Wlepił w nią osłupiałe spojrzenie. Zarumieniła się po same uszy.

— Nie zabrałby mnie pan ze sobą?

— Pani chyba nie wie, co pani mówi!

— Wiem. Biorę się za trudną sprawę, ale znaczy ona dla mnie wszystko. Wiem, że jest bardzo mało czasu. Poza tym, przestrzegam konwenansów, wolałabym, żebyśmy byli po ślubie, kiedy wyjedziemy!

— Naturalnie — odparł MacWhirter wstrząśnięty do głębi. — Chyba nie sądziła pani, że zaproponuję coś innego?

— Oczywiście, że nie.

— Ale nie wiem, czy jestem w pani typie. Myślałem, że interesuje panią raczej ten milczek, któremu już od dawna na pani zależy.

— Thomas? Drogi Wierny Thomas. Zbyt wierny. Wciąż przywiązany do obrazu tej dziewczyny, którą kochał wiele lat temu. A naprawdę to zależy mu na Mary Aldin, chociaż jeszcze sam o tym nie wie.

MacWhirter zrobił krok w jej kierunku. Przemówił surowo:

— Czy ty mówiłaś poważnie?

— Tak. Chciałabym zostać z tobą na zawsze, nigdy ciebie nie opuścić. Jeżeli odejdziesz, nigdy nie znajdę nikogo takiego i będę samotna do końca moich dni.

MacWhirter westchnął. Wyjął swój portfel i wnikliwie zbadał jego zawartość. Mruknął:

— Uzyskanie zgody na ślub w trybie przyśpieszonym sporo kosztuje. Od rano muszę iść do banku.

— Mogę ci pożyczyć parę groszy — mruknęła Audrey.

— W żadnym wypadku. Jeżeli się żenię, sam płacę za ślub. Jasne?

— Ale nie musisz mieć takiej poważnej miny — powiedziała miękko.

— Ostatnio kiedy trzymałem cię w ramionach, trzepotałaś się jak ptak chcący się wyrwać i uciec. Teraz już nie uciekniesz...

— Teraz już nie chcę uciekać...